



Pamiętniki
Uchodźcze

Pamiętniki Uchodźcze

**Książka powstała w ramach projektu
„Warszawskie Pamiętniki Uchodźcze”
współfinansowanego przez m. st. Warszawa,
którym kierował Tomasz Piwowarczuk.**

Wybór tekstów do książki:

Ignacy Dudkiewicz oraz Komisja konkursowa w składzie:

Piotr Ciacek,
Dr Piotr M. A. Cywiński,
Ignacy Dudkiewicz,
Dr Kamila Fiałkowska,
Julia Fiedorczuk,
Agnieszka Holland,
Dr Artur Józwik,

Myroslava Keryk,
Prof. Witold Klaus,
Agnieszka Kosowicz,
Janina Ochojska,
Małgorzata Waszczuk,
Krzysztof A. Zakrzewski

Tłumaczenia:

Ekaterina B.,
Antonina Ciużeńska,
Paulina Olivier,
Anastasiya Saiko,
Hubert Walczyński

Tłumaczenia wierszy:

Bohdan Zadura,
Paulina Zięba

Pamiętniki

Uchodźcze

**Eugenia Balakireva, Basma Bamia,
Mariia Bilostotska, Huseyin Celik,
Anushe, Olga Gembik, Victoria Halimon,
Sanjar Hoshimi, Marina Hulia,
Marharyta Ishchuk, Krystsina Kahramanian,
Frishta Kargar, Gordana Krutii,
Olena Mytrokhina, Marysia Wolchyhor,
Tetiana Proskurina, Mariia Rouz,
Valeriia Shakhunova, Olja Tajtra,
Tetiana Suchodolska, Daria Waszkiewicz,
Julia Woronina, Emilia Wojciechowska i inne**

Warszawa 2023

Copyright © by Magazyn Kontakt
i Klub Inteligencji Katolickiej, 2023

REDAKTOR PROWADZĄCY

Szymon Rębowski

REDAKCJA I KOREKTA

Ala Budzyńska, Ignacy Dudkiewicz,
Tomasz Hryciuk, Wanda Kaczor,
Ernest Małkiewicz, Ida Nowak,
Anna Rachwał, Szymon Rębowski,
Jan Szerszeń, Bartosz Tarnowski

PROJEKT OKŁADKI

Andrzej Dębowski

OPRACOWANIE

TYPOGRAFICZNE I SKŁAD

Marcin Kiedio

PROMOCJA

Gabe Wilczyńska

POMYSŁODAWCY

I KOORDYNATORZY PROJEKTU

Ignacy Dudkiewicz, Tomasz
Piwowarczuk, Szymon Rębowski,
Bartosz Tarnowski, Gabe Wilczyńska

ISBN 978-83-943103-1-8

Wydanie pierwsze

PARTNERZY

Centrum Służby Rodzinie,
Chlebem i Solą (Fundacja Polska
Gościnność), Grupa Granica, Kancelaria Rõ, Konsorcjum Migracyjne,
Muffia Bakery, Muzeum Historii
Żydów Polskich POLIN, Ośrodek Badań
nad Migracjami UW, Polska Akcja
Humanitarna, Polskie Forum Migra-
cyjne, Studio FDR, Ukraiński Dom

PATRONI MEDIALNI

Dwutygodnik, Krytyka Polityczna,
Kultura Liberalna, Newsweek
Polska, Onet, TOK FM, WIĘŹ,
Wysokie Obcasy

PARTNER MEDIALNY

Tygodnik Powszechny

KSIĄŻKA POWSTAŁA DZIĘKI

WSPARCIU FINANSOWEMU
Funduszu Obywatelskiego
im. Henryka Wujca, Kancelarii DZP

PIOTR M. A. CYWIŃSKI

Kto nie wyruszył, ten nie wie

Tych opowieści nie powinno się oceniać. Je trzeba najpierw usłyszeć. Mówią o perspektywie, która wydaje się niedaleka – kto wszak nie myślał kiedyś, by wszystko rzucić i gdzieś wyjechać? Przedstawiają jednak rzeczywistość znaną tylko tym, którzy ten krok uczynili.

Sam w wieku dziesięciu lat zostałem uchodźcą. To było niby tak dawno temu, kilka ładnych dekad. W zupełnie innej sytuacji politycznej. Od dawna myślałem, że ten epizod, trwający trochę ponad dziesięć lat, mam już daleko za sobą. Przecież wróciłem. Teraz, gdy wczytałem się w te prace, zrozumiałem, jak wiele z tamtego doświadczenia zostało we mnie i zostanie już chyba na zawsze. Dużo, bardzo dużo wspomnień od dawna uspionych jakby odżyło.

Wiem więc, że nie mam prawa oceniać tych tekstów, bo każdy z nich jest tak samo autentyczny. Albo nie, nie tak samo: każdy jest w całkowicie inny sposób, ale bezspornie autentyczny. Prawdziwy w zapisie decyzji o wyruszeniu, w opisie podróży, w relacji z przyjęcia w nowych stronach oraz w tych nieustających wątpliwościach, czy uczyniło się dobrze, czy ma się zostać, czy wrócić, czy jechać jeszcze gdzieś indziej.

Jakże autentyczne jest to mimowolne poczucie wykorzenienia, które sprawia, że jakiegokolwiek nowe, nawet najbardziej upragnione korzenie zapuszczone w nieznanym i nieoswojonym już nie będą miały pierwotnej siły. Wszystko w takim doświadczeniu leży bowiem w ocenie sytuacji, w decyzji, w woli jej wdrożenia i w tej ogromnej sile nadziei, która patrzy z lękiem, ale i z miłością w przyszłość.

Kto nie wyruszył, ten nawet nie wie, jak to nazwać.

Uchodźca, ekspata, przybysz, przesiedleńca, uciekinier, imigrant... Każde z tych słów zawiera przedrostek niemalże definiujący całe pojęcie. A jakże często w naszych umysłach definiujący całą tożsamość.

W pojęciach tych nie ma przyczyn, jakby nieważne były bomby, głód, fizyczne zagrożenie. Nieistotna jest nadzieja, chęć życia, wizja lepszej przyszłości dla malutkich dzieci. Liczy się jedynie ruch, relokacja, zmiana położenia. I tylko to.

W brzmieniu tych pojęć nie mają znaczenia okoliczności zewnętrzne ani pobudki wewnętrzne. Ktoś postanowił się ratować, ktoś inny chciał skończyć studia i pracować w zawodzie, ktoś jeszcze wyruszył, by zmienić po prostu swoje życie na bardziej sensowne. Kilkudziesięcioletni Abram posłuchał takiej rady: „Wyjdź z twojej ziemi i od twojej rodziny, i z domu twego ojca do ziemi, którą ci pokażę. A uczynię z ciebie wielki naród, będę ci błogosławił i rozślawię twoje imię, i będziesz błogosławieństwem. I będę błogosławił tym, którzy tobie będą błogosławić; a tych, którzy przeklinają cię, będę przeklinał”.

Tak. Tych, którzy przeklinają cię, będę przeklinał.

Dr Piotr M. A. Cywiński

AGNIESZKA KOSOWICZ

Przygrywka do spotkania

Najlepiej służy spotkanie. Najwięcej daje uważność dla drugiej osoby, czas poświęcony na rozmowę, słuchanie, bycie razem. Odsunięcie na bok własnych stereotypów, własnych wyobrażeń o tym, jaki ten drugi lub ta druga jest. Wtedy się rodzi zrozumienie i świadomość, że jesteśmy sobie bliscy, że żyjemy razem w świecie, który współdzielimy.

Oby niniejszy zbiór do tego właśnie zachęcił – do spotkania jednych z drugimi, usłyszenia się w zgiełku, który towarzyszy dziś publicznemu dyskursowi o migracjach.

Bo migrantów i uchodźców świat ocenia, lokuje, omawia, oskarża, monitoruje czy zarządza nimi albo nawet przyjmuje prawie zawsze w masie. Są uchodźcy jako broń w wojnie hybrydowej, migranci jako narzędzie w walce politycznej, migranci jako siła robocza, rzesze uchodźców, masy i fale, polityka migracyjna, zarządzanie migracjami – z tym często mamy w publicznym dyskursie do czynienia.

Tymczasem nabór Pamiętników Uchodźczych ogłoszony przez Magazyn Kontakt i publikacja wybranych prac działa jak zoom w aparacie – jest okazją do spojrzenia na pojedyncze życie. „Kto ratuje jedno życie, ratuje cały świat”. Rzadko jednak

pojedynczemu życiu, jednemu ludzkiemu światu osoby z doświadczeniem migracji mamy okazję (albo odwagę) towarzyszyć.

Publikacja to pierwszy krok, bezpieczny i niewymagający: każda z autorek i autorów (w większości autorek) oprowadza nas po swoim świecie, jesteśmy wpuszczani w indywidualne rzeczywistości, z różnych krajów, z różnych realiów, różnych wojen.

Każda praca to świadectwo odwagi: pozwala wejrzeć w głąb. A tam widać uczucia, myśli, serce, które bije. Gotowość autorek i autorów do dzielenia się codziennością pozwala poczuć ich adrenalinę, tęsknotę, złość, strach, ból, zawód, usłyszeć rozterki. Odczuć, jak wiele różnych ról każda osoba pełni w życiu. To oczywiste, gdy myślimy o sobie. Nie takie oczywiste, gdy widzimy wolontariuszkę, która jest też studentką, przyjaciółką, córką, biegaczką, ma swoją rodzinną historię, wspomnienia, także własny indywidualny stosunek do polityki czy sytuacji, które sprawiły, że we własnym kraju nie mogła już żyć.

Zadziwia mnie zawsze, jak ludzie są różni. Niezwykła jest różnorodność prezentowanych w tekstach emocji, życiowych wyborów, refleksji na temat Polek i Polaków, Polski, ale też swoich krajów pochodzenia, społeczeństw, z których się wywodzą. Chciałoby się autorki ukoić, przytulić, a wiele – zachęcić do dalszego pisania. W tomie znajdziecie bardzo dobrą literaturę!

Konkurs dla amateerek i amatorów pokazał nam bowiem także znakomite pióra. W wielu przypadkach prace chciałoby się czytać dalej, słuchać dalej, zadawać pytania, wejść w rzeczywistość autorki i poznawać ją dalej. Mam nadzieję, że to doświadczenie stanie się dla wielu osób zachętą do dalszej twórczej pracy.

Najbardziej zachęcam jednak do tego, żeby lekturę tego zbioru potraktować jak przygrywkę do spotkania. Popatrzeć świeżym okiem na migranta, migrantkę, sąsiada, sąsiadkę, których każdy ma w swoim otoczeniu. Otworzyć furtkę na prawdziwe spotkanie twarzą w twarz. Przebić się przez dystans, strach, niepewność, spotkać się, jak ludzie. Ta książka jest jak wyciągnięte do spotkania ręce.

Agnieszka Kosowicz

IGNACY DUDKIEWICZ, MAGAZYN KONTAKT
Wybierać naczynia, nie myśląc o czołgu

Nie wiedzieliśmy, czy się uda. Czy uchodźcy i uchodźczynie zdecydują się opowiedzieć za naszym pośrednictwem swoje – tak przecież skomplikowane, trudne, niekiedy traumatyczne – historie. Nie mamy prawa tego od nich oczekiwać. Ale wiedzieliśmy, że jeśli się na to zdecydują, to naszym zadaniem jest ich opowieści zebrać, wydać i nagłośnić. By w wielkiej rozmowie na temat uchodźców i uchodźczyń, procesów migracyjnych, programów integracji, granic i płotów mógł wybrzmieć głos tych, których ta rozmowa najmocniej dotyczy.

Bo to one i oni uciekają przed bombami. To one i oni opuszczają miejsca niezdatne do życia w wyniku katastrofy klimatycznej. To one i oni ryzykują więzieniem za działalność przeciw reżimom i tyranom tego świata. To one i oni walczą o lepszą – albo jakąkolwiek – przyszłość dla siebie, swoich bliskich, swoich dzieci.

Słyszą przy tym niekiedy zarzuty, że są nie tacy, jacy być powinni. Zbyt zamożni. Zbyt uśmiechnięci. Niewystarczająco wdzięczni. Pytania, czy „zasługują” na pomoc. Dyskusje, czy należy im się dach nad głową i ciepły posiłek. Opieka lekarska. Szkoła dla dziecka. Życie.

A może śmierć w bombardowaniu, na bagnach czy w Morzu Śródziemnym.

Nie chcieliśmy im zadawać żadnych pytań. Chcieliśmy usłyszeć, co mają do powiedzenia sami z siebie.

Nawiązaliśmy więc współpracę z szeregiem organizacji społecznych działających na rzecz uchodźców i uchodźczyń, by jak najszerzej dotrzeć do osób, które mogłyby chcieć podzielić się swoimi historiami. Podejmowaliśmy wiele działań, by przesłane nam opowieści pochodziły z różnych kontekstów, różnych stron świata i dotyczyły różnych sytuacji.

Udało się. Otrzymaliśmy 74 zgłoszenia w sześciu językach od osób pochodzących z ośmiu krajów (Ukraina, Białoruś, Rosja, Tadżykistan, Turcja, Afganistan, Iran i Somalia). Najwięcej od osób z Ukrainy, barbarzyńsko napadniętej przez rosyjskiego najeźdźcę.

Ale też nie całkiem się udało. Żadna z publikowanych przez nas opowieści nie dotyczy wprost sytuacji na granicy polsko-białoruskiej – choć część osób, które opowiedziały o swoich doświadczeniach, do Polski przyjechała właśnie z Białorusi albo przez Białoruś. To brak, którego jesteśmy świadomi i którego nie udało nam się – mimo starań – uniknąć. Wierzymy jednak, że usłyszenie głosu uchodźców i uchodźczyń, którzy dotarli do Polski innymi drogami, pozwoli na dostrzeżenie dramatu także tych, którzy oszukani przez reżim Łukaszenki próbują dotrzeć do wymarzonej Europy i których wyobrażenia o niej bywają tak brutalnie konfrontowane z rzeczywistością.

Nie mogąc opublikować wszystkich zgłoszonych prac, wybraliśmy 25 z nich, starając się o ich reprezentatywność i różnorodność. Niektóre prace zawierały kilka akapitów. Inne zbiór wierszy. Przyszła jedna bajka, a także listy do matki czy zapiski z telefonu. Kolejne osoby zapisały długie strony wspomnień. Także tę różnorodność widać w niniejszej publikacji, którą – dzięki wsparciu Urzędu m.st. Warszawy, Funduszu Obywatelskiego im. Henryka Wujca oraz sponsorów – wydaliśmy w formie papierowej, e-booka, artykułów na stronie Magazynu Kontakt oraz audiobooka z udziałem wielkich postaci polskiego aktorstwa.

Spśród 25 publikowanych prac wybraliśmy sześć, które wyróżniały się wyjątkowymi walorami literackimi. Wyboru dokonała Komisja złożona z osób ze świata kultury, organizacji społecznych i nauki, wśród których były także osoby z doświadczeniem przymusowej migracji. Nie ocenialiśmy doświadczeń, nie wartościowaliśmy przeżyć. Doceniliśmy te opowieści, które stanowią wyjątkową literaturę faktu. Faktu strasznego, faktu, który nie powinien zaistnieć, literaturę trudną, literaturę będącą zarazem świadectwem – ale literaturę. Poziom części prac był pod tym względem bardzo wysoki.

A przecież tworząc pismo idei, jakim jest Magazyn Kontakt, wierzymy, że słowo może zmieniać świat. Tym bardziej słowo tak dramatycznie autentyczne, prawdziwe, do trzewi, jak to zawarte w tej książce. Zapraszamy do lektury, choć nie będzie ona łatwa. Ale to wysiłek, który – wierzymy – warto podjąć. I tak będzie wielokrotnie mniejszy od tego, który podjęły autorki i autorzy prac, decydując się opowiedzieć o swoich doświadczeniach.

Należy im się za to ogromna wdzięczność, którą pozwalam sobie wyrazić w imieniu redakcji Magazynu Kontakt, a także – wierzę, że mi wolno – czytelników i czytelniczek „Pamiętników Uchodźczych”.

Stanisław Barańczak, polski poeta, znający smak przymusowej migracji, w wierszu „Jeżeli porcelana, to wyłącznie taka” pisał:

Jeżeli porcelana, to wyłącznie taka,
której nie żal pod butem tragarza lub gąsienicą czołgu;
jeżeli fotel, to niezbyt wygodny, tak aby
nie było przykro podnieść się i odejść;
jeżeli odzież, to tyle, ile można unieść w walizce,
jeżeli książki, to te, które można unieść w pamięci,
jeżeli plany, to takie, by można o nich zapomnieć,
kiedy nadejdzie czas następnej przeprowadzki
na inną ulicę, kontynent, etap dziejowy
lub świat:

kto ci powiedział, że wolno ci się przyzwyczajać?
kto ci powiedział, że cokolwiek jest na zawsze?
czy nikt ci nie powiedział, że nie będziesz nigdy
w świecie
czuł się jak u siebie w domu?

Cóż więc pozostaje? Nadzieja – ta wielka siła – że może da się stworzyć świat, który będzie choć trochę bardziej domem i w którym każdy będzie mógł wybrać naczynia bez myślenia o czołgach. Jeśli ma się udać, musimy usłyszeć głos uchodźców i uchodźczyń. Tych, którzy znają smak „przeprowadzki na inną ulicę, kontynent, etap dziejowy lub świat”.

Od tego zaczniemy.

A black and white photograph showing a group of people, including children, on a beach. In the foreground, a large, dark tire is visible. The word "Pamiętniki" is overlaid in white text across the center of the image. The background shows several people, some of whom appear to be carrying children, standing on the sand near the water's edge. The overall scene suggests a group of people, possibly refugees or migrants, gathered on a beach.

Pamiętniki



EUGENIA BALAKIREVA

Bzdury, bzdury i żadnej nadziei na przyszłość

Tekst oryginalnie napisany w języku rosyjskim.

Tłumaczenie: Ekaterina B.

Praca nagrodzona drugą nagrodą

przez jury „Pamiętników Uchodźczych”.

Kilka miesięcy temu czytałam o metodzie eutanazji, która polega na tym, że kładziesz się w zamkniętej kapsule bez dostępu do tlenu, w której leżysz cicho z płucami wypełnionymi własnym dwutlenkiem węgla, mdlejesz i w konsekwencji umierasz. Dzisiaj próbowałam powtórzyć tę procedurę w moim pokoju w akademiku, tylko z workiem na śmieci na głowie. Nie udało się. Ale to wcale nie była wina worka, był wystarczająco mocny. Jediną rzeczą, która nie była silna w tej sytuacji, była moja determinacja. Nie być czy być? Zabawne pytanie. Czy czułam się źle? Tak. Cholernie źle? Oczywiście. Czy naprawdę chciałam umrzeć? Pewnie, że tak. Ale czy wciąż tu jestem? Bo przecież ktoś wciąż stuka palcami po klawiaturze, irytując nawet siebie tym nieprzyjemnym, plastikowym dźwiękiem? Czy to wciąż ja? Nie mam pojęcia.

Dlaczego w końcu tego nie zrobiłam? Bo było to głupie ja-koś, umierać z workiem na śmieci na głowie. W akademiku. Z całym tym Dostojewskim, Frommem i Sartrem na półce. To zbyt banalne. Zbyt oczywiste. Tak, i w ogóle wszystkie sposoby samobójstwa w naszych czasach to jeden wielki, przestarzały relikwiarz przeszłości.

Wciąż jednak nikt nie wymyślił czegoś lepszego niż magiczne fatum, nieuchronność, nieuleczalna choroba. Nie jest głupio umrzeć na raka. Albo zginąć w wypadku samochodowym w drodze na imprezę, będąc pełnym energii i chęci do życia. Niestety, moje fatum dało mi tylko nieuchronność życia i niechęć do udziału w nim. Tylko czas, w którym jakakolwiek forma życia wydaje się tanią ilustracją w nużącej powieści historycznej. Tołstoj pewnie byłby szczęśliwy, gdyby urodził się w naszych czasach, ale ja nienawidzę Tołstoja. Nienawidzę Tołstoja od czasów liceum. Przeczytałam tylko pierwszą stronę „Wojny i pokoju” i kilometrowy opis dębu, którego musiałam nauczyć się na pamięć w szkole w ramach pracy domowej.

W szkole zrozumiałam, że najłatwiej na świecie wychodzi mi pisanie.

To również w szkole zrozumiałam, że nienawidzę pisać.

Nienawidzę, bo mi to wychodzi, a wszystko inne – nie. Jest coś upokarzającego w robieniu tego, co ci wychodzi. Jest w tym coś z nieuchronności fatum. Tak, w tym jestem dobra, ale w reszcie już nie. Tak, moją jedyną umiejętnością jest to, że jestem dobra w opisywaniu tego, czego nie jestem w stanie przeżyć. Tak, to całkiem fajne być tak niekomunikatywną osobą, że jedynym sposobem na mówienie jest wypluwanie słów na kartkę papieru. Papier zniesie wszystko. To jeszcze bardziej upokarzające, gdy jedyną rzeczą, która jest gotowa cię zniesić, jest kartka papieru.

A jednak piszę. Piszę teraz, pisałam wcześniej. I, szczerze mówiąc, ten tekst istnieje tylko dlatego, że w tej chwili nie mam długopisu, by wypluć emocjonalny strumień świadomości na stronach pamiętnika, którego nikt nigdy nie przeczyta. Pamiętnika, który zamierzam spalić po napisaniu ostatniej strony. Brak długopisu pomógł temu tekstowi uniknąć przeznaczenia. Upokarzająca konieczność pisania z powodu braku funduszy.

– Pamiętasz, jak w dzieciństwie uwielbiałaś łąpać koniki polne i wkładać je do słoika? Obserwowałaś je, zbierałaś dla nich trawę, wystawiałaś słoik na słońce, aby je ogrzać, myśląc, że się nimi opiekujesz, i nie rozumiałaś, że w ten sposób je zabijasz.

– Tak, a potem mama powiedziała, że to okrutne, że się tam męczę, że ich domem jest natura, i je wypuściłam.

– A potem zrozumiałaś, gdzie podziały się pozostałe koniki polne ze słoika. Mama je wypuszczała.

– Może i mnie kiedyś wypuści.

– Czy uważasz, że Bóg ma matkę?

– Myślę, że Boga nie ma.

– Ale słoik jest.

Pamiętasz ten moment, kiedy po raz pierwszy poczuliśmy się wolni? Czerwiec 2020. Zakończyliśmy sesję, całe lato przed nami. Bez długów, bez obowiązków i bez nadziei na przyszłość. Bez nadziei na przyszłość? Czyż nie byliśmy młodymi, ambitnymi, obiecującymi studentami z górą projektów na koncie i dalekosięzną perspektywą przed oczami? Byliśmy, ale chodzi mi o coś innego. O energię wiszącą w powietrzu, we wstrzymanym oddechu w przestrzeni między nami, w naszym wspólnym wstrzymanym oddechu i ogólnym zrozumieniu, że jesteśmy już o krok od... Przyszłość! Już nadeszła. Zmiana, na którą czekaliśmy, jest tutaj, na wyciągnięcie ręki. Możemy ją poczuć, możemy jej dotknąć, możemy ją zobaczyć na własne oczy. Tu i teraz. Biorę cię za rękę i zdaję sobie sprawę, że czujemy to samo. Ty i ja jesteśmy jednym i jesteśmy już w środku, w samej otchłani. Przyszłość jest tu i teraz. A my jesteśmy już o krok od...

Protest rowerowy.

Ludzie robią rajdy rowerowe po całym mieście z biało-czerwono-białymi flagami zawiązanymi na szyjach.

Protest rowerowy.

Policjanci ścigają ich, zatrzymują, rzucają na ziemię, biją, wypisują mandaty, aresztują.

Protest rowerowy.

Pamiętasz, jak w dziewiętnastym roku czytaliśmy jakąś bardzo dziwną sztukę o jeździe na rowerach? Bardzo dziwną sztukę, nawet nie pamiętam, o czym była. Pamiętam tylko, że była o rowerach i poczuciu wolności, jakie daje jazda na rowerze. I że na czytaniu było wielu ludzi z białoruskiej społeczności

rowerowej, ubranych w swoje rowerowe stroje i że tej zimy przyjechali do teatru – też na rowerach.

Pamiętasz? Zimą na rowerach.

Protest rowerowy.

Co myślisz, czy byli wtedy na widowni ci ludzie, którzy pół roku później jeździli po całym mieście z biało-czerwono-białymi flagami zawiązanymi na szyjach?

Umówiliśmy się na spotkanie o dziesiątej wieczorem przy naszej akademii. Wsiadałam z metra, wieczór jest ciepły, a powietrze miękkie, idealne na przejażdżkę rowerem. Wjeżdżam za róg, na dziedziniec akademii i widzę ciebie. Koło twojego roweru jest przebite, próbujesz je naprawić. Mamy na to całą noc, nie ma pośpiechu. Zapalam papierosa. Pierwszy, drugi, trzeci. Zawsze podziwiałam to, że umiesz naprawić absolutnie wszystko, że zawsze miałeś w plecaku wszystko, czego potrzebowałeś, by poradzić sobie z absolutnie każdym problemem. Podeszłam do roweru, który pożyczyłam na noc od znajomej z akademii:

– Tylko proszę, żadnych protestów!

I nie podobała mi się forma rowerowych protestów. W proteście chodzi o tu i teraz, a nie o coś, co przejeżdża obok. Więc żadnych kłopotów, żadnych pytań.

– Nie, jestem tylko na przejażdżce.

Jedenasta w nocy. Jesteśmy w drodze. O tej porze miasto jest prawie puste. Całe nasze. Jadąc aleją, czujemy się jak królowie świata. Przejeżdżamy na czerwonym świetle. Na początku to przerażające, ale potem jest dobrze. Świadomość, że wszystkie przeszkody są sztuczne. Jedziemy. Budynki z czasów Stalina zmieniają się w budynki z czasów Chruszczowa, potem w budynki z czasów Breżniewa, potem brzydkie pozdrowienia z lat 90., pierwsze galerie, jedziemy wzdłuż rzeki, skręcamy do parku leśnego. Świetna ścieżka rowerowa, doskonale oświetlona. Muzyka w słuchawkach. „Radiohead”. Wszystkim wspomnieniom o tobie w mojej głowie towarzyszy ścieżka dźwiękowa zespołu „Radiohead”. Jedziesz przede mną. Puszczasz kierownicę i rozkładasz ręce

po obu stronach. Prawie jak Chrystus. Rowerowy Chrystus. Prowadzisz mnie przez ciernie betonowej dżungli do jasności wiejskich gwiazd i wolności. Do tego uczucia absolutnej, bezgranicznej wolności, które przyjdzie do mnie za godzinę, ale w międzyczasie żałuję, że nie mam kamery GoPro, którą mogłabym przypiąć do kierownicy swojego roweru i sfilmować ciebie, jadącego jak Chrystus, z ramionami rozłożonymi po obu stronach i cieniem wirującym wokół, kiedy mijasz latarnię za latarnią.

Pozdrowienia z lat 2000., nowe budynki, gorsze nowe budynki, lepsze nowe budynki, budynki w budowie i oto powoli zbliżamy się do granic miasta. Mińsk – miasto bohater. Jedziemy poboczem autostrady, na drodze nie ma zbyt wielu samochodów. Prawie od razu zaczyna się las. Jedna z osobliwości Mińska: okolice nie są pokryte salonami samochodowymi, Auchanami i dziwnie wyglądającymi magazynami. Wyjeżdżasz z miasta i od razu zaczyna się las. Jedziemy w kierunku mińskiego jeziora. Reflektory przejeżdżających samochodów świecą prosto w twarz. Jedziemy ostrożnie. Tabliczka ze wskazaniem na jezioro mińskie. Skręcamy. Niewiele dalej i jesteśmy u celu.

Widzimy zalany betonem brzeg. Przygaszone latarnie, motylki tańczą w ich przygasłym świetle. Niewielu ludzi, kilka osób, nikt na nikogo nie zwraca uwagi. Zatrzymujemy się, siadamy na jeszcze ciepłym betonie, stopy dyndają nad wodą, krople z rozpryskujących się fal od czasu do czasu spadają na nasze buty. Cisza. Zapalamy po papierosie. Nie mamy siły rozmawiać. Milczymy. Płuca wypełniają się gęstymi kłębam dymu. Pamiętasz? Te same Pall Malle z kapsułką. Jeden za drugim.

I właśnie wtedy, na tym betonowym nabrzeżu mińskiego jeziora, w głębokiej nocy, w zasłonie dymu o lekkim zapachu jabłek, w świetle przygaszonych latarni i jasnych wiejskich gwiazd, przy szumie fal i naszym zsynchronizowanym oddechu, przyszło do mnie uczucie tej samej wolności. Wolności od książek i filmów. Wolności, której znaczenie tak niezdarnie próbowały opisać słowami i wzorami wszystkie wielkie umysły od samego początku czasów.

– Tylko proszę, żadnych protestów!

O czym wtedy rozmawialiśmy? Wydaje się, że mieliśmy wtedy tylko jeden temat do rozmowy. Ty i ja siedzimy, patrząc w dal, w której prawie nic nie widać. Tylko kontury fal, ich blask w świetle księżycy i gwiazd, małe cienie łodzi i jachtów stojących na wodzie, jakby narysowanych, i niewyraźny horyzont. Horyzont. Przyszłość tu i teraz. Przejżdżający obok protest. Droga powrotna. Gorsze nowe budynki, lepsze nowe budynki, ogromna świecąca litera M wisząca na słupie. McDonald's to postradziecki smak wolności. Wjeżdżam na McDrive. Frytki i cheeseburger. Bez coca-coli. Nie ma pieniędzy na coca-colę, mamy ze sobą wodę. To prawie zdrowe odżywianie. Postradziecki smak wolności. Prawie zdrowe odżywianie. Wracamy na dziedziniec akademii. Alma mater całej białoruskiej sztuki. Postradziecki smak wolności. Prawie zdrowe odżywianie. Szósta rano. Świta. Przejechaliśmy w sumie pięćdziesiąt kilometrów. Rozlewające się po ciele *katharsis* nie pozwala ujawnić się bólowi mięśni i zmęczeniu. Nie jest jeszcze za późno.

Jeszcze nie wieczór.

Publikuję *stories* na Instagramie: zdjęcie błękitnego nieba i uchwyconego fragmentu ściany akademii oraz podpis „Najlepsza noc lata”. Żegnamy się, wracam do domu. Dwa miesiące później, na tym samym dziedzińcu, wielu studentów, absolwentów i wykładowców zbierze się, aby podpisać list otwarty do rektora akademii, protestując przeciwko relegacji studentów, którzy uczestniczyli w ruchu protestacyjnym po wyborach w 2020 roku. Bezskutecznie. Twoje nazwisko jest na liście. Idę za tobą. Bezskutecznie.

...nasza przyszłość jest tu i teraz...

...protest mijający...

Pamiętasz, jak wydawało nam się wtedy, że jesteśmy w jakimś dziwnym filmie opartym na faktach, ale w którym zawsze była nadzieja na szczęśliwe zakończenie? Moje wspomnienia dotyczące tamtych wydarzeń to zestaw kadrów i scen z pomieszaną chronologią, mglistym pojęciem o miejscu i czasie. Zestaw dziwnych, pulsujących emocji, które pozornie bez powodu w jednej sekundzie zmieniają się ze stanu euforycznej

radości w dziwną hybrydę nieludzkiej wściekłości i panicznego strachu. Strach, który przyszedł do mnie wtedy, gdy wracałam nocą do domu, pieszo przez miasto, z protestu i przez te dwie godziny wciąż odwracałam się z myślą, że jestem śledzona. Czułam bliskość oczu, które nie spuszczały wzroku z mojego karku. Strach, który za każdym razem wymuszał na mnie, by biec tak szybko, że nawet w myślach nie mogłabym sobie wyobrazić, że moje ciało jest do tego zdolne. Który za każdym razem błagał mnie, abym została w domu, i który za każdym razem pokonywałam, powtarzając sobie, że ulegając mu, już nigdy nie będę mogła nazywać siebie człowiekiem, nigdy nie będę w stanie wybaczyć sobie tchórzostwa. Wychodząc ponownie i spotykając moich ludzi na ulicach, ponownie zanurzałam się w otchłani euforii, radości i poczucia jedności. I znowu jedziemy późną nocą na rowerach, i znowu całe miasto jest nasze. Ale teraz w tle naszego filmu zamiast spokojnie śpiącego miasta są krzyki, hałas i wybuchy granatów hukowych.

Pokojowy protest.

Przejeżdżający obok protest.

Dopiero teraz do mnie dotrze, że sierpień 2020 nie był filmem kompletnym, a jedynie początkiem. Takim samym początkiem, jakim dla filmu „AIDS” była rewolucja seksualna. Takim samym początkiem, jakim rewolucja francuska była dla filmu „Gilotyna”. Tym samym początkiem, jakim rewolucja październikowa była dla takich filmów jak: „Represeje”, „Gułag”, „NEP”, „Hołodomor”, „Przymusowa rusyfikacja”... i „Filozoficzne parowce”. W tym filmie nie ma już nadziei na szczęśliwe zakończenie, nie ma nadziei na przyszłość. Tutaj bohaterowie przeszli już przez wszystkie etapy zaprzeczania, zaakceptowali swoją sytuację, nie czytają wiadomości, nie wierzą w żadną politykę i uwierzyli, że wolność też ma różne kolory. Przynajmniej ich obecna wolność, która oznacza wolność od pieniędzy, wolność od rodziny, od wiarygodnych kontaktów społecznych i społeczeństwa jako takiego. Wolność od robienia planów i nadziei, wolność od paszportu, wolność od emocjonalnego związku z miejscem, w którym się znajdujesz – to zupełnie nie ta wolność, która przysłała do

mnie, kiedy siedziałam z tobą na brzegu mińskiego jeziora. I oto znowu jedziemy na rowerach późno w nocy, teraz w tle naszego filmu zamiast spokojnie śpiącego miasta są krzyki, wojna, kryzys, polityczny absurd, katastrofa klimatyczna, fale migracji, ponad tysiąc więźniów politycznych, zagrożenie nuklearne, ogólnoświatowa panika i głupota, głupota, nieznośna głupota ludzi wokół nas i nasza własna.

Chyba zbyt daleko zajechaliśmy.

Chyba już nie znajdziemy drogi powrotnej.

– Teraz na pewno nie zrobiłabym dla kogoś niczego z powodu solidarności.

– A dla mnie?

– Zrobiłabym to dla ciebie, ale nie z powodu solidarności, tylko dlatego, że jesteś tym jedynym dobrem, które mi pozostało. Wiesz, zawsze mówiłam, że nie mogą mnie złać, wszyscy, którzy nie są nami. Zawsze mówiłam, że zawsze będę walczyć, że zawsze będę robić to, co uważam za słuszne. Ale wygląda na to, że w końcu to się stało, nie mam już siły, nie rozumiem już w ogóle, co jest słuszne, i nie chcę już z nikim walczyć.

– Niech wszyscy idą do diabła.

– Niech idą. Wiesz, kiedy przestałam chodzić na protesty? Kiedy, patrząc na milicjantów, życzyłam im śmierci. Kiedy chciałam, żeby oni i ich rodziny cierpieli tak samo jak my. Kiedy zapragnęłam zemsty. I wtedy zrozumiałam, że wewnątrz niczym się od nich nie różnię, kierują mną te same mechanizmy, że różnimy się tylko wyborem stron.

– Wydaje się, że zbyt daleko zajechaliśmy. Idź już spać.

– A wiesz, dlaczego nie jestem fanką wszystkich tych białoruskich inicjatyw? Wydaje mi się, że większość z nich nadal tego nie rozumiała.

– Znów używasz mojego wizerunku w swoich tekstach, żeby mówić o sobie.

– Dobra, naprawdę muszę iść spać.

– Obiecuj mi, że to twój ostatni tekst o protestach. Trzeba już przestać szukać drogi powrotnej.

– Obiecuję. Zostawisz mi worek?

– Nie. Teraz idź spać.

PS – Pamiętasz, jak w dzieciństwie uwielbiałaś łapać koniki polne i wkładać je do słoika? Obserwowałaś je, zbierałaś dla nich trawę, wystawiałaś słoik na słońce, aby je ogrzać, myśląc, że się nimi opiekujesz, i nie rozumiałaś, że w ten sposób je zabijasz.

EUGENIA BALAKIREVA – ma 23 lata i pochodzi z Mińska w Białorusi. Była studentka Białoruskiej Państwowej Akademii Sztuki, na której studiowała reżyserię teatru lalek. Swój pierwszy tekst napisała w wieku 20 lat – był to dramat poświęcony traumie pewnej rodziny, połączony z obecnym białoruskim tematem politycznym. Tekst opublikowano w rosyjskim magazynie „sztuka kino”, w numerze poświęconemu białoruskim protestom 2020 roku. Przyjechała do Polski w styczniu 2021 roku. Obecnie jest studentką Akademii Sztuk Teatralnych w Krakowie na kierunku dramaturgia.

BASMA BAMIA

Ślimak

Tekst oryginalnie napisany w języku angielskim.

Tłumaczenie: Hubert Walczyński.

– Co jest wliczone w miesięczną opłatę za mieszkanie? Czynsz? Prąd?

– Czynsz jak najbardziej, woda, winda, śmieci, miejsce do parkowania. Natomiast rachunki za prąd będzie musiała pani zapłacić oddzielnie.

– I mówi pani, że muszę iść najpierw do notariusza i załatwić ten papier, że mam inne miejsce zamieszkania w Polsce? Bez tego się nie da?

– Skąd jesteś? – zadaje pytanie z lekkim sercem, ale tonem pełnym intencji.

– Skąd jestem? – zatrzymuję się na chwilę, by zrozumieć jej motywację.

„Skąd jestem?”. W jaki sposób moja odpowiedź wpłynie na znaczenie umowy najmu? Czy nie wszyscy potrzebujemy miejsca do życia? Czy nie obowiązują mnie te same zasady? Czy będą specjalne klauzule informujące o tym, co mogę, a czego nie mogę gotować w kuchni?

„Skąd jestem?”. Czy nie pokazałam już, że pomimo mojego biologicznego pochodzenia znam polski język i zwyczaje?

„Skąd jestem?”. Czy szukasz jakiejś egzotycznej odpowiedzi, która pomoże ci dowiedzieć się więcej o trudach, które przeszłam, warunkach, które zmotywowały mnie do wyjazdu, być może wstrząsających opowieściach o podróżach i zerwanych więzach rodzinnych? Czy ona szuka rozrywki? Jakiegoś sensacyjnego momentu grozy lub triumfu, by poczuć się dobrze z samą sobą albo z siłą ludzkiej woli?

Ile razy muszę dzielić się swoim życiem z nieznanymi? Niezależnie od odpowiedzi, pojawi się więcej pytań. Dlaczego przyjechałam do Polski? Na jak długo? Dlaczego wyjechałam? Ludzie są ciekawi, ale i zjadliwi. Czy muszę opowiadać każdemu pracownikowi Żabki historię mojego życia, gdy wykryje akcent nad moim zielonym napojem Monster?

Może mogłabym przyjąć jakąś inną tożsamość, przynajmniej tymczasowo. Mogłabym powiedzieć, że jestem Polką – może urodziłam się w Polsce – ale dorastałam gdzie indziej? To wiarygodne, prawda? Czy pomogłoby to szybciej umieścić mnie w „bezpiecznej” kategorii, aby zmniejszyć liczbę wymaganych działań następczych? Czy ułatwiłoby to mentalną akrobatykę akceptacji, nawet z moim akcentem?

„Skąd jestem?”. Z kraju, który już nie istnieje, a przynajmniej nie w takiej formie, w jakiej go znałam. Czy zostałam zmuszona do wyjazdu? Tak, na wiele sposobów. Sytuacja była okropna. Ale też pod pewnymi względami nie, mogłam zostać – tak wielu innych zostało. Ale zdecydowałam się odejść. Wszyscy dokonujemy takich wyborów. Mój szkolny kolega, w tym samym wieku, o podobnych zainteresowaniach, podjął decyzję o opuszczeniu tego świata. Ja po prostu przekroczyłam granicę. Czy powód, dla którego wyjechałam, a który dla mojego przyjaciela był nie do zniesienia, czyni moją historię bardziej godną uwagi? A może fakt, że mój ojciec zmarł podczas mojej nieobecności? Nie zdążyłam się pożegnać. Czy moja życiowa

podróż do wielu krajów, zarówno zachodnich, jak i wschodnich, zanim ostatecznie osiadłam w Polsce, czyni mnie bardziej zasługującą na współczucie? Czy nie wszyscy zmagamy się z trudnościami, przyjaciółmi i krewnymi, których straciliśmy?

Moje doświadczenie życiowe jest czymś, co noszę ze sobą w każdej interakcji w Warszawie. Jest to zarówno ciężar na moich plecach, obciążający każdą rozmowę, ale także schronienie. Kiedy obserwuję politykę *push-backów*, przypomina mi się, że jestem kimś więcej niż tym krajem. Mam doświadczenia i perspektywy, które są obce ludziom tutaj. Jestem w stanie traktować każdego imigranta i błąkające się po ulicy dziecko ze współczuciem, ponieważ wiem, jak to jest być wyrzutkiem. A jeśli zrobi się naprawdę źle, mogę ruszyć dalej, tym razem z Polską na plecach.

MARIIA BILOSTOTSKA

Uchodźcy nie z własnej woli

Tekst oryginalnie napisany w języku polskim.

Siedzę na kanapie i ślepo patrzę w kalendarz. 3 marca. Minął dokładnie rok, od kiedy zostałam uchodźczynią. To obce słowo dziwnie toczy się w ustach i łaskocze czubek języka, jakby nie chciało, żebym je wypowiedziała. Nadal hipnotyzuję ekran komórki, a w mojej głowie pojawiają się wspomnienia.

Dworzec Centralny w Kijowie. Za plecami spakowane, w dwa małe plecaki, życia. Ogromny tłum połyka nas i niesie na schody. Musimy uważnie patrzeć pod nogi, ale ich po prostu nie widać – dookoła nas jest zbyt wiele osób. Niemożliwe jest również rozróżnienie twarzy, one migoczą przed oczami, zmieniając się co sekundę. Powietrze pachnie potem, jedzeniem i zwierzęcym strachem. Wydaje się, że ostatni zapach jest tak mocno wbity w nos, że nigdy nie będziemy w stanie się go pozbyć. Wzrok skupia się na tablicy peronowej, aby znaleźć odpowiedni pociąg, a zamiast tego natyka się na pustkę. Nie działają.

W telefonie mruga powiadomienie: „Marzec 2022, czy chcesz podzielić się wspomnieniami?”. Mój iPhone

najwyraźniej postanowił się ze mnie naśmiewać. Klikam w galerię i pojawiają się przede mną te same filmy z peronu.

Nie ma miejsca, aby stanąć na platformie. I to bez przesady. Ludzie krzyczą głośno, próbując dowiedzieć się, gdzie przyjeżdża pociąg, którego potrzebują.

„Tarnopol... Równe... Kowel... Lwów”*.

Lwów. Tego właśnie potrzebujemy. Tam na nas czekają. Ktoś z tłumu zapewnia, że pociąg do Lwowa wkrótce przyjeździe, i biegnie tam na oślep, skacząc z walizką po torze. Inni pędzą za nim. Nie jesteśmy wyjątkiem.

Muszę zrobić sobie przerwę. Idę do kuchni i wlewam wodę do szklanki. Biorę tyk i...

– Mam, daj mi trochę wody, proszę. Mam sucho w ustach – mówię, sięgając po plecak.

– Weź, tylko pamiętaj, że to jest wszystko, co mamy – odpowiada zmęczonym głosem.

Chciwie przyciskam usta do półlitrowej butelki. Od razu odbija się na nich metaliczny smak kranówki. Krzywię się, ale tłumię mdłości. W końcu gdzieś niedaleko słychać klakson i wkrótce na horyzoncie pojawia się pociąg. Próbuję się dowiedzieć, czy rzeczywiście jedzie do Lwowa. Musimy jechać właśnie tam.

„A wam nie jest obojętne? Najważniejsze, żeby dalej stąd” – warczy przez zęby kobieta w czerwonej kurtce. Jej następna fraza gubi się w natłoku dźwięków, ponieważ konduktor otwiera drzwi do wagonu. A potem wszystko jest jak we mgle.

Wyglądam przez okno. W Warszawie jak zwykle pochmurno. Z jakiegoś powodu ręce zaczynają mi się trząść, prawdopodobnie z zimna, tak myślę i zawijam się w sweter.

Wagon kuszetkowy jest całkowicie wypełniony ludźmi. Na jednej półce siedzi pięć osób, a kilkoro dzieci umościło się

* Miasta położone w zachodniej Ukrainie.

na tak zwanej trzeciej półce, na której zwykle przechowuje się koce lub bagaże. Na szczęście udaje mi się usadzić mamę na skraju jednego z siedzeń. Kładę się na podłodze, obejmując jej nogę. Naprzeciwko mnie siedzi 40-letnia Valentina, już po raz czwarty próbuje się do kogoś dodzwonić, ale bezskutecznie. Z drugiej półki wygląda kędzierzawa główka, to jej 5-letni synek Orest.

„Mamo, dlaczego tata nie jedzie z nami?”

Kobieta nic nie odpowiada, cicho spuszcza głowę na kolana, a po minucie słychać stłumiony szloch. Mały nie rozumie, co jest nie tak, i z ciekawością patrzy na mnie.

„Mój tata poszedł do Teroborony*. Powiedział, że będzie chronił mój spokojny sen” – jego uśmiech jest tak czysty i niewinny, a moje serce się ściska.

Składam ręce do modlitwy, żeby z małym Orestem i jego rodzicami wszystko było dobrze.

„Boże, chroń nas” – niesie się chór głosów po wagonie, gdy znów w nocy zatrzymujemy się gdzieś w polu i gaśnie światło. Nasz pociąg jest zagrożony ostrzałem. Ponownie. Tam, za ścianą, niemowlę znowu zalewa się łzami. Ma dopiero 28 dni. Jego krzyk pozostanie ze mną na zawsze.

Dziś maluch ma rok i 29 dni. Mam nadzieję, że nic nie pamięta. Szkoda, że ja wszystko pamiętam.

Nasz pociąg nie przyjeżdża do Lwowa ani w nocy, ani rano, ani po południu. Zamiast tego około szóstej wieczorem zatrzymuje się w Jagodzinie – ostatnim ukraińskim punkcie.

„Ci, którzy chcą zostać w Ukrainie, wychodzą tu. Dotyczy to w szczególności mężczyzn. Dalej jedziemy do Chełma” – oznajmia konduktor.

„Ale na nas czekają we Lwowie, a w Chełmie na nas nie czeka nikt” – krąży obsesyjna myśl. Patrzę, jak moja mama gorączkowo szuka kontaktu do kogoś, a potem pisze wiadomość.

* Wojska Obrony Terytorialnej.

Za kilka godzin docieramy do Chełma. I po raz pierwszy od prawie doby wagon milknie. Ludzie płaczą w milczeniu, choć wydawałoby się, że powinni być szczęśliwi. Tylko ja, o dziwo, nie znajduję łez.

Wydawałoby się, że minął cały rok, ale tych wspomnień nie da się wymazać, są całkowicie wygarbowane na skórze.

To miejsce, w którym nikt nie musiał na nas czekać, wita nas zbyt gościnnie, jak rodzinę.

„Chcecie herbaty? Pewnie jesteście zmęczeni drogą?” – mówi facet w kamizelce odblaskowej.

Częściowo rozumiem, co mówi, ale nie jestem w stanie odpowiedzieć, kręcę głową. Bez sił opadam na krawężnik. Nagle coś ciepłego i miękkiego spada na moje ramiona. To ten chłopiec przyniósł koc. I łza spływa po moim policzku.

MARIIA BIŁOSTOTSKA – dziennikarka. Pochodzi z Kijowa. Przed pełnoskalową inwazją Rosji na Ukrainę przez 2 lata pracowała w ukraińskiej telewizji jako reporterka. Aktualnie jest studentką studiów magisterskich na Wydziale Dziennikarstwa, Informacji i Bibliologii UW oraz współpracowniczką Działu Edukacji Dorosłych w Muzeum POLIN.

HUSEYIN CELIK

Niezrozumiany obcy

Tekst oryginalnie napisany w języku polskim.

Styczeń 2023

Mam 24 lata. Wkrótce minie pięć lat od początku nowego i zupełnie innego życia. Jak naprawdę łatwo wydaje się mówić niektóre rzeczy. Łatwo jest powiedzieć: „pięć lat samotności”, pokrytej ośmioliterową tęsknotą. Ale napisanie tego jest bardzo trudne, choć nie tak trudne, jak przeżycie tego.

George Orwell w swojej książce „Rok 1984” napisał, że „może to, czego człowiek pragnie najbardziej, to nie tyle być kochanym, ile rozumianym”. A mnie ludzie nie rozumieli. Nie rozumieli mnie w mojej rodzinie i w moim kraju. Zostałem niezrozumiany. Stałem się dla nich obcy. Jak bolesne jest bycie obcym w swojej rodzinie. Bycie obcym w ojczyźnie. Nawet szczęście dla mnie było obce. Moim przeznaczeniem jest bycie obcym. A samotność wytworzona przez byciem obcym była i stała się moim światem.

Na początku mojego pobytu w Polsce (2019 rok) liczyłem dni i tygodnie, a potem miesiące, następnie lata. Dzień za dniem moje nadzieje na powrót do mojego pięknego kraju – Turcji – gasły, w efekcie złożyłem dokumenty o azyl polityczny w styczniu 2023 roku. W ciągu pięciu lat samotności wiele razy myślałem: czy nie byłoby miło, gdybym mógł raz na

jakiś czas odwiedzić moją rodzinę i krewnych? Mocno przytulić moją mamę, siostrę i braci. I może zjeść jedzenie mojej mamy z mojego rodzinnego miasta, które staram się zapamiętać. Chciałbym też usiąść sam na sam z moim ojcem i szczerze porozmawiać. Może wystarczyłoby zobaczyć Stambuł, który zajął miejsce w moim sercu, aby ożywić moje nadzieje... Czy te żądania są zbyt wygórowane? Co za pytanie? Oczywiście to byłoby dużo dla takiego obcego...

Moje tęsknoty za Stambułem

Do miasta smutku, Stambułu,
Moja tęsknota jest legendarna.

Wszędzie szukam go.
Kiedy widzę jakąś rzekę,
Zapalam papierosy.
Szukając cieśniny Bosfor,
Siedzę godzinami nad Wisłą i Odrą.
Kończę papierosy,
Jednak nie udało mi się pamiętać tych,
Które paliłem nad Bosforem.

Przychodzi mi coś do głowy,
Od czasu do czasu.
Pierwsze dni, kiedy poznałem poezję.
Pamiętam, jak naiwnie,
pisałem miłosne wiersze,
w moim łóżku, przez noc.
Tęsknię za Stambułem, miastem miłości.

Pamiętam trudny czas,
który spędziłem z dala od rodziny.
Niekończące się melancholijne noce,
Towarzyszyły mi w mojej szkole.
Perła Bosforu, tak się ona nazywała,
Uczyła mnie tym, kim jestem,
Tęsknię za Stambułem, miastem melancholii.

Pojawiają mi się za zamkniętymi oczami,
Wspomnienia ze szkolnego ogrodu.
Myślę o drzewie magnolii,
Zbierałem i suszyłem jej spadające liście.
Pamiętam o wierszach,
które napisałem na jej liściach.
Jak mogę o nich zapomnieć?
Tęsknię za Stambułem, miastem poezji.

Pamiętam głosy zwykłych ludzi,
Pędzący tłum po ulicach.
Czekałem niecierpliwie na noc,
Na godziny melancholii.
Pisałem wiersze bez przerwy,
Kiedy wszyscy spali,
Słuchałem ciszy niebiańskiego pokoju,
Tęsknię za Stambułem, miastem pięknych świtów.

Pamiętam wspaniałe Ezany,
które wzywały do modlitwy.
Jeden po drugim,
śpiewane jako różne kompozycje,
tworzą zupełnie inną atmosferę,
bardzo przyjemną dla wszystkich.
Tęsknię za Stambułem, miastem duszy.

Do morza między błękitem a turkusem,
Moja tęsknota jest ogromna.
Każdego dnia, gdy przyjeżdżam nad Wisłę,
Patrzę tak długo na nią i wzdycham.
Szukam tego koloru wszędzie.
Kolorów mi nie wystarcza.
Tęsknię za Stambułem, miastem błękitu.

Przychodzące i odchodzące morze,
Źródłem życia jest dla ludzi.
Setki promów na morzu,
Przewożą wielu różnych ludzi.
Tęsknię za Stambułem, miastem różnych promów i ludzi.

Nie ma walki między nami a wami,
Gości miliony różnych ludzi.
Żydów, chrześcijan i muzułmanów.
Wszystkich religii, wierzących i niewierzących,
Z tysiąca różnych kultur.
Łączy nas wszystkich miłośników pokoju.
Tęsknię za starym Stambułem, miastem tolerancji.

Pół poeta, pół wiersz,
Próbuję o Tobie pisać.
Wielu poetów nie potrafiło cię opisać.
A jak ja mogę?
Kochany Stambuł, miasto piękności.

Nie pozwolą, abym przyjechał do Ciebie.
Całe noce mógłbym słuchać Ciebie,
Pałac papierosy z tą tęsknotą,
W dzielnicy Kuleli nad Bosforem.
Tęsknię za moim miastem Stambułem.

Maj 2023

Moja mama wciąż naiwnie myśli, że wkrótce będę mógł do niej wrócić. Ale tego zdania nie podziela rząd Erdoğan, prezydenta Turcji, na którego również głosowała moja mama. Mój ojciec wie, że te sprawy nie są takie proste, ale to nie powstrzymuje go przed głosowaniem na człowieka, który postrzega ludzi takich jak ja jako wrogów. Ilekroć moi krewni pytają mnie, kiedy wrócę, zawsze odpowiadam wymijająco: wkrótce. W tym tekście-manifeście przedstawiam prawdę o byciu samotnym uchodźcą.

Powinniście wiedzieć, że nie mogę wrócić do Turcji, jeśli sytuacja polityczna w tym kraju się nie zmieni. Boję się wrócić, bo jeżeli to zrobię, zostanę aresztowany, gdyż występuję przeciwko reżimowi Erdoğan.

Od dzieciństwa marzyłem o studiach za granicą. Rozważałem studia w różnych krajach. Niektóre pomysły nie wypaliły,

z niektórych zrezygnowałem. Musiałem szybko podejmować decyzje, ponieważ zacząłem wyróżniać się jako antyrządowy obywatel. Moje poglądy przedstawiałem na uniwersytecie, w dzielnicy oraz wśród krewnych i przyjaciół, ale dostrzegłem, że były niemile widziane przez większość społeczeństwa. Po innych próbach podjęcia studiów za granicą udało mi się pojechać do Polski. Przyjechałem tu na studia, ale wiedziałem, że po ich zakończeniu nie będzie łatwo wrócić. Nie chciałem być obcym i samotnym w Polsce, tak jak byłem we własnym kraju. Dlatego wiedziałem, że najlepszą rzeczą, jaką mogę zrobić, jest integracja z nowym społeczeństwem. Jej najważniejszym elementem niewątpliwie jest komunikacja.

Z wdzięczności dla Polski i dlatego, że Polska otworzyła przede mną swoje drzwi, dając mi nadzieję na słoneczne dni, zacząłem uczyć się języka polskiego. Pomyślałem, że mogę spłacić ten dług, robiąc coś pożytecznego dla społeczeństwa. Zdecydowałem się studiować dziennikarstwo, po pierwsze dlatego, aby spełnić własne marzenia, jak i dlatego, żeby lepiej nauczyć się języka polskiego. Jako dziennikarz bez wątpienia miałbym okazję zrobić coś dobrego dla społeczeństwa. Co więcej, mógłbym ostrzegać ludzi przed reżimem w Turcji, opowiadając, jak kroczy drogą autorytaryzmu. Miałem nadzieję, że będę mógł mówić o problemach ludzi i łamaniu praw człowieka w Turcji. Czy mogłem być dziennikarzem w Turcji? Gdzie, poza więzieniem, może żyć dziennikarz, który mówi prawdę? A jak mogę być dziennikarzem, jeśli nie mogę mówić prawdy?

Podczas studiów licencjackich, które zacząłem w 2019 roku, miałem poznać ideę dialogu, który miał mi dać możliwość bycia mniej obcym i bardziej zrozumianym. Ciężko było nie zauważyć i nie czuć tego, że dla tych ludzi byłem kimś obcym. Ale miałem nadzieję, że będę zrozumiany i przez to nie będę samotny. Pomyślałem sobie, że w tym celu muszę poznać lepiej Polskę, aby lepiej zrozumieć ludzi. Musiałem zrewidować niektóre informacje i poglądy. Wcześniej, w Turcji, kształciłem się jako muzułmanin. Niewiele wiedziałem o innych kulturach i religiach, chociaż od najmłodszych lat czytałem światową klasykę. Miałem bardzo wąskie spojrzenie na rzeczywistość.

Żyłem w swoim świecie, w którym zbudowałem wokół siebie mury z uprzedzeniami. Bo dla mnie obcy (*ecnebi**) był wtedy ignorantem, brudnym, samolubnym i beznadziejnym człowiekiem. Bo dorastaliśmy z przekonaniem, że Turek może mieć za przyjaciela tylko Turka. Wyznawcy judaizmu i chrześcijaństwa byli opisywani w podręcznikach szkolnych jako najgorsi wrogowie. Niestety ja też zostałem wychowany w ten sposób.

Moje refleksje po lekturze książki „Rok 1984” Geroge’a Orwella są takie, że aby nami rządzić, władza straszy nas wrogami, którzy tak naprawdę nie istnieją. Żeby łatwo rządzić społeczeństwem, konieczne jest zjednoczenie go wokół wspólnego celu. Ten wspólny cel wymaga wspólnego wroga. To nasi wrogowie czynią nas tym, kim jesteśmy. Od dzieciństwa dorastałem z nierealnymi wrogami, którymi dla Turka są chrześcijanie, Żydzi, Europejczycy i obcokrajowcy, a dla Polaka to muzułmanie i osoby z Afryki i Bliskiego Wschodu. Niestety wielu z nas dorasta dziś z takimi wyimaginowanymi wrogami. Smutne jest to, że nie wiedziałem nawet, co moja własna religia ma do powiedzenia na temat obcych religii i kultur. Te kultury i religie były dla mnie obce. Nawet bałem się, że te kultury w jakiś sposób zagrożą mojej kulturze.

Raz, kiedy miałem 16 lat, w 2014 roku, poszedłem do bardzo dużego i ważnego kościoła w Stambule. Byłem bardzo przestraszony, bo nie wiedziałem, co mnie tam czeka. O ile pamiętam, przywitał mnie dziwny zapach i magiczna atmosfera. Myślę, że odbywało się nabożeństwo. Kiedy próbowałem wyjść, nie tracąc zbyt wiele czasu, ktoś podał mi jakąś książkę. Później zauważyłem, że to Biblia. Otworzyłem ją nerwowo i przez chwilę czytałem. Potem bałem się ją zanieść do domu, chciałem ją gdzieś zostawić. Tego dnia, po powrocie do domu, czułem się bardzo źle. Bałem się, że mogłem przez pomyłkę opuścić moją ukochaną religię. 7–8 lat później, w 2022 roku, gdy wspominałem tę historię, śmiałem się z tego z moimi przyjaciółmi w kościele. Zrozumiałem jeszcze raz, że człowiek boi się tych rzecz i ludzi, których nie zna. Po przyjeździe tutaj zacząłem poznawać polską kulturę, religię, historię i strukturę

* Z tureckiego: wędrowiec, przybysz, egzotyczny, odległy, obcy.

społeczną, dużo czytając i obserwując. Regularnie chodziłem do kościoła i uczestniczyłem w nim w różnych spotkaniach. W ten sposób zacząłem poznawać chrześcijaństwo. Ale nie tylko, z drugiej strony, miałem regularne wykłady z żydowskim dziennikarzem o judaizmie. W ten sposób te kultury i religie, które były mi wcześniej obce, przestały mnie przerażać.

Bycie świadomym swojego statusu wpłynęło na moje życie w Polsce. Niezależnie od tego, czy to akceptowałem, czy nie, byłem tutaj uchodźcą. Przyjazd do Polski zmienił moje spojrzenie na kwestię uchodźców. Według ONZ w Turcji oficjalnie mieszka ponad 4 miliony uchodźców – najwięcej na świecie. Myślałem, że wiem, jak oni cierpią. Mimo że w przeszłości miałem z nimi dobre relacje, zrozumiałem ich sytuację lepiej, gdy sam znalazłem się w podobnej sytuacji. Byłem również obcy dla moich znajomych wtedy, kiedy nie mówiłem o uchodźcach tak, jak oni. Jak mógłbym mówić tak, jak oni, skoro doświadczyłem, jak ciężko jest naprawdę być obcym w innym kraju. Nie mogłem zrozumieć, jak ludzie mogą być ksenofobiczni, skoro taki problem istnieje na całym świecie. Czyż to nie prorok islamu Mahomet był migrantem, czyż to nie Jezus Chrystus był migrantem? Czyż Adam Mickiewicz nie był migrantem? W tej sprawie mnie też nie rozumieli, więc zostałem znowu obcy i samotny.

Podczas moich studiów licencjackich poszerzyłem swoje aktywności. Chciałem pracować dla dobra ludzi, zajmując się problemami społecznymi. Dzień za dniem moje kompetencje w dziedzinach, w których pracowałem, rosły. Cele, które postawiłem sobie na przyszłość, powoli się spełniały. Jako ekspert i dziennikarz byłem zapraszany do programów telewizyjnych i radiowych. Pisałem dużo artykułów. Przy różnych okazjach opowiadałem o Turcji. Czasami mówiłem o islamie, czasami o imigracji, prawach człowieka i uchodźcach. Opowiadałem również o wszystkich rodzajach cierpienia ludzi w Turcji, bez rozróżniania między Turkami, Kurdami, alewitami, Żydami, chrześcijanami, ruchem Gulena itp. Wiedziałem, że ten rodzaj pracy był i będzie szczególnie niepokojący dla niektórych osób sympatyzujących z Turcją. Turecki rząd

oczywiście nie pochwaliliby tego, co robię. Wiedziałem, że będę musiał ponieść konsekwencje. Być może już nigdy nie poczuję się bezpiecznie, mimo że jestem w Unii Europejskiej. Jeśli ktoś jest przeciwko reżimowi Erdoğan, nie ma znaczenia, czy mieszka w Turcji, czy w innym kraju. Pionki reżimu atakują dziennikarzy dla swojej ideologii. W rezultacie oczywiście nie mogę wrócić do Turcji. Czekam na azyl w Polsce. Nie chcę wyjeżdżać nigdzie indziej. Tu znalazłem swoją przyszłość. Teraz czuję się tutaj mniej obcy i samotny. Bez wątplenia jestem tu bardziej rozumiany i szanowany niż w Turcji. Czuję, że mam własne miejsce wśród tych ludzi, którzy przyjęli mnie do swojego kraju i dobrze mnie traktują.

Chociaż jedna strona mojego życia jako uchodźca (2019–2023) była kolorowa i pełna zdarzeń, ta druga była mroczna i melancholijna. Pięć lat samotności nie było łatwe. Do tego doszła depresja, choroba i problemy finansowe. Druga strona była wypełniona literaturą, poezją i książkami. Mając tak wiele problemów, w ogóle nie mogłem spać. Noc stała się moją przyjaciółką. Pisałem wiersze o intelektualnej oraz fizycznej samotności i byciu niezrozumianym. Im więcej tworzyłem, tym więcej myślałem. Często tonąłem w oceanie myśli. Do dziś nie potrafię znaleźć sensu w tym, że moja rodzina mnie nie rozumie, nawet jeśli ludzie, których właśnie poznałem, mnie rozumieją. Kiedyś myślałem, że może język jest barierą, która nie pozwala być zrozumianym – myliłem się. Zdałem sobie sprawę, że można być zrozumianym w innym języku, ale niekoniecznie w swoim własnym. Szukałem odpowiedzi na te pytania, wciąż ich szukam i jeszcze będę to robił.

Zapytaj noce o mnie,
kiedy wszyscy śpią,
kiedy jestem sam.
Noc mnie zna,
wysłuchuje moich sekretów,
szepcze mi wiersze do ucha,
przepełnia moje serce melancholią.
Zapytaj noce o mnie.

Lato 2023

Nie na każde pytanie można znaleźć odpowiedź. Męczy mnie ich poszukiwanie. Późno zrozumiałem, że należy zaakceptować niektóre rzeczy takimi, jakie są. Wiem, że nie zmieniają się bez względu na to, co zrobię – chodzi mi na przykład o opinie mojej rodziny i moich znajomych.

Akceptując to, zawieram pokój z samym sobą, tak jak zawieram pokój ze wszystkimi, którzy mają odmienne poglądy. Już nie widzę sensu w moich marzeniach z dzieciństwa o zakończeniu zła na świecie. Robię to, co mogę, i powoli zdaję sobie sprawę, że zaczynam być szczęśliwy. Widzę, że moje rozmowy telefoniczne z rodziną są teraz lepsze.

Zauważyłem, że kiedy ja akceptuję ludzi takimi, jacy są, to oni również akceptują mnie takim, jaki jestem. Wszyscy zaczęli mnie w końcu traktować jak kogoś bliskiego.

Staram się być rozumiany i nie być Obcym tak bardzo, jak tylko mogę. I przestaję udawać, że jestem idealny.

Staję się w końcu obcy swojej obcości.

Spoglądam z nadzieją w przyszłość i wierzę, że nikt nie będzie już niezrozumiany, obcy i samotny...

HUSEYIN CELIK – dziennikarz i ekspert do spraw Turcji i islamu. Pochodzi z Turcji. Mieszka w Polsce od 2018 roku. Aktualnie pisze pracę magisterską. Jest miłośnikiem literatury, poezji i kuchni. Pisze i opowiada. Działa na rzecz pokoju, dialogu i praw człowieka. W instytucie Dialogu Dunaj koordynuje media społecznościowe, organizuje oraz prowadzi wydarzenia i warsztaty.

ANUSHE

„Białoruska kolej żeliwna”

Tekst oryginalnie napisany w języku rosyjskim.

Tłumaczenie: Antonina Ciużeńska.

Odkrycie czy przekleństwo?

Kiedyś moim marzeniem było zostać pisarką. Z zapalem pisałam eseje, niestrudzenie zanurzając się w lekturze, czerpiąc inspirację z dzieł wielkich mistrzów słowa. Słowo wydawało się centralnym elementem mojego życia. Moje umiejętności debatowania sprawiały, że czułam się silna, poezja często wpływała ze mnie nieoczekiwanie, a szkolne wydarzenia stały się rutyną – prowadziłam je z łatwością.

Może się wydawać, że tak nagły zwrot losu – przymusowe opuszczenie domu, ciągłe poczucie inwigilacji ze strony władz, historie innych osób, ich twarze i łez zauważonych podczas przekraczania granicy – to ogromna szansa dla pisarki. To jak źródło inspiracji, ostre pchnięcie do przodu, droga ku czemuś naprawdę wielkiemu... Szansa, która jest naprawdę wyjątkowa. Ale w mojej sytuacji sprawy potoczyły się inaczej. Minęło ponad pięć lat, odkąd moje pióro przestało dotykać papieru (lub moje palce przestały dotykać klawiatury). Niemniej jednak, kiedy dowiedziałam się o tym konkursie, przemyślałam moją sytuację i głęboko przeanalizowałam moje doświadczenia, i odważyłam się wrócić do tych dni, kiedy moja rodzina i ja musieliśmy opuścić naszą ojczyznę, być może na zawsze.

W cyfrowych głębinach mojego komputera natknąłem się na folder sięgający początków mojej podróży uchodźczej, aż do 2017 roku. Nazwa „Białoruska czyhunka”* przebiegła przez moje ciało jak prąd elektryczny. Oto co czało się w środku: „Historia Białoruskiej czyhunki. O tym, jak wiele trudności człowiek musi pokonać na drodze do szczęścia”.

Ani słowa więcej.

Widok kobiet i dzieci na granicy sprawił, że chciałam o nich napisać, opowiedzieć ich historię. W myślach próbowałam znaleźć odpowiednie przymiotniki, by uchwycić ich mimikę, gesty, słowa. Prawdopodobnie przestałam pisać właśnie dlatego, że wydawało mi się to niemożliwe. Jak oddać wszystkie trudy podróży młodej kobiety z trójką dzieci i jedną walizką, jadącej wczesnym rankiem pociągiem (osławioną „białoruską czyhunką”), zmierzającej do granicy polsko-białoruskiej z nadzieją w sercu, że już nie wróci? Mimo to jestem zdeterminowana, aby opowiedzieć tę historię, ponieważ nie jest to zwykła historia, to historia mojej rodziny: kobieta to moja mama, a dzieci to ja, moja młodsza siostra i brat.

Co ciekawe, żeliwo (czyhun) jest bardzo kruchym materiałem. Kiedy pojawiła się kolej, szyny były wykonane z żeliwa lub kutego żelaza. Żeliwne szyny były bardzo kruche i łatwo się łamały, więc szybko znaleziono rozwiązanie w postaci stali. Podobnie do właściwości tego materiału, każdy pasażer białoruskiej czyhunki jest tak samo wrażliwy i kruchy.

Po podróży „czyhunką” nasza rodzina wylądowała na przejściu granicznym, gdzie rodziny takie jak my cierpliwie czekały, aby zobaczyć, czym skończy się to czekanie: czy Europa ich przyjmie, czy nie. Pokój, do którego weszliśmy po sprawdzeniu bagażu, wciąż tkwi w mojej pamięci. Pamiętam twarze osób, które sprawdzały nasze rzeczy, i jak długo zajęło mi zebranie się na odwagę, by cicho powiedzieć „dzień dobry” łamaną polszczyzną z tadzyckim akcentem. To był chyba piąty

* Czyhunka – kolej żeliwna. Białoruska czyhunka to przewoźnik jak PKP.

dzień naszych podróży czyhunką, kiedy w końcu udało mi się wypowiedzieć te dwa słowa. Pamiętam, że moje usta ledwo się poruszały.

Po zakończeniu kontroli weszliśmy do dużego przeszklonego pomieszczenia, przez ściany którego rozciągał się widok na domy. Europa... pomyślałam, oto ona, nasza nowa ojczyzna. Gdybym miała wiedzę o polskiej kulturze na takim poziomie, na jakim mam teraz, mój umysł zapewne skojarzyłby to miejsce ze „szklanymi domami” Stefana Żeromskiego.

Po chwili oczekiwania Straż Graniczna zaczęła odczytywać nazwiska. Każde z nich wyartykułowane przez funkcjonariusza sprawiało, że serce waliło mi mocniej. Jeśli padło nazwisko, paszport był zwracany z przekreśloną pieczętką, oznaczającą odmowę wjazdu do Polski. Padło wiele nazwisk, a my w końcu byliśmy ostatnimi w tej szklanej przestrzeni. Po przejściu wszystkich procedur wyszliśmy na zewnątrz. Polska! A potem naszym kolejnym etapem był obóz dla uchodźców. Na tym chyba kończy się poetycka strona mojego doświadczenia, bo obóz okazał się dużo mroczniejszym, surowym i pozbawionym złudzeń światem. To w nim, w mrocznym czasie i w chwili niepewności, opuściło mnie pióro.

ANUSHE – urodziła się w Rosji, dokąd wyemigrowali jej rodzice. Wkrótce potem wrócili do rodzinnego Tadżykistanu. Musiała uciekać z ojczyzny ponownie w wieku 14 lat. Razem z częścią rodziny przekroczyli granicę Białorusi, aby dostać się do Europy Środkowej. Teraz na stałe mieszka w Polsce i studiuje stosunki międzynarodowe w Warszawie. Kocha dźwięki, kino oraz poezję.

OLGA GEMBIK

I nie będzie już strachu. Dzień w oknie

Tekst oryginalnie napisany w języku ukraińskim.

Tłumaczenie: Antonina Ciużeńska.

Praca wyróżniona przez jury „Pamiętników Uchodźczych”.

Wojna była zaplanowana na jutro.

To był początek naszej uchodźczej podróży. Dzień wcześniej staraliśmy się o tym nie myśleć, planowaliśmy i klikaliśmy coś błędnego na Facebooku, wstawialiśmy „lajki” i serduszka pod zdjęciami kotów. Ale niepokój i przeszywający, trudny do opisania ból już kryły się za mostkiem, w okolicach splotu słonecznego.

Te uczucia nasiliły się, gdy tylko pojawiły się posty takie jak: „Dziewczyny, przepraszam, że znowu to mówię, ale muszę zapytać: co włożyłyście do swojego «kryzysowego plecaka?»”. Ktoś ripostował: „O mój Boże, wszystko będzie dobrze, nie histeryzuj” i wstawiał gniewne emotikony. Ale niepokój i ból w klatce piersiowej nie ustępowały. Być może również u tych, którzy reagowali tak ostro.

Pewna dziewczyna w internecie podzieliła się dokładną listą rzeczy, które powinny znajdować się w plecaku: „Paszporty, kopie dokumentów, batoniki, suchy makaron, chleb, świeczki, zapalniczka, powerbank. I woda, koniecznie woda”. Jest zawodową

żołnierką, była w Piskach* i w pobliżu Bachmutu**. Jest osobą spokojną, zdeterminowaną i opanowaną. I muszę przyznać, że brzmi to naprawdę poważnie.

Nerwowo pocieram ręce, próbując przypomnieć sobie, gdzie są nasze paszporty, ale mój umysł nie jest skupiony – myślę o lekcjach pływania mojej córki, zastanawiając się, czy zapłaciłam za szkolne obiady, pakując odruchowo *lunch box* dla dzieci na jutro. Muszę też w końcu umyć okna.

Jedna z dziewczyn na Facebooku pisze, że już od dwóch tygodni jest we Lwowie wraz z dziećmi. Z jakiegoś powodu otwieram stronę ukraińskich kolei i szukam biletów na pociąg jadący na zachód Ukrainy. Górne półki, dolne półki, w sumie 48 miejsc wolnych. Zamykam laptopa.

Wieczorem długo stoję przy oknie, popijając kawę. Naprzeciwko znajduje się jednostka wojskowa nr 0331. Kiedyś napisałam na Facebooku: „Co noc do samego świtu czuwa przy mnie jeden człowiek. Wartownik z jednostki wojskowej naprzeciwko”.

Od tego czasu wiele się zmieniło – w 2014 roku wojsko zainstalowało tu czołg, którego lufa teraz skierowana jest w kierunku mojego okna. A ostatnio przy bramie pojawiły się metalowe „jeże” – zapory przeciwczołgowe. Od kilku tygodni nasi wojskowi opuszczają jednostkę wieczorem, by udać się na poligon, a na ich pancerzach powiewają żółto-niebieskie flagi. „Nasi idą!” – krzyczy moja córka i biegnie do okna. Mój Boże, jakie to jest piękne!

Wartownik z jednostki naprzeciwko jest przykładem porządku, symbolem naszego spokoju. On również się obudził. Być może teraz mocniej trzyma broń. Nic nie poradzisz – nastał czas niepokoju i drażniącego bólu w splecie słonecznym.

* Osiedle położone na wschodzie Ukrainy, w obwodzie donieckim.

** Miasto położone na wschodzie Ukrainy, w obwodzie donieckim. Od października 2022 roku do maja 2023 roku toczyły się o nie zażarte walki, obecnie znajduje się pod rosyjską okupacją.

W czwartek o piątej rano budzą mnie odległe, głośne eksplozje: pierwsza, druga, trzecia. Szyby w oknach trzęsą się. Podskakuję i podbiegam do okna. Na wyjeździe z Kijowa Alejami Peremohy* tworzy się już korek. Chwytam za telefon i nerwowo przewijam wiadomości. Zdaję sobie sprawę, że miasto nie śpi już od godziny.

„Zaczęło się...”, „Ruszyli na Ukrainę, sukinsyny”, „Dziewczyny, to jest wojna” – na Facebooku się gotuje. Sytuacja nie pozostawia też żadnych nadziei na inny rozwój wydarzeń, bez względu na to, jak bardzo chciałabym w to wierzyć. Zauważam, że korek jest pełen młodych ludzi, głównie par, które wskoczyły do samochodów, gdy tylko przeczytały pierwsze doniesienia o napaści. Dziewczyny w modnych, ciepłych kombinezonach, włosy spięte w kok, z małymi pieskami na rękach. Ich samochody są w połowie puste, nie dbają zbyt o swój dobytek.

Odbieram alarmujący telefon z samego rana – to mój przyjaciel Grzegorz z Polski. Poznaliśmy się 20 lat temu, na jednej z młodzieżowych imprez integracyjnych. Dużo rozmawialiśmy, kłóciliśmy się – szczególnie na tematy, które dotyczyły skomplikowanych kart ukraińsko-polskiej historii. Toczyliśmy ostre spory, blokowaliśmy się na komunikatorach, a potem znów szukaliśmy kontaktu. A teraz on pierwszy dzwoni, chce nam pomóc. Cóż za zaskakująca przekorność losu, prawda?

Wybiegając w przyszłość, powiem, że moi krewni pochodzący z Rosji – jeden z nich jest czynnym oficerem w rosyjskiej armii – nie zadzwonili do mnie ani razu. To rodzaj rodzinnej projekcji „braterstwa”.

Włączam laptopa. Strona kolei wciąż jest w moich zakładkach. „Obecnie 56 osób kupuje bilety w tym kierunku” – informuje automatycznie aplikacja online. Ale teraz w pociągu są tylko dwa wolne miejsca. Tylko dwa, a nas jest troje.

Jest szósta rano. Moja córka śpi tak słodko. Wchodzę do pokoju po raz drugi i nie mam odwagi jej obudzić. Za godzinę musi przygotować się do szkoły. Wciąż wydaje mi się, że wszystko można powtórzyć, zmienić i poprawić.

* Aleja zwycięstwa – wyjazdowa droga z Kijowa na zachód.

Na mój Viber przychodzi wiadomość od wychowawczynie, która nie pozostawia żadnych wątpliwości. „Zajęcia są dziś odwołane, wszyscy potrzebujemy siły, uważajcie na siebie” – czytam na szkolnym czacie.

Pamiętam, że mam niedokończony tekst dla naszego magazynu. Piszemy o Elonie Musku, bioprotetyce, technologii kosmicznej, sztucznej inteligencji i lotach na Marsa. Jaka wojna? Przecież to niemożliwe! Za oknem trwa ewakuacja Kijowa, a ja z jakiegoś powodu otwieram plik i próbuję pracować.

Rozpraszają mnie tylko naczynia w zlewie. Jezu, nie mogłam pozmywać ich poprzedniego dnia? Mokra gąbka, płyn do mycia naczyń o zapachu bazylii, ciepła woda z kranu. Zaczynam zmywać. Nagle przechodzą mnie dreszcze – co ja robię? Muszę dziś oddać tekst do redakcji. Szybko wycieram ręce i ponownie siadam do klawiatury.

Po chwili znów wracam do brudnych naczyń, by dokończyć choć jedno zadanie. Płuczę kubek, widelec i nóż. Potem znów siadam do pisania. „Gratulacje, histeryzujesz!” – komentuję w myślach swoje zachowanie. Nie, po prostu ze wszystkich sił trzymam się swojego poukładanego życia. A ono wypływa z moich rąk jak pachnąca bazylią woda z płynem do mycia naczyń.

Kupuję trzy bilety na jutrzejszy pociąg. Następnie wchodzę na stronę przewoźnika i kupuję trzy bilety autobusowe na dzisiejszy wieczór. A potem, przez pomyłkę, trzy kolejne.

Zaczynam pisać wiadomość do siostry, która mieszka niedaleko Kijowa. „Nie bój się, ale...” – piszę i kasuję. „Sądzę, że rozpoczęła się inwazja...” – piszę i kasuję. Próbuję znaleźć odpowiednie słowa, ale nie idzie mi zbyt dobrze.

„Znajdź sposób, by do nas dotrzeć. Musimy się stąd wydostać”. Taka wiadomość wydaje się najbardziej odpowiednia. Przeczyta ją za kilka godzin, ponieważ o tej porze ma wyciszony dźwięk powiadomień.

Tymczasem moja córka budzi się w nowej rzeczywistości. Nie jest szczęśliwa, gdy słyszy, że nie idzie dziś do szkoły. Przytula zabawki i kota, płacze. Próbuję się uśmiechać, pocieszyć ją. Staram się.

Ponownie podchodzę do okna. W korku stoją zupełnie inni ludzie – rodziny z dorosłymi dziećmi, wnukami, w samochodach niedrogich marek lub wręcz zdezelowanych, wypchnych po brzegi rzeczami. Pewnie rano uznali, że mają jeszcze czas, i zaczęli przetrząsać mieszkania, pakować rzeczy, dokumenty, biżuterię, ubrania.

– Galia, znalazłaś mój sweter?

– Który?

– Ten niebieski, najcieplejszy, który zabieramy na daczę. – Jest, znalazłam go!

Mężczyzna w niebieskim swetrze i luźnej kurtce długo czeka na windę. Przeszępując z nogi na nogę, nasłuchuje, na którym piętrze w końcu się zatrzyma. Potem, na ulicy, długo rozgrzewa samochód, oddechem starając się rozgrzać dłonie. Tuż obok kręci się Gala, wlokąc dużą torbę podróżną, plecak, worek i jeszcze dwie paczki. Są w nich skarpetki, puszki, banany i kolorowanka dla wnuków. Ma też nosidełko z przestraszonym starym psem, który trzęsie się i skomli przez całą drogę.

Mówią, że w sytuacji zagrożenia każdy przyjmuje swoją postawę – walczy, ucieka, nieruchomieje. Przez cały dzień stoję przy oknie. W milczeniu obserwuję Kijów zmierzający na zachód.

Czterech mężczyzn pcha w korku czerwonego Nissana z drzwiami szeroko rozpostartymi jak u ptaka. A miesiąc temu ostrzegano was, że powinniście zadbać o pełny bak, ech...

Dziewczyna wyskakuje z samochodu i pędzi w krzaki niedaleko naszego domu. Nie obwiniam jej. Myślę tylko o tym, jak długo są w drodze, a wciąż nie opuścili miasta.

Po kolejnej godzinie korek w końcu się zatrzymuje, a ludzie masowo wysiadają z autobusów i marszrutek. Niektórzy wysiadają z pojazdów, aby zapalić papierosa czy rozprostować kości, inni – ruszają pieszo. Liczba tych drugich rośnie z każdą chwilą. Autobusy stoją puste i porzucone na torach.

W międzyczasie aleja wypełnia się pieszymi – niektórzy z nich to ci, którym puściły nerwy w transporcie miejskim,

inni idą od metra, dowiedziawszy się, że jedzie tylko do stacji Szulawska. Ciągną walizki na kółkach, niosą na rękach dzieci i koty bez transporterów.

Obserwuję dziewczynę w szarym płaszczu tulącą do piersi rudego kota i jednocześnie próbującą utrzymać walizkę. Współczuję jej i futrzakowi. Ktoś niesie dużą klatkę z ptakami przykrytą prześcieradłem, a ktoś inny prowadzi trzy psy na smyczach. Prawie każdy ma zwierzaka. Kierują się na zachód i wciąż poruszają znacznie szybciej niż samochody. Nawet ci ze zwierzętami.

Powinam anulować bilety autobusowe – wiem, że ta podróż nie ma sensu. Teraz muszę czekać na jutrzejszy pociąg. Ale najważniejsze – przetrwać noc.

Z mojego okna widzę jednostkę wojskową jak na dłoni.

Po obu stronach alei żołnierze sprawnie barykadują się, naciągają siatki maskujące i układają worki z piaskiem przy wejściu. To starannie skoordynowane działania. Z bramy wyjeżdżają transportery opancerzone z młodymi mężczyznami z żarem w oczach. Nie widzę tego przez okno, ale czuję ich determinację i sama jestem nią przepełniona.

Nie chcąc tracić czasu, znajduję taśmę klejącą i ostrożnie zaklejam okna chaotycznymi krzyżykami. Po raz pierwszy czuję, że mam nad czymś kontrolę.

Grzegorz z Polski dzwoni bez przerwy – przekazuje wiadomości, szuka transportu do Unii Europejskiej, pyta, jak się mamy i czy wszystko z nami w porządku. Mówię mu, że wszystko w porządku. Mówię, że gotuję obiad. On udaje, że wierzy.

Po południu przyjechała moja siostra – cudem udało się jej zamówić taksówkę, taryfa była potrójna.

Zastanawiamy się, co robić dalej. Korki, które w godzinę przesuwają się ledwie o długość naszych okien, nie dają żadnych szans na podróż drogą lądową. Jak się okazało, miałyśmy rację: droga do granicy z Polską zajęła niektórym ponad dzień lub dwa – była to trudna i wyczerpująca podróż.

Nie pamiętam, jak długo stałam przy oknie tego dnia, ilu ludzi widziałam. Myślę, że odprowadziłam ich wszyst-

kich. Około 18 korek się rozładował i napisałam o tym na Facebooku.

Wieczorem rozpaczliwą aurę i złe wieści o tych, którzy zginęli jako pierwsi, broniąc Kijowa, zastąpiła nadzieja, że wszystko będzie dobrze. Zauważyłam pierwszych ochotników, których namnożyło się przed jednostką wojskową.

Przyjeżdżali w niedużych grupach oraz transportami zorganizowanymi – autobusami. Byli ubrani na różne sposoby – w cętkowane ubrania myśliwskie i hipisowskie jaskrawe kurtki. Niektórzy mieli plecaki taktyczne, inni torby sportowe, a jeszcze inni – zwykłe siatki na zakupy. Wszyscy mieli w sobie dużo spokoju i jeszcze więcej determinacji.

Chłopaki, często o was myślę. Wierzę, że wszyscy jesteście cali i zdrowi.

Noc była bezsenna i niespokojna. Nad głowami latały helikoptery, słyszałyśmy eksplozje z daleka i bliska, a w pobliżu trwała wymiana ognia.

Przygotowałam walizkę i plecak: spakowałam dokumenty, wodę, chleb, karmę dla kota. Do wszystkich kieszeni ubrań dzieci włożyłam karteczki z numerami telefonów do mamy i babci. Zakręciłam wodę i gaz.

Nie było mowy o spaniu. W razie nalotu byłyśmy gotowe uciekać do piwnicy. Wczesnym rankiem włączył się alarm – głośny i nieznośnie ostry. Szybko zaczęłam ubierać śpiącą jeszcze córkę, a siostra złapała kota, aby umieścić go w transporterze.

Zeszłyśmy do piwnicy przy odgłosach eksplozji. Mimochodem zauważyłam, że przez dziesięć lat, które przemieszkalam w tym domu, nie miałam pojęcia, że jest tu tak luksusowy schron przeciwbombowy, z ławkami, toaletami i dodatkowym metalowym włazem z ryglami.

Na dole było już wielu sąsiadów, wszyscy milczeli, z niepokojem w oczach. Mężczyźni od czasu do czasu wychodzili

zapalić, zbadać sytuację, złapać Wi-Fi i poczytać wiadomości. Fragmenty informacji, które do nas docierały, były przerażające, ale nie sposób było ich nie słuchać.

Usiadłyśmy przy starej radzieckiej konsoli, która służyła jako blat stołu. Na niej, odręcznie napisane atramentem i pięknym kaligraficznym pismem, znajdowały się zasady zachowania w przypadku ataku nuklearnego lub chemicznego. Pozdrowienie z lat 70. Obok nas usiadła ciężarna sąsiadka z pierwszego budynku. Cały czas płakała.

Po południu odgłosy eksplozji na chwilę ucichły i wyszło słońce. Moja siostra i ja spojrzaliśmy na siebie i zdecydowałyśmy, że teraz albo nigdy. Nadszedł czas, aby się wydostać i dostać do stacji kolejowej. W razie niebezpieczeństwa ukryjemy się bliżej domów, w schronach przeciwbombowych.

Około pięciuset metrów dalej złapałyśmy stopa. Kierowca widział nas z daleka i już prawie nas minął, gdy nagle zatrzymał się i zapakował nasze rzeczy do bagażnika. Podwiózł nas do stacji metra i odmówił przyjęcia pieniędzy.

Na stacji metra Szulawska wszystko przypominało obrazy z Apokalipsy: zdezorientowani ludzie na ławkach, karimatach i podłodze. Płaczące dzieci, przestraszeni starcy, nastolatki o rozbieganych spojrzeniach. Psy, koty i jeszcze raz psy. Psy w kagańcach, na rękach, na smyczy, w plecakach. Psy, które nie szczekają, nie skaczą, nie merdają ogonami. Psy są ciche, tak jak ich właściciele.

Jesteśmy na stacji kolejowej. Są tu też ludzie z namiotami, czajnikami, kocami, książkami, kubkami, termosami, zabawkami, klatkami, poduszkami. Cały czas wsłuchuję się w dźwięki wybuchów w oddali.

Dzieci bawią się beztrąsko na podłodze stacji, biegają z samochodzikami i nadgryzionymi jabłkami. Nie przejmują się tym, co jest na zewnątrz. Jest to jak środek uspokajający, dzięki nim nawet nie myślimy o szukaniu wejścia do schronu przeciwbombowego.

Dziewięć godzin oczekiwania na pociąg jest dla mnie niezwykle trudne. Wciąż czuję ciśnienie w splocie słonecznym, mimo że staram się zachować pogodę ducha.

W końcu wsiadamy do ostatniego wagonu naszego pociągu. Jakże to symboliczne – ostatni wagon! Jest w połowie pusty – pasażerowie wykupili wszystkie bilety, ale wcześniej ewakuowali się z Kijowa. Za nami niebo rozdzierają rozbłyśki amunicji smugowej. Pociąg rusza.

Długo będziemy stać na polach, dwa razy pod ostrzałem, ale w końcu, z dziesięciogodzinnym opóźnieniem, staniemy się bezpieczni. Nasz dom, moje okno, zostawiłam gdzieś daleko.

W międzyczasie docierają do mnie przerażające wiadomości. Godzinę temu doszło do bitwy w pobliżu jednostki wojskowej nr 0331. Płonął sprzęt i wypadały okna. Jakiś czas później pojawiły się filmiki przedstawiające ogromne słupy ognia przed moim oknem, zniszczony czołg i tłące się żelazo.

Krewny z Rosji w końcu dzwoni do mojej siostry. Radzi jej trzymać się z dala od obiektów wojskowych i nie martwić się – wszystko skończy się za dwa lub trzy dni. Po prostu wytrzymaj przez chwilę. Dwa lub trzy dni.

Pamiętam ten moment bardzo dobrze – nienawiść w moim sercu w końcu przeważyła nad strachem. Bardzo szybko zastąpiła ją wiara w nasze zwycięstwo, poparta przekazem, który płynął z frontu.

Przed nami – polska granica i oczy ludzi, którzy swoimi wielkimi sercami zdołali objąć całą Ukrainę, pokazać, kto jest naprawdę naszym przyjacielem, i przytulić nasze dzieci. I nie będzie już strachu. Zastąpi go szczerą wdzięczność.

OLGA GEMBIK – redaktorka i dziennikarka, felietonistka. Studiowała polonistykę na Wołyńskim Uniwersytecie Narodowym im. Łesi Ukrainki i turkologię w Instytucie Yunus Emre w Turcji. Pracowała dla ukraińskiej diaspory w Radiu Olsztyn, publikowała m.in. w Forbes, Huxley i Sestry. W 2016 roku wydała swoją pierwszą książkę o ironicznym tytule „Dla kobiet z Nizy”.

VICTORIA HALIMON

Jak Marijka stała się Maritą

*Tekst oryginalnie napisany w języku ukraińskim.
Tłumaczenie: Antonina Ciużeńska.*

Marijka po raz pierwszy odwiedziła babcię.

Szczerze mówiąc, nie był to najlepszy czas na odwiedzin: luty, pogoda nieprzyjazna i szara. Ale dziewczynka była szczęśliwa! Ciasta babci, siostra Marijki, nowe place zabaw – była pod wrażeniem. Poszła nawet pierwszy raz do dentysty i pokazała mu swoje białe i zdrowe ząbki. Ścięła też włosy u prawdziwego „dorosłego” fryzjera.

14 lutego wszędzie sprzedawano nadmuchiwane balony w kształcie serca. Marijka poprosiła mamę o balonik, aby wypowiedzieć życzenie, i wypuściła go w niebo.

Marijka miała tylko jedno życzenie – aby jej tata wrócił jak najszybciej.

A potem jej mama trafiła do szpitala i zrobiło jej się trochę głupio, bo kiedy puszczała balonik, zapomniała wypowiedzieć życzenie, żeby mama nigdzie nie zniknęła. Teraz nie było przy niej ani mamy, ani taty, tylko babcia i siostra.

Mama co wieczór dzwoniła ze szpitala i śpiewała kołysanki, aż Marijka zaśnie.

Pewnego dnia mama wróciła! To był piękny dzień. Śnieg na zewnątrz lśnił od promieni słonecznych tak bardzo, że wszyscy musieli nosić okulary przeciwsłoneczne.

A potem mama powiedziała, że muszą wyjechać.

Marijka zapytała, czy jadą do taty. Mama odpowiedziała jej: – Jeszcze nie, ale niedługo tata przyjedzie do nas.

Wszyscy razem, mama, Marijka, jej siostrzyczka i ciocia, wsiedli do samochodu dziadka i odjechali. Babcia nie zmieściła się do auta. Stała i trochę płakała.

Po drodze było wesoło: śpiewali piosenki, jedli pyszne ziemniaki i ciastka babci oraz grali w gry.

W pewnym momencie usłyszeli jakiś głośny, wyjący dźwięk. Wszyscy nagle zamilkli, ale dziadek jechał dalej. Marijka zapytała mamę, co się dzieje, a mama powiedziała, że jest to sygnał zwiastujący niebezpieczeństwo. – Ale nie musimy się martwić, bo jedziemy z dziadkiem, więc wszystko będzie dobrze.

Później Marijka słyszała takie dźwięki kilka razy, ale po prostu przytulała się do mamy, bo wiedziała, że wszystko będzie dobrze. Tak powiedziała mama.

Ale kiedy ostatnio mama zabrała śpiącą Marijkę do czyjegoś domu i położyła ją w łóżku, dźwięk znów się pojawił. Przez sen Marijka powiedziała: – Mamo, nie chcę już słuchać tego wycia.

– Wiem, skarbie! Jutro wyjedziemy i już nigdy go nie usłyszysz.

Marijka dowiedziała się, że w jej kraju trwa wojna, dopiero później, kiedy wraz z mamą mieszkały już w Polsce.

Mijały miesiące, Marijka była już trochę starsza. Matka powiedziała jej, że źli ludzie niszczą ukraińskie miasta i domy, zabijają ludzi.

– A ten dźwięk, który słyszałyśmy podczas jazdy?

– Ostrzega przed niebezpieczeństwem, że nadlatują pociski, aby ludzie mieli czas, żeby się ukryć.

– Mamo, pokaż mi wojnę!

Jej matka znalazła kilka zdjęć na swoim telefonie i pokazała Marijce zniszczone budynki.

– O nie – tylko tyle Marijka była w stanie powiedzieć.

A potem, kiedy przechodziły obok placu zabaw, na którym wykopano dół, aby zainstalować nową huśtawkę, Marijka wzięła matkę za rękę i zapytała: – Czy przyleciała tu rakieta i zrobiła tę wyrwę?

– Nie, córeczko, jesteśmy bezpieczne.

Marijka objęła matkę mocno za szyję i rozplakała się.

– Nie chcę iść!

– Córeczko, ale ja muszę iść do pracy, a w przedszkolu będzie ci dobrze i wesoło. Jak będziesz się bawić z dziećmi, to czas szybciej minie i szybciej po ciebie przyjdę.

– Ale nikt mnie nie rozumie!

– Umówmy się, że kiedy po ciebie przyjdę, wrócimy do domu i nauczymy się polskiego.

– Dobrze, ale wiesz co, to może ja pójdę do przedszkola, wtedy nauczymy się całego polskiego.

Świąteczny nastrój w Polsce można poczuć już od początku grudnia.

Wszędzie świecą się światełka, w witrynach sklepowych pojawiają się renifery i Mikołaje, a na ulicach unosi się przyjemny zapach gofrów i gorącej czekolady.

Miesiąc minął szybko i choć święty Mikołaj przyniósł dzieciom prezenty już dwa razy, Marijka wciąż czekała na Nowy Rok. Pamiętała, że rano pod choinką będzie kolejny prezent.

Tego dnia mama pozwoliła jej nie kłaść się spać o dziesiątej, tylko poczekać na fajerwerki.

Kiedy na dworze zaczęło się ściemniać, Marijka i jej mama ubrały się i wyszły na zewnątrz.

Ale to nie fajerwerki, rozproszone w tysiące światełek jak kwiaty, przyciągnęły wzrok Marijki. Nieco dalej, na skraju nieba, unosiła się samotna cicha flara.

– Mamo, tam jest rakieta! – szepnęła Marijka i nie odrywając wzroku od rakiety, zaczęła cofać się w kierunku drzwi. Potem wbiegła do domu, pociągnęła mamę za rękę

i krzyknęła: – Mamo, to jest rakietą, to wojna, schowajmy się w domu i zamknijmy drzwi!

– Kochanie, to tylko ktoś wystrzelił flarę, nie bój się, to nie wojna.

– Jesteś pewna, że to nie wojna? Ale nie wychodźmy już.

Mama przysłała do przedszkola odebrać Marijkę wcześniej niż zwykle. Przyjechała jej babcia.

Marijka radośnie wybiegła jej na spotkanie i pokazała rysunek tęczowego jednorożca otoczonego serduszkami.

Zawsze rysowała tęcze, jednorożce i serduszka. Jej mama miała ich już całą kolekcję.

Marijka podpisała rysunek „Marita”.

– Dlaczego Marita? – zapytała babcia. – Nie wiem. Mówiłam im sto razy, że mam na imię Marijka, ale oni wciąż nazywają mnie Maritą.

– Mamo, czy to prawda, że kiedy przyjechaliśmy do Polski, w ogóle nie znałam polskiego?

– Tak, to prawda.

– To dziwne! A kiedy przyjedzie tata?

VICTORIA HALIMON – ma 48 lat i urodziła się w Ukrainie. Jej rodzinne miasto – Czernihów – zostało ostrzelane i częściowo zajęte w pierwszych dniach pełnej inwazji Rosji na Ukrainę. 27 lutego 2022 roku przyjechała do Polski z niespełna 4-letnią córką, Mariią. Jej matka i najstarsza córka Oleksandra, która ma 24 lata, mieszkają w Czernihowie. Syn Anton, który ma 26 lat, jest w Charkowie, ponieważ w tym czasie był na ostatnim roku studiów w Charkowskim Konserwatorium. Z zawodu jest copywriterką medyczną, aktualnie pracuje jako współpracowniczka UAPL.info, portalu dla Ukraińców w Polsce.

SANJAR HOSHIMI

Dom, Rodzina, Polska, Nadzieja

Tekst oryginalnie napisany w języku polskim.

Dom - tam, gdzie było lepiej

– Jeździłem po różnych krajach, wszędzie było fajnie, ale w domu jest lepiej – powiedział pan mechanik, któremu zostawiłem rower do naprawy.

– Pewnie, że tak, jeśli masz dom – odpowiedziałem.

– Czy pan nie ma domu w swoim kraju? – ze zdziwieniem popatrzył na mnie pan mechanik.

– Dom, dom mam, ale wracać nie mogę... – powiedziałem cichym głosem i pożegnałem się z państwem, którzy też byli u mechanika. Bo nie mogłem kontynuować rozmowy, bo mógłbym się rozpłakać.

Słowo „dom” bardzo mnie poruszyło i pierwszy raz po tylu latach życia w Polsce jako uchodźca poczułem się bezdomny i bezradny. Tęskniłem za domem, w którym się urodziłem i dorastałem. Nie za własnym domem, bo sam nie zdążyłem żadnego zbudować ani kupić w swoim kraju, ale za naszym rodzinnym domem. Został nam po dziadkach i jest dla mnie bardzo cenny. Budował go mój dziadek z ukochaną babcią jakieś sześćdziesiąt lat temu w wiosce Sovetobad (obecnie

Ruknabad), która znajduje się na lewym brzegu rzeki Zarafszan*. Cegły tego domu zostały ulepione z miłością w rękach mojej babci. Babcia w tym domu urodziła i wychowała dziecięcioro dzieci. Mieszkałem w nim razem z rodzicami i siostrami. Spędziłem w nim swoje niezwykle dzieciństwo. To właśnie tam po raz pierwszy się zakochałem.

Mam miliony powodów, aby przypominać sobie o moim domu, ale dziwne, że dopiero po tylu latach poczułem się od niego tak oddalony. Od mojej małej ojczyzny. Chyba że wcześniej nie pozwalałem sobie o tym myśleć, żeby się nie martwić. Nie, nie da się nie myśleć o ojczyźnie. Myślałem często, nawet jeśli nie napisałem ani słowa na ten temat przez ostatnie trzy lata. Musiałem milczeć. Nie było łatwo, przecież pisanie było moim życiem. I to też mi zabrali. Nie tylko dom, rodzinę i ojczyznę, ale nawet mój ukochany zawód. Nie mogłem pisać, bo zdrowie i bezpieczeństwo rodziny były najważniejsze. A teraz chcę pisać, jeśli jest okazja i miejsce do publikowania. Piszę po polsku, bo od wielu lat myślę, czytam i mówię po polsku. Piszę w swoim drugim języku.

Dom - tam, gdzie jest lepiej

Od ponad pięciu lat mieszkam w moim nowym domu, w Polsce. Dziwne, prawda? Przecież wcześniej mówiłem, że nie mam domu. Rzeczywiście tak myślę, ale chodziło mi o ten dom, o którym zawsze marzyłem. Ale tak naprawdę to Polska zamieniła się w mój dom. W swoim pierwszym domu nie miałem wolności, a tutaj trochę jej mam.

Dlaczego trochę? O tym będę mówił później.

Pięć lat szybko minęło. W tym czasie wiele działo się ze mną i moją rodziną w naszym nowym domu. Od pierwszych dni, kiedy przygarnęła nas polska społeczność, czułem się bezpiecznie i przez krótki okres miałem poczucie, że jestem tam, gdzie muszę być, w swoim nowym domu. Niestety, Polska

* Trzecia co do wielkości rzeka Azji Środkowej, płynąca przez Tadżykistan i Uzbekistan.

nie oferuje tak wielu możliwości dla uchodźców jak inne europejskie kraje. Jednak dzięki społeczności i organizacjom pozarządowym my, jako uchodźcy, otrzymaliśmy wiele wsparcia – bardzo to doceniam. Za każdym razem, gdy nasi znajomi pytali, czy nie planujemy wyjechać do jakiegoś innego kraju, w którym być może jest więcej możliwości, odpowiadaliśmy, że tutaj jest nam dobrze. Naprawdę na początku było dobrze i teraz też jest w porządku. Tylko raz, w zeszłym roku, kiedy miałem trudny okres w życiu zawodowym, chciałem wyjechać gdzieś dalej. Ale miłość do Polski mi na to nie pozwoliła. Nie tak dawno, przed wyjazdem do Niemiec, nasza polska rodzina zapytała nas, czy zamierzamy wracać. Nawet oni myśleli, że pewnego dnia pojedziemy dalej. Ale po przyjeździe do Niemiec zacząłem tęsknić za Warszawą. Bo to jest teraz moje miasto i mój nowy dom. Kiedyś marzyłem o życiu w Europie, ale nigdy nie myślałem, że będę mieszkać jako uchodźca w Polsce i ten obcy kraj stanie się moim nowym krajem – domem.

Rodzina - tam, gdzie miłość trwa na zawsze

Jednym z najcenniejszych prezentów od losu, które otrzymałem w uchodźstwie, jest moja polska rodzina. Mam dwie rodziny: tadżycką i polską. Kocham i szanuję obie. Moi tadżyccy rodzice dali mi życie i wychowali mnie z miłością, z czego jestem bardzo dumny. Tęsknię za nimi, bardzo! Moja polska rodzina przez pięć lat dała mi tyle miłości, że nie mogę ich nie kochać. Od pierwszych dni byli dla nas bardzo bliscy. Asia (Jolanna Świącicka) zastąpiła moją mamę, kiedy za nią tęskniłem, a Marcin (Marcin Świącicki) wspierał mnie jako ojciec. Pamiętam, kiedy prowadząc nas do swojego domu z siedziby Fundacji Ocalenie, pokazywał nam miasto jak profesjonalny przewodnik. Zawsze pytał, czy potrzebujemy jakiejś pomocy i jak mają się nasi bliscy w Tadżykistanie. Marcin jest dla mnie nie tylko ojcem, cenię go również jako doświadczonego ekonomistę, polityka i prawdziwego Polaka, który walczy o sprawiedliwość. Mieszkając w jego domu, wiele się od niego nauczyłem.

Mama Asia stała się dla mnie drugą mamą i babcią. Rok przed ucieczką z Tadżykistanu zmarła moja babcia, a uchodźstwo oddaliło mnie także od ukochanej matki. W zamian dostałem miłość mojej mamy Asi. Czasami rozmawialiśmy godzinami i te rozmowy dawały mi siłę i nadzieję. Kiedy moja córka Simin zachorowała, babcia Asia przytulała ją, a wtedy po raz kolejny zakochałem się w niej jako matce. A Simin kocha swoją polską babcię bardziej niż tadżycką. W mojej tadżyckiej rodzinie mam dwie siostry, a w polskiej jedną siostrę i trzech braci. Wszystkich ich kocham i będę kochać. Uchodźstwo pokazało mi, że rodzina to nie tylko więzy krwi.

My, Tadżycy, lubimy wielkie stoły, czyli *dastarkhan* po tadżycku, i wspólne posiłki. Przez prawie dwa lata, kiedy mieszkaliśmy z polską rodziną, staraliśmy się zebrać wszystkich jej członków na obiad z tadżyckim *plow** i polskim sernikiem. Ja gotowałem *plow*, a Asia piekła bardzo dobry sernik. Obchodziliśmy razem wszystkie święta, śpiewając kolędy i życząc sobie wszystkiego najlepszego. To wspaniałe mieć taką rodzinę, w której miłość trwa wiecznie. Mam nadzieję, że kiedyś połączę tadżycko-polską rodzinę, i jestem pewien, że miłość będzie trwała na zawsze. Moja rodzina w Tadżykistanie i my w Polsce marzymy o tym, że kiedyś będziemy razem, w naszym nowym domu. Mam już dość tych rozmów online i tęsknoty. Niech Pan Bóg nam pomoże!

Dziadek - nauczyciel, mechanik, ambasador

– Dlaczego wczoraj nie przyszedłeś? – zmęczonym głosem szeptał dziadek.

– Bo chciałem przyjść dzisiaj. Myślałem, że wczoraj nie potrzebowaliście pomocy – powiedziałem, widząc, w jak kiepskim jest stanie, i żałując, że nie pojawiłem się poprzedniego dnia. W Tadżykistanie nie mówimy do starszych osób na „Ty” i mój dziadek to rozumiał.

* Chodzi o pilaw – tradycyjną potrawę wschodnią, przyrządzaną z ryżu lub bułguru z dodatkiem warzyw, kawałków mięsa (baraniny, drobiu lub ryb) oraz dużej ilości ostrych przypraw.

Nie pamiętam dokładnie, jak dalej rozwinęła się nasza rozmowa, ale jej początek został w mojej pamięci. Mój dziadek ostatnio przeszedł przez straszną chorobę i, podobnie jak moja babcia, spieszył się do raju.

Zdarzyło mi się tak, że miałem trzech dziadków: dwóch tadżyckich i jednego polskiego. Moi tadżyccy dziadkowie to nauczyciel matematyki i mechanik. Dziadka Begmuroda, który był nauczycielem, widywałem rzadko – był ojcem mojej mamy i nie mieszkał z nami. Ale ceniłem sobie jego mądrość. Dziadek Muzaffar, który mnie wychowywał, był dla mnie nauczycielem życia. Przez lata pracował jako mechanik w kołchozie i uwielbiał swoją pracę. Był zajęтым człowiekiem i nawet na emeryturze lubił działać i próbować nowych rzeczy. Dawał mi rady, które pozostały we mnie na zawsze: lepiej spróbować i żałować, niż nie próbować wcale.

Mój dziadek Krzysztof Śliwiński był ambasadorem i moim najlepszym przyjacielem. Po pewnym czasie stał się dla mnie najbliższą osobą. Z nim mogłem rozmawiać o wszystkim i była to dla mnie przyjemność. Nauczył mnie, jak działać inteligentnie, jak być politykiem oraz jak przyrządzać omlet francuski. W jego przekonaniu nasze spotkanie i relacja nie były przypadkowe, ponieważ połączyło nas doświadczenie uchodźstwa. Często przypominał mi, że kiedy był małym dzieckiem, uciekał z mamą w czasie wojny do innego miasta. Poza tym mieliśmy trochę podobne charaktery. Żałuję, że nie zdążyłem mu powiedzieć, jak bardzo go kocham. Mam nadzieję, że to czuł, a teraz czyta ten tekst. Tęsknię za tobą, dziadku!

Terespol: miasto, które nie chciało nas przyjąć

– Jutro spróbujemy ostatni raz, a jeśli się nie uda, będziemy musieli jechać na Ukrainę albo do Gruzji – mówię do Sitore.

– Mam nadzieję, że się uda – odpowiada moja żona, spoglądając na mnie swoimi pięknymi, lecz zmęczonymi oczami. Jest w ciąży.

Miała już dość tych beznadziejnych prób. Byliśmy w Brześciu już dwudziesty czwarty dzień. Nocowaliśmy w hostelu na

dworcu i rano, przed kolejną próbą, zostawiliśmy tam naszą walizkę. Kupiłem bilety do Terespolu. Usiedliśmy jak zawsze w ostatnim wagonie, który zwykle miał ich trzy. W tym wagonie zawsze były osoby, które chciały ubiegać się o status uchodźcy w Polsce. Czasem było ich mało, około dwudziestu, dwudziestu pięciu osób, a czasem nawet ponad pięćdziesiąt. Każdy miał swoją historię, ale łączyło nas jedno: uchodźstwo. I ten wagon, który był naszą wspólną nadzieją na bezpieczne życie. My z żoną, myśląc o tym, co nas czeka, gdy wrócimy po raz kolejny z Terespolu do Brześcia, wychodziliśmy z wagonu po półgodzinnym oczekiwaniu i podchodziliśmy do strefy kontroli, mówiąc „dzień dobry” do pracowników straży granicznej, którzy czekali na nas na peronie. Czasem wydawało się, że nie byli do nas zbyt przychylnie nastawieni, choć nie trzepali nas nadmiernie. Kiedy widziałem ich stosunek do nas – uchodźców – przypominały mi się filmy o II wojnie światowej, w których Niemcy właśnie tak zachowywali się wobec innych. Wtedy myślałem, że Polacy też są podobni do Niemców, to znaczy do tych niemieckich faszystów, którzy są przedstawieni w rosyjskich filmach.

Procedura była taka sama. Strażnicy sprawdzali dokumenty i kierowali nas do stanowisk, przy których inni strażnicy pytali o cel naszego wjazdu do Polski. Tym razem jednak atmosfera była odmienna. Wywiad przeprowadzała z nami grupa strażników, których znaleźliśmy praktycznie od miesiąca. Była też strażniczka, która miała wyższe stanowisko. Nie pamiętam, jaki był jej stopień, ale zadawała nam wiele pytań. Przeprowadziła nawet rozmowy ze mną i moją żoną. Nasze odpowiedzi były takie same. Potem zostaliśmy skierowani do poczekalni. Te ponad dwie godziny oczekiwania były dla nas bardzo ciężkie. Wcześniej mieliśmy nadzieję, że jeśli nie uda się za pierwszym razem, to spróbujemy znowu. Ale teraz nie było drugiej szansy. Na naszych paszportach była pieczętka deportacji z Republiki Białorusi na trzy lata. To był ostatni dzień, aby opuścić ten kraj.

Nareszcie pracownicy straży granicznej zaczęli rozdawać paszporty oczekującym w sali uchodźcom. Wszyscy wstali, wzięli swoje dokumenty i wyszli, ale nam powiedziano, że

zostaniemy. Patrzyłem na żonę i nie mogłem uwierzyć w nasze szczęście. Przytuleni, płakałyśmy ze szczęścia. Niewiarygodne, to była już szesnasta próba, a ci ludzie w końcu przyjęli naszą prośbę. Mieliśmy szczęście, a jednocześnie byliśmy zaskoczeni, że Polska, która nas nie chciała, nagle nas akceptuje. Czasami zastanawiam się, co by było, gdyby ta ostatnia próba również zakończyła się odmową. Wtedy nie miałbym okazji przekonać się, że Polacy są naprawdę dobrzy i że nie wszyscy są podobni do ludzi ze straży granicznej. Nie miałbym szansy poznać mojej polskiej rodziny, mojego dziadka. Nie pisałbym tego tekstu z miłością do Polski i nie rozmawiałbym po polsku z córką. Być może by mnie w ogóle nie było lub znalazłbym się gdzieś indziej, a moja opinia o Polsce byłaby negatywna. Dobrze, że tak się nie stało.

Ośrodek dla Cudzoziemców

Opuściliśmy z żoną punkt kontrolny po kilku godzinach załatwiania pierwszych tymczasowych dokumentów. Miały zielony kolor i przypominały tanie ulotki. Planujemy kupić kartę SIM i zadzwonić do hostelu, aby ktoś przysłał naszą walizkę. Nie wiemy jeszcze, że nasza walizka już czeka na nas w taksówce.

Pan z Białorusi przywiózł naszą walizkę i zaproponował, że odwiezie nas do ośrodka, do którego inaczej musielibyśmy pojechać sami. Jego usługa kosztowała pięćdziesiąt dolarów, a my zgodziliśmy się z radością. Dobrze, że wtedy mieliśmy jeszcze sto pięćdziesiąt dolarów. Mężczyzna zostawił nas przy ośrodku i odjechał. Pracownicy przyjęli nas i przydzielili nam tymczasowy pokój. Był weekend, a poza tym zrobiło się późno. Musieliśmy czekać do poniedziałku, aż przyjdą kierownicy i przypiszą nam własny pokój. Pierwszej nocy dostaliśmy do jedzenia jakieś jogurty i chińską zupkę. Następnego dnia zaczęliśmy korzystać ze wspólnej stołówki, w której nas karmili. Na śniadanie dostawaliśmy chleb z masłem i paprykę ze słodkimi ogórkami. Pierwszego dnia byliśmy zdziwieni, że można jeść surową paprykę i ogórka na słodko. Po pewnym czasie przywykliśmy, choć do dziś nie przekonałem się do

tych dań. Na obiad często podawano rosół, którego nie znośliśmy, bo tak naprawdę była to woda z przyprawami. Ciekawe, czy ten niezbyt udany kucharz wciąż tam pracuje? Na kolację podawano to samo, co na śniadanie. Albo kucharz był leniwy, albo kierownik ośrodka lubił kiepskie żarty. Gdybyśmy nie mieli tej odrobiny pieniędzy, moja ciężarna żona mogłaby mieć problemy ze zdrowiem przez jedzenie, które tam serwowano.

Przydzielono nam pokój z dwoma jednoosobowymi łózkami. Łóżka i pokój były w porządku, nawet lepsze niż w hostelu. W ośrodku nie było dostępu do internetu, więc musieliśmy pójść do miasta i kupić kartę SIM. Mieliśmy wspólną kuchnię, w której można było gotować na własne potrzeby. Nie wiem jednak, skąd uchodźcy mieliby mieć pieniądze, jeśli nie mają pozwolenia na pracę. A przez pierwszych sześć miesięcy, podczas oczekiwania na decyzję, nie mają go na pewno. Dodatkowo dostawaliśmy tylko jakieś trzydzieści złotych na tydzień na artykuły gospodarcze. Choć w ośrodku było bezpiecznie i mieliśmy dach nad głową, to nie byliśmy tam szczęśliwi. Dobrze, że media zainteresowały się naszą historią, a nasza pierwsza polska koleżanka, Monika Pronczuk, przeprowadziła z nami wywiad. Dzięki jej pomocy odezwały się do nas Stowarzyszenie Interwencji Prawnej i Fundacja Ocalenie. Otrzymaliśmy wsparcie. Bez nich prawdopodobnie nie moglibyśmy długo pozostać w ośrodku, a nawet w Polsce. Dzięki ich pomocy po miesiącu wyprowadziliśmy się do Warszawy, do naszej polskiej rodziny. Cieszę się, że istnieją organizacje pozarządowe działające na rzecz uchodźców i migrantów. Rekompensują błędy polskiego rządu i dają nadzieję tym, którzy jej nie mają.

Uchodźca: ofiara polityczna

Wiele uchodźców musiało opuścić swój kraj z powodu sytuacji politycznej. Stali się ofiarami polityki. Ktoś ucieka przed wojną, ktoś ucieka przed dyktatorami, a ktoś inny ucieka z innych powodów. Każdy staje się uchodźcą. Na całym świecie

jest obecnie ponad trzydzieści pięć milionów uchodźców* – czyli prawie tyle osób, ile w sumie mieszka w Polsce. Globalna polityka sprzyja dyktatorom i prowadzeniu wojen – przez co ludzie są zmuszeni do ucieczki z własnych krajów – a potem udaje, że udziela im pomocy. Manipulacja jest podstawą polityki. To niestety prawda, że tak było i będzie, bo niektórym zależy, by wojny trwały.

Do Polski przez ostatnie piętnaście lat przybywało coraz więcej uchodźców. Nie jest łatwo legalnie dostać się do Polski, ubiegając się o status uchodźcy, więc wielu z nas próbuje dróg nielegalnych i niebezpiecznych. Część umiera w lasach, część zostaje zatrzymana i deportowana, niektórym wreszcie udaje się przetrwać. Już od pierwszych dni czułem, że polski rząd nie sprzyja uchodźcom. Budowa muru na granicy polsko-białoruskiej to potwierdza. Ale ludzie i organizacje pozarządowe mają wielkie serca i pomagają, jak tylko mogą. W ostatnich latach powstała Grupa Granica, która bardzo aktywnie pomaga uchodźcom, których rząd uznaje za nielegalnych. Jako uchodźca szanuję ich pracę i jestem im wdzięczny.

Choć istnieją dobrzy ludzie i NGO-sy, które nam pomagają, to przed rozpoczęciem wojny w Ukrainie duża część Polaków nie miała wiele informacji na temat życia uchodźców. Oczywiście, wcześniej liczba uchodźców była mniejsza, ale chodzi o brak wiadomości. Przed wojną w najpopularniejszych mediach rzadko informawono o życiu migrantów, a na niezależnych portalach tylko od czasu do czasu. Jednak od początku wojny w Ukrainie „uchodźca” stał się najpopularniejszym słowem nie tylko w polskich, ale nawet w europejskich mediach. Polityczna propaganda zmieniła jednak znaczenie tego słowa. Ludzie, którzy wcześniej nie mieli pojęcia o uchodźcach, myśleli, że wszyscy uchodźcy pochodzą z Ukrainy. Wszyscy zaczęli wspierać uchodźców, pojawiały się nowe miejsca pracy, nowe organizacje. Dobrze, że miało miejsce tyle spontanicznych działań. Cieszyłem się, że rząd zmienił swoją politykę. Wydawało się, że będzie dobrze. Jednak wsparcie okazało się

* Według danych Parlamentu europejskiego z 2023 roku globalna liczba osób uciekających przed prześladowaniami, konfliktami i przemocą wynosi 108,4 miliona.

tymczasowe, a niektórzy uchodźcy z Ukrainy musieli wrócić do swojego kraju. Rząd przestał wspierać ich finansowo, a mieszkańcy podejmowali coraz mniej akcji pomocowych.

Niestety polski rząd i partie polityczne propagują antyimigranckie i antyuchodźcze hasła, a skutki tego widać coraz częściej w mediach społecznościowych, w których pod postami na temat uchodźców i migrantów pojawiają się negatywne komentarze. Oczywiście, panuje wolność słowa, a każdy ma prawo do swojej opinii, ale takie posty i komentarze generują dużo nienawiści. Budują niewłaściwy obraz drugiego człowieka, przez co ludzie boją się kontaktu z migrantami.

Pisałem, że w Polsce mamy trochę wolności. Dlaczego tylko trochę? Od pięciu lat obserwuję, jak działają tutaj media i politycy. Wiem, że jeśli coś nie odpowiada rządowi lub którejś partii politycznej, jej członkowie od razu atakują. Mimo że istnieje wiele partii politycznych i wolnych mediów, to nie widzę, żeby wolność słowa była tu całkowita, szczególnie że w rządzie dominuje jedna partia. Ludzie, chociaż są Europejczykami i starają się organizować protesty i demonstracje, pod dyktando stopniowo tracą wolność. Wielu Polaków mówi, że nie lubi rządu, ale w wyborach PiS nadal wygrywa. Czasami moi polscy znajomi mówią, że kiedyś było gorzej, a teraz jest trochę lepiej. Przypomina mi to politykę prezydenta Tadżykistanu, który uwielbia opowiadać o trudnych czasach po wojnie domowej i przypominać, że powinniśmy dziękować Bogu (lub jemu samemu) za naszą niepodległość i pokój. Czasami żartuję, że uciekłem od zła do zła.

Uchodźstwo: wybór między nadzieją na powrót a nowymi wyzwaniem

Pierwszy rok życia w Warszawie spędziliśmy, uczęszczając na lekcje języka polskiego w Fundacji Ocalenie. Tam poznałem mężczyznę koło sześćdziesiątki, również Tadżyka. Był bardzo zdeterminowany, żeby się uczyć, i myślę, że teraz świetnie posługuje się językiem polskim. Wśród uchodźców często spotykałem osoby o silnej woli, które dążyły do polepszenia

swojego życia na obczyźnie. Jednak niektórzy uchodźcy tkwią w nostalgii za swoją ojczyzną i żyją nadzieją na powrót, nie widząc możliwości rozwoju w nowym kraju, nie pracując jednak nad poszerzaniem swoich umiejętności.

Jak mówi perski poeta Rumi, każda zmiana na tym świecie ma swój sens i wartość. Ja też zamiast swojego ukochanego Duszanbe, stolicy Tadżykistanu, dostałem Warszawę i Polskę jako ojczyznę, która ciepło mnie przyjęła. Czy te miejsca mają równą wartość? Chyba nie, bo każde z nich jest unikalne. W Duszanbe przeżyłem piękniejsze dni młodości, a w Warszawie kontynuuję życie rodzinne. Jak być ojcem i mężem w Europie, nauczyła mnie Warszawa. Doświadczenie, jakie zdobyłem przez ostatnich pięć lat w Warszawie, nie mogłoby się powtórzyć w Duszanbe i odwrotnie.

Uchodźstwo oddaliło mnie od rodziców i moich bliskich, ale za to dało mi polską rodzinę i przyjaciół, których bardzo kocham i szanuję. Bez nich byłoby trudniej.

Zabrało mi mój ukochany zawód, ale dało nowe wyzwania i możliwości rozwoju. To była (i jest) najtrudniejsza zmiana. Człowiek, który skończył dziennikarstwo i przez kilka lat pracował z nadzieją i planami, aby pomagać swojej ojczyźnie w rozwoju, został uchodźcą i musiał wybrać inną ścieżkę zawodową. Podejmowałem próby kontynuowania kariery w polskich mediach, ale na przeszkodzie stanęły bariera językowa i inne względy. Przez pierwsze lata miałem nadzieję, że zmiana sytuacji politycznej w moim kraju pozwoli mi wrócić. Szybko jednak zrozumiałem, że to nie jest dobry pomysł i nie muszę tracić mojego cennego czasu w nadziei na zmiany.

Szukałem swojej niszy i próbowałem różnych alternatyw, ale żadna mi nie odpowiadała. Wszystko zmieniło się dwa lata temu, kiedy zrodziła się we mnie pasja do programowania i branży IT. Zacząłem szukać informacji i dowiedziałem się, że to będzie moje powołanie – stać się najlepszym w dziedzinie IT. Wybrałem *bootcamp* i ukończyłem go. Lekcje nie były łatwe, ale dużo się nauczyłem, a kurs otworzył mi oczy na świat IT. Po jego zakończeniu dowiedziałem się, że wszystkiego można było nauczyć się za darmo. Zapłaciłem 9600 złotych. Cóż, doświadczenie ma swoją cenę. Znalezienie pracy po *bootcampie*

nie było łatwe, konkurencja była duża. Musiałem się sam doszkolić, co także nie było proste. Osiem miesięcy temu znalazłem mentora, który mi pomógł, i szybko przyniosło to efekty. Wtedy wpadłem na pomysł realizacji projektu nauki programowania dla uchodźców. Udało mi się go zrealizować i cieszę się, że teraz mogę pomagać innym uchodźcom w nauce IT i zmieniać ich życie na lepsze. Mój największy sukces w ciągu tych pięciu lat to *Code Your Path* i mam nadzieję, że w przez kolejne pięć lat będziemy mogli pomóc kilkuset uchodźcom, zamienić trudności ich losu na karierę i możliwości.

Jeśli mówię, że jestem szczęśliwy, że zostałem uchodźcą, to żartuję. Ale naprawdę jestem wdzięczny za to doświadczenie i możliwości, które dało mi uchodźstwo. Dobrze, że jestem częścią trzydziestopięciomilionowej rodziny uchodźców, w której każdy uchodźca/uchodźczyni jest moim bratem i siostrą. Ale nikomu nie życzę, aby został uchodźcą. Jednak jeśli ktoś dołączy do naszej rodziny – bo nie da się skończyć wszystkich wojen i obalić wszystkich dyktatorów – to wspólnie mocno, przytulam Was z uśmiechem na twarzy. Bądźcie cierpliwi i pracowici, to my zmieniamy nasz świat!

SANJAR HOSHIMI – uchodźca z Tadżykistanu, dziennikarz i edukator, przepracował ponad 5 lat w mediach jako redaktor i reporter w swoim rodzinnym kraju. Po przyjeździe do Polski, w której mieszka od pięciu lat, próbował kontynuować swoją karierę dziennikarską, marząc o stworzeniu największych tadżyckich mediów w Europie. Jednak ze względu na sytuację polityczną i zagrożenie dla jego rodziny zrezygnował z tego marzenia i szukał innej ścieżki. Ostatnie lata poświęca na rozwijanie się w dziedzinie IT, pomaga uchodźcom w zdobywaniu edukacji z zakresu informatyki.

MARINA HULIA

Wiadra

Tekst oryginalnie napisany w języku polskim.

Praca wyróżniona przez jury „Pamiętników Uchodźczych”.

– Założę się, że kiedy zadzwonimy do drzwi i Mama cię zobaczy, powie: „Jesteś piękna! Ach, jakaż jesteś piękna!”.

Zadzwoniłyśmy. Mama otworzyła, utuliła nas mocno i powiedziała do Madiny radośnie:

„Jakaż ty jesteś piękna!”.

Przyjechałyśmy w odwiedzin z Warszawy do ukraińskich Czerkas*, które Mama zwie Miastem Kwitnących Moreli. Drzewa morelowe są wszędzie, wzdłuż ulic i alei.

Pszczoły lecą do białych kwiatów, miodowy zapach wypełnia powietrze. Latem chodniki są pomarańczowe i lepkie od spadających owoców.

Mama uwielbia morele. Od dawna je same owoce, trochę warzyw – i nic więcej. Pije świeże soki z winogron i jabłek, ale morele lubi najbardziej.

– Morelowa Nana (czecz. Mama) – żartuje Madina. – Uwważaj, żebyś nie stała się pomarańczowa.

* Miasto położone w centralnej części Ukrainy, nad Dnieprem i brzegiem Krzemieńczuckiego Zbiornika Wodnego utworzonego przez spiętrzenie wód Dniepru.

I śmiałyśmy się, i piłyśmy herbatę ziołową, i jadyśmy morele – i nie stałyśmy się pomarańczowe.

Potem przyszła pandemia. Mama przestała wychodzić, przyjaciele codziennie ją odwiedzali i przynosili jedzenie. Nie były to owoce.

– Mamo, Nano, przyjeżdżaj do Polski – proponowałyśmy z Madiną.

– Nie chcę. Tu jest mój dom, moje siedem tysięcy książek, moje morele. Nawet paszportu nie mam, a i wyrabiać nie będę.

24 lutego zadzwoniłam do Mamy.

– Mamusiu, wojna?

– Wojna, Córeczko.

Rozmawiałyśmy codziennie przez telefon.

– Nie zamartwiaj się – pocieszała Mama. – Światową wojnę przeżyłam, to i tę przetrwam. Bądź wesoła, wojna lubi ponuraków, wesołych się boi.

Przez telefon śpiewałyśmy „Tyż mene pidmanuła”* i „Nicz misjaczna”** – ona w Czerkasach, ja w Warszawie. Czeczka Madina nauczyła się po ukraińsku:

– Mama przyjedzie, założymy chór. Też chcę z wami śpiewać.

Mama przyjechała, nieświadoma tego, że jedzie. Na materacu, położonym na podłodze busa. Bez paszportu, za to z cewnikiem na boku. Wojna wkroczyła do jej serca, które bolało. Wojna uderzyła w głowę i udar odebrał jej możliwość poruszania się i podejmowania decyzji.

Na granicy w Zosinie przenieśliśmy materac z Mamą do polskiego samochodu.

– Mamusiu, to ja, Marina!

Popatrzyła mętnymi oczami, otumaniona morfiną i cierpieniem:

– Nie jesteś Mariną. Moja Córeczka jest mała, a ty – dorosła. Dajcie mi moją Marinkę!

Dojechałyśmy do Warszawy, do mieszkania Madiny. Przygarnęła nas, pomogła przy Mamie, ona i jej dzieci.

* Ukraińska ludowa piosenka o miłości.

** Pełny tytuł: „Nicz jaka misjaczna” – ukraińska piosenka.

Kiedy wraz z Maćkiem Stuhrem i jego żoną Kasią, menadżerem i Madiną wnosiliśmy materac z Mamą do windy, czułam się, jakbym grała w filmie. Gdzie jest moja morelowa Mama?

Dużo rozmawiałam z Madiną. Smutno żartowałam:

– Jesteś uchodźczynią. Przeżyłaś dwie wojny czeczeńskie. Widziałaś śmierć. Ja, rozpieszczona jedynaczka, widziałam morze – co roku, na wakacjach. Raz Czarne, raz Śródziemne. Teraz to ja jestem na uchodźstwie – u ciebie w domu, wraz z mamą.

Powoli wraca świadomość, chociaż ból nie ustępuje. Tam, w Ukrainie, po udarze, spędziła dwa tygodnie w szpitalu, pełnym rannych żołnierzy. Było dużo bólu.

Tu, w Polsce, ćwiczymy pamięć o dobrym. Wmówiłam Mamie, że bierzemy udział w konkursie piosenki. Śpiewamy codziennie, ona pamięta teksty sprzed 50 lat, a nie pamięta, jak ma na imię Madina.

Ubieram się, pochylam, żeby Mamę ucałować.

– Dokąd idziesz, Córeczko?

– Jedziemy do ukraińskich sierot, ewakuowanych z Odessy. Wieziemy domowe bułeczki, rękodziełka, piosenki i tańce. Wieziemy radość.

– Oj, to jak wygramy ten konkurs piosenkarski, to wszystkie pieniądze podarujemy sierotom – wzrusza się i pomrukuje kolejną pieśń.

Sieroty nie potrzebują pieniędzy. Mieszkają w dużym hotelu pod Warszawą, mają co jeść, w co się ubrać. Mają marzenia – ponad 700 dzieci, a marzenie jedno, wspólne:

– Chcę wrócić do domu. Do Ukrainy, do Odessy. Do Czarnego Morza.

Mama spytała mnie wczoraj:

– A tu rosną morele? Zjadłabym całe wiadro!

– Będą na wiosnę, chociaż nie tyle, co w Czerkasach.

Przynoszę wiadro z balkonu. Wylewam zawartość cewnika i modłę się, żeby dożyła wiosny. Żeby skończyła się przekłeta wojna i rozkwitły miodowe morele – i tu, w Warszawie, i w Maminych Czerkasach.

MARINA HULIA – urodziła się w Ukrainie, od 10 lat mieszka w Polsce. Z zawodu i powołania nauczycielka i wolontariuszka – w 2016 roku założyła Szkołę Demokratyczną na dworcu w białoruskim Brześciu, na którym koczowały czeczeńskie matki z dziećmi. Jest laureatką Nagrody im. Ireny Sendlerowej „Za Naprawianie Świata” oraz Nagrody im. ks. Józefa Tischnera.

MARHARYTA ISHCHUK

Wierszowany dziennik

*Wiersze oryginalnie napisane w języku ukraińskim.
Tłumaczenie: Paulina Zięba.*

Serce jechało po Ukrainie,
Po jej stepie i dolinie.
A wtedy gdzieś za granicą
Stałam się połówką.
I bez radości, i bez jedności,
Bez finansów, bez hojności,
Bez najmniejszej przyjemności,
Tylko z wdzięcznością i uczciwością.
A kiedy znowu będę cała,
Znów Ukrainą będę jechała,
Moja rodzona połówka
Dołączy się i rozkwitnie.
Rozszłocha się, roześmieje,
Zaboli, ale przyklei!
I boleć będzie, póki żyje,
W bujności kwiatów się skryje.

marzec 2022

Życie podzielone na „przed” i na „po”...
Czy „po” już nastąpiło? Czy tak?
Pod dźwięki syreny zaległ czas
W korytarzu i bez sił padł.

A oczy szukają w tym „po” życia,
A serce szuka w „przed”.
A ciało szuka jedynie ukrycia
I szepcze: „bieda, precz...”.

Życie się nie dzieliło, odeszło w archiwum,
Do wspomnień płynących jak chmury.
Lecz ty pamiętasz, tak było
I nie było wtedy tam ruin.

Teraz to łączy w nim, to złość albo strach,
Koktajl z tematów ohydnych...
Życie się nie dzieliło, zmieniło swój sens,
I stało twym chlebem powszednim.

marzec 2022

Moje szczęście jest drobnym bukiecikiem
Z dwóch-trzech szczoteczek do zębów.
A kiedyś nie wystarczało arytmetyki,
By zliczyć mnogość w nim kwiatów.
Moje szczęście jest tym dołączkiem
Obok uśmiechu... Tego, co nie ma.
Kiedyś to były filmy familijne, bajeczki,
I obok rodzina, nie tylko ich imiona.
Moje szczęście – dzwonki między syrenami,
Telegramu kanały, te z wideo filmami
I wojskowymi gorzkimi ważkimi tematami,
Z ich blogerami i liderami.
Moje szczęście przychodzi małymi kroczkami, niby na diecie,
Być może powoli wyleczy, a może i nie.
Na pewno już zawsze będziemy trochę chorzy, nowi diabetycy,
Z naturalnym pragnieniem: „wojnie nie”.

marzec 2022

Nie chcę ciszy. Pragnę głosów,
Tych wesołych, szczerych i szczęśliwych,
Chcę słyszeć muzykę i śpiew ptaków
Z drzew kwitnących, niezgorzałych...
Nie chcę ciszy, ale dźwięków dnia,
W codziennych sprawach i mrokach.
I dźwięków nocy. Ciesząc się blaskiem
Gwiazd jaskrawych i wsłuchać się w spokój.
Jakaż nasycona melodia życia,
Pod niebem spokojnym, w rodzinnym kraju,

Kiedy ziemia przyszłość daruje,
A nie grzebie wczorajszy humanizm.

kwiecień 2022

Nie wiedzieliśmy, jacy jesteśmy silni,
Nie wiedzieliśmy, jacy zgodni,
I porzucić w biedzie niezdolni
Nasze grozą dusze zranione.
Nie wiedzieliśmy, nas nie uczyli...
W praktyce jednak wszyscy umieli...
Chcielibyśmy to w teorii wiedzieć,
Jak o tym rosji powiedzieć?
Jak powiesz temu, kto nie słyszy?
I pokażesz ślepym?
...niestety...
W każdym sercu żywym smutek.
W żyłach krąży ból i żal...
Od kłamstw wysychają oczy,
Od milczenia – usychają sny.
Nie wiedzieliśmy jeszcze, że noce
Strasznymi tak mogą być.
A jeśli mam mówić otwarcie,
Nie wiemy tego też dziś...
Czy znowu luty, dwudziesty czwarty?
Kto zakończy już ten czwartek?

kwiecień 2022

Po co przyleciałyście, bociany,
Czy nie doszła do was smutna wieść?
Że tu już nie ostoja, a piekło,
Wróg pozbawił spokoju i snu.

Bo my tak samo tęsknimy za domem,
Bo Ukraina to nasz rodzinny kraj,
Bo tu wszystko od urodzenia znajome,
Niech wróg się stąd zbiera, good bye!
Och miłe, bezbronne bociany,
Toż wróg wasze gniazda zrujnował..
Czy po to leciałyście tak daleko,
By opłakiwać to, co zrabował?
Pamiętam, gdy ptaszętami będąc,
Ścigaliśmy się przez gaje..
Dziś Ukraińcy – nie emigranci,
Swoje gniazda odbudujemy sami!

kwiecień 2022

Gdyby jeszcze trochę wiosny zostało...
Bo ona jest, lecz w niej nie ma nas...
Gdyby oni jeszcze trochę poczekali,
Żeby dać nam czas...
A wszystko nie w porę, nie w porę piszę i ja,
I rymuję,
Gdyby jeszcze trochę zostało życia,
Proszę.

maj 2022

Kobieta wojny

Tyle bólu w jej oczach
I niewidzialnego ciężaru na ramionach,
Ile zgrozy w zapomnianych rzeczach...
Ile wiary w jej myślach,
Gdy jest zmuszona liczyć dni w latach,
Wiosny – w zimach, ból – w kobietach...
Ile ciepła w zmarzniętych dłoniach...
Ile światła w ciemnych pokojach... w workach...
I przędzy – w siatkach...

Ile słów w modlitwach, łzach,
Nieusłyszanego krzyku – w szybach
I snu zastygłego w koszmarach.
Ileż w niej męstwa! Strach
Czasem obciąża sumienie i dach...
A ona śpiewa, niczym ptak!!!

czerwiec 2022

Muszę uśmiechać się do ciebie,
Bo nie wiem, co nas czeka dalej.
Ja chcę uśmiechać się, po prostu,
Lecz uśmiechy teraz jakies nieudane.
Ja chcę nie przegapić nic w życiu,
Łowić każdy dotyk szczęścia,
Gdy nie jest zepsuty w ukryciu,
Bo w schronie można nie mieć szczęścia.
Ja nie chcę chować w sercu złości,
A wierzyć Bogu w każdej chwili,
Chcę maszerować z żyjącymi,
Choć żyją tak, jakby trumny nosili.
Ja chcę odczuwać spokój dnia,
Nietknięty jeszcze ludzkim zmęczeniem,
Bo potem będzie zamęt bez dna,
Co rozdzieli, Boże, z Twoim istnieniem.
I jakby nie starać się żyć, to
Wojnie całą uwagę się poświęca...
I choć stopniowo tracisz dom,
Odnajdujesz nieobojętne serca.

lipiec 2022

A ranek bez ciebie jest pusty
A wieczór bez ciebie jest zły
A noce bez ciebie są chłodne
A wiosny bez ciebie smutne
A co tam u ciebie beze mnie?
Czy trawy są jeszcze zielone?
Czy stoją tam wciąż nasze klony?
Ty będziesz ze mną czy nie?
Klony nie uschły (nieprawda),
Trawy są bujne (to kłamstwo),
Domek nasz czeka (nie jutro),
Ciebie obejmę (stek bzdur).
Pralka pierze jedną poszwę,
Miska barszczu samotnie paruje,
Wieszak na palto dla formalności...
Ja nigdy im nie daruję...

lipiec 2022

Napatrz się na mnie z wieczora
Naciesz się mną za młodu
Nadaruj wiosną mi kwiatów
I co dzień „kocham” mi mów
Jutro jest jeszcze ukryte
Porankiem więcej jest chłodu
Zrobię z mojego zielnika
Nadzwyczajną ozdobę
Zaśpiewaj, jak możesz najpiękniej
Opowiedz, jak możesz najciszej
Obejmij (czy możesz?) najmocniej
Uśmiechaj się z oddali
Na kolanach delikatnie

Dla rozrywki przebieram palcami
Między fotografiami
Choć naprawdę to nie cieszy

listopad 2022

Nie zakochuj się mocno w życiu,
Nie trzymaj się za nie co sił.
Jeśli czujesz jeszcze serca bicie,
Rozpostrzyj swe skrzydła i żyj.
Przeżywaj każdą minutę, dzień każdy,
Tak, by nie było pożegnać się żal,
By wdzięczność wzrastała nieustannie,
I nie pragnij przed Bogiem ukryć się!
Nie zakochuj się mocno, a wtedy
Nie zawiedziesz oczekiwań wiary,
Bądź lekki, płynąc z nurtem wody,
Przecież nie weźmiesz nic ponad miarę.
Nie zakochuj się, tylko kochaj.
Różnica po prostu szalona!
Rób coś dobrego, energii nie marnuj,
Doceniaj codzienną szansę.
Nie zakochuj się mocno, nie czas,
Nie trzymaj się za nie, nie trzeba,
Bo kiedyś nie będzie tu nas,
Zakochuj się bardziej w Niebo!

grudzień 2022

Ile można nie spać w nocy
I nie płakać w dzień,
Kochać wszystko bez przyczyny,
Bez nazw...
Ile można się kołysać
W bezwietrzną pogodę,

Życ niby we śnie...
I bez snu...
Ileż trzeba, ile, nawskroś i wszelako...
Bez Boga nijako...
Bez Boga nijako...

10.12.2022

Dziękuję, Boże, że kochasz mnie
Poprzez ludzi, przez objęcia dusz.
I ta miłość Twoja nie minie,
Podnosi na duchu jak ciepły deszcz!
Dziękuję, że opiekujesz się,
W każdych okolicznościach.
I stoję sobie, dziwuję się,
Wierności Twojej żelaznej.
Dziękuję Boże, że słuchasz,
Nie zdań moich nawet, a słów.
Również, że słowom tym zaprzeczasz!
Za Twą intonację, ciszę i ruch.
Dziękuję Boże, że dajesz mi szansę,
Choć ja nie czekałam na nią.
Bo już rozdałam całą zaliczkę
Między rozpaczą i winą.
Wdzięczna jestem za łask Twych strumienie
Dla serca zdartego jak strup.
Dziękuję bardzo, że kochasz mnie
Poprzez ludzi, przez objęcia dusz.

styczeń 2023

Chyba już więcej mi nie zostało
Słów dobrych dla ludzi,
Postawcie przede mną maszynę do pisania,
Nie znajdę ich nigdzie.
Same litery, litery, litery.
Chyba już więcej mi nie zostało
Objęć cieplejszych niż herbata,
Bo komuś objąć nie bardzo się chciało,
Coś innego teraz wymiata.
Znowu liderzy, liderzy, liderzy
Chyba ludzi już nie zostało,
Którzy by mnie rozumieli.
Serce pęknięte, a wszyscy dokoła
Tak samo są już zmęczeni.
Słuchałam piosenkę, chyba w youtubie
O tym, co to jest życie...
Ale ja nie chcę takiego, kochani...
Szepczę, Margo, zrozum:
Nie jesteś jedyna na świecie!

Pan jest moim pasterzem, nie brak mi niczego.

(...)

orzeźwia moją duszę.

*Wiedzie mnie po właściwych ścieżkach
przez wzgląd na swoje imię.*

Chociażbym chodził ciemną doliną,

zła się nie ulęknę,

bo Ty jesteś ze mną.

Twój kij i Twoja laska

są tym, co mnie pociesza.

(...)

Tak, dobroć i łaska pójdą w ślad za mną

przez wszystkie dni mego życia

i zamieszkać w domu Pańskim

po najdłuższe czasy

(Psalm 23)

Już więcej nie będę tak szybko się żegnać z tobą.
W ogóle nie chcę się żegnać już z tobą... Ale
Czy mogę dziś jeszcze mieć na coś nadzieję?
Na nasze spotkania. Pragnienie takie niemałe...
Chcę widzieć rano w słonecznej kuchni,
Jak robisz kawę, jak uśmiech darujesz mi
Miły. I znowu myśleć, że jesteśmy nierozłączni,
Gadać sobie jak w zwyczajne dni.
Znowu się żegnam, tak długo, jak pociąg pozwoli,
Może na niego przekładam swą winę?
Bo daję mu się rozdzielić. Tak boli,
Gdy muszę się mu do tego przyznać.

kwiecień 2023

Czemu nie wymyślono szczepionki na wojnę,
A tylko szczepionkę na covid.
I nie ma skutecznej broni przeciwko
Widzeniu we wszystkim wad.
I czemu jest koniec naszej miłości,
Co kończy się tam, gdzie nienawiść,
Dlaczego nie chcę dać ludziom szansy
Na odkupienie, tylko do więzienia wsadzić.
Czemu po rozłąkach nie ma powrotów,
A dłuższe znowu rozstania,
Dlaczego wszystko jest takie dwuznaczne,
A miało być dobre i proste.
Nigdy więcej, nigdy znowu...
Te puste słowa
Wracają w koło

Ale
Czy znowu nauczymy się kochać
Czy nigdy?

lipiec 2023

Pole usiane makami,
Niby czerwonymi znakami.
A byłyby komuś jak kwiaty,
Słońcem gorącym wymyte.
Mogły być wizerunkami,
Radosnymi rysunkami.
Może nawet pod powiekami,
Rumianymi marzeniami,
Wreszcie jak bukiety,
W bajkach dobre cechy,
Epitety i zalety...
Stały się czerwonym znakiem,
Zamiast zwykłym polnym makiem,
Są ze słono-krwawym smakiem.

lipiec 2023

MARHARYTA ISHCHUK – urodziła się 24 grudnia 1982 roku. Pochodzi z regionu kijowskiego. Z wykształcenia ekonomistka. W Polsce przebywa od 1 marca 2022 roku. Pracuje jako księgową. W kościele prowadzi lekcje biblijne dla dzieci. Od najmłodszych lat pisze wiersze. Swoją talent dedykuje Bogu. Jej wiersze można znaleźć na stronie na Facebooku „маргариткові вірші” („wiersze stokrotki”).

KRYSTSINA KAHRAMANIAN

Listy do matki

Tekst oryginalnie napisany w języku rosyjskim.

Tłumaczenie: Ekaterina B.

Mamusiu... Moja droga mamusiu – tak mi przykro! Kiedy ja i dzieci odwiedziliśmy cię przed wyjazdem, przyszliśmy się pożegnać. Tak bardzo boli mnie świadomość, że prawdopodobnie nie zobaczę już Ciebie i taty. A Wy nie zobaczycie więcej mnie i szóstki swoich wnuków, ani nie będziecie mogli nas przytulić. Boli mnie świadomość, że jestem Waszym jedynym dzieckiem, które powinno się Wami opiekować, ale muszę zostawić Was – własnych rodziców – aby ratować moje dzieci. Co za wybór! Chociaż wiesz – przedstawiciele reżimu Łukaszenki zamierzali wsadzić mnie do więzienia na siedemnaście lat. Z trudem mogłabym pomóc Tobie i tacie, i moim dzieciom, z więzienia. O tym właśnie myślałam, podejmując decyzję o wyjeździe. Odchodząc, ratowałam siebie i dzieci. Wybaczcie mi, moi krewni...

Jechaliśmy autobusem w kierunku polskiej granicy, a ja zastanawiałam się, czy aby ja lub Matwej nie dostaniemy ataku padaczki z nerwów. Oczywiście wzięliśmy tabletki przed podróżą – ale tak bardzo się baliśmy. Chciało mi się płakać. Nie tylko płakać – szlochać... Powiedziałam mojemu najmłodszemu synowi, że wszyscy jedziemy na naszą działkę – bardzo

się bałam, że Straż Graniczna zapyta nas, dlaczego i dokąd jedziemy, a on zacznie im wszystko opowiadać. I zostalibyśmy zatrzymani. Więc mój syn przez całą drogę pytał: „Kiedy przyjedziemy na działkę?”. W końcu dotarliśmy do granicy.

Uchodźcy? Kim są uchodźcy? Podeszłam do okienka, podałam paszporty i powiedziałam: „uchodźcy”. To było jedyne słowo, które znałam wtedy po polsku. Ale dziewczyna w okienku nie chciała zrozumieć, a nasz autobus do Warszawy już odjechał. Potem przyszedł komisarz imigracyjny i zabrał nas na posterunek policji. Dzieci były wyczerpane i głodne. Kiedy byłam przesłuchiwana, zasnęły na naszych torbach. Tak się bałam, mammo. Potem zabrali nas do jakiegoś ośrodka recepcyjnego z kratami w oknach, pełnego starych kanap. Myślałam już o tym, jak pozbyć się wszy z naszych głów... Nie mogliśmy spać, było na to za zimno. Jeden ze strażników zobaczył na monitorze, że wszyscy się trzęsiemy, i przyniósł dzieciom koce. Rano przyszła jakaś pani, którą dzieci poprosiły o wodę. Była zaskoczona. Przyniosła nam wodę i jedzenie w puszkach. Potem załatwiali nasze dokumenty przez kilka godzin. To był drugi dzień bez snu. A ja muszę spać – sama wiesz – inaczej dostanę ataku padaczki.

Mamo, nie mamy miejsca na dziesięciodniową kwarantannę. Zgodnie z prawem w takim przypadku muszą nam je zapewnić. A oni mówią: „Albo poszukaj go sama, albo zabierzemy cię do obozu dla uchodźców i zostawimy przy ogrodzeniu. Sama sobie poradzisz”. Jak mam sobie radzić? Mamo, cały czas się boję. Nie znam języka, jestem samotną matką z czwórką dzieci, w tym synem z porażeniem mózgowym i epilepsją. Co powinnam zrobić, dokąd iść?

Dostali telefon od jakiegoś prawnika i po tym telefonie postanowili zabrać nas do Lublina na kwarantannę. Jedziemy samochodem, a dzieci cały czas patrzą mi w oczy. Jakby pytały: „Co będzie dalej? Mamo, czy dostaniemy jedzenie? Gdzie będziemy spać?”. A ja jadę, myśląc: „Jak będziemy żyć? Kto nas tu potrzebuje?”

Mamo, nie uwierzysz: przywieźli nas do hotelu w centrum miasta – czystego i jasnego! Prawdziwy hotel! Mamy dwa pokoje i dwa prysznice. Myjemy się i myjemy, nie możemy się

umyć. Trzy razy dziennie przynoszą nam jedzenie i zostawiają przed pokojem. I wiesz, mamó, cały czas jest słonecznie. Chyba nigdy nie widziałam tyle słońca!

W nocy zrobiło mi się niedobrze. Nikt nie wiedział, jak wezwać pomoc lub karetkę. O ósmej rano byliśmy w drodze do obozu dla uchodźców – nasza kwarantanna w hotelu dobiegła końca. To była długa droga i trochę się martwiłam – nigdy w życiu nie byłam w takim miejscu. Nie miałam pojęcia, co będzie z nami dalej.

To jest obóz dla uchodźców w lesie, niedaleko Warszawy. Nie ma tu transportu publicznego, tylko samochody pędzące autostradą. Moje dzieci i mnie umieszczono w jednym pokoju w „bloku kobiecym” – dla samotnych kobiet i matek z dziećmi. Są tam okropne, żelazne, piętrowe łóżka i materace pokryte wodoodporną ceratą. Po pokojach biegają karaluchy i pająki. Bardzo się ich boją. Na korytarzu są prysznice, ale jest tylko zimna woda. Wszyscy – a jest nas około trzydziestki – myjemy się na zmianę w jednej łazience. Toalety są zawsze brudne, a ich podłogi zalane. Kuchnię też mamy wspólną – ostrzegano mnie, żeby niczego nie zostawiać, bo kradną. Ludzie różnych narodowości, religii i kultur są umieszczani razem – z tego powodu wciąż występują konflikty. Niektórzy z pewnością cierpią na choroby psychiczne.

Jedzenie, które podają, jest specyficzne. Na przykład zupa to kostki bulionowe w wodzie i trochę warzyw. Często podają rybę – wiesz, że w ogóle nie jem ryb. Przez to zaczął mnie boleć brzuch i przestałam jeść na stołówce.

Raz w miesiącu dają „kieszonkowe” – siedemdziesiąt złotych na osobę dorosłą. Jedzenia jest za mało. Muszę kupować je dla dzieci, ale do najbliższego sklepu trzeba albo wziąć tak-sówkę, albo maszerować przez las. Jest już koniec listopada, a dzieci chodzą w lekkich butach i bez kurtek. A ja po prostu nie mam pieniędzy, żeby kupić im ubrania na taką pogodę. Nie wiem, co robić. Siedzimy w lesie – jest tu zimniej niż w mieście.

Wczoraj miał miejsce ciekawy incydent: samochód podjechał pod bramę obozu i otworzył bagażnik. To zawsze dobry znak. Oznacza, że ktoś coś przywiózł – i może ci to da.

Podeszłam do samochodu. Stały przy nim dwie Polki, a w bagażniku leżały dziecięce farby, albumy, zeszyty i długopisy! Zapytałam, czy mogę wziąć coś dla moich dzieci. Oczywiście, że mogę – po to tam są. Ile mam dzieci i czego jeszcze potrzebujemy? Odpowiedziałam, że jedzenia. „OK” – powiedziały dziewczyny, dając mi prezenty dla dzieci i prosząc o mój numer telefonu. Godzinę później wróciły i przyniosły nam cztery torby jedzenia! Mamo, możesz w to uwierzyć? Nawet ich nie znałam, nie wiedziałam, jak się nazywają, a one przyniosły nam jedzenie! Zapytałam je, dlaczego to robią? „Chcemy tylko pomóc ludziom, którzy potrzebują pomocy” – odpowiedziały. Tak się poznałyśmy. Jedna z nich nazywa się Agnieszka, imienia drugiej niestety zapomniałam. Mamo, mamy teraz jedzenie!

„Przydzielili” dzieci do szkoły. Rano przyjeżdża duży autobus, który zabiera wszystkie dzieci do szkoły, a potem przywozi je z powrotem. Pewnego dnia Daniła poczuł się źle w szkole – dostałam telefon i kazano mi go pilnie odebrać. Droga z obozu do szkoły zajęła mi półtorej godziny – przez las do stacji, potem pociągami i pieszo. Szkolny lekarz nawet nie zbadał mojego syna. Myślę, że dzieci z obozu nie są tam mile widziane. Rozumiem, że „wielokulturowe społeczeństwo” stanowi pewne obciążenie dla szkoły. Ale wcale nie jest mi z tego powodu lepiej.

Mamo, myślę, że nie będziesz się wstydzić tego, co zrobiłam – to była konieczność. Wczoraj przejrzałam kosze na śmieci. W obozie, kiedy ktoś jest zabierany gdzieś indziej, często wyrzuca swoje ubrania, bo nie ma gdzie ich przechować. Zauważyłam to i wieczorem – gdy było już ciemno – poszłam do pojemników i zaczęłam wyciągać te rzeczy. Znalazłam kilka swetrów, dwie kurtki dziecięce i jedną parę butów. Wyprałam je. Powiedziałam dzieciom, że dostaliśmy pomoc humanitarną. Jeśli kiedyś będą pisać o mnie książki, to autorzy z mojej ojczyzny z pewnością opiszą ten pikantny moment. I co? Przyjmijcie dzieci są ubrane!

Agnieszka dzwoniła wczoraj! Zapytała, co przywieźć z jedzenia i ubrań. Nie zapomniała o nas. Poprosiłam o warzywa na zupę i kawałek mięsa. Spodnie i skarpetki dla dzieci. Tak wiele rzeczy nam dziś przywiozła! Dzięki nim całkowicie zapełniłam

naszą pustą lodówkę. Karaluchy rozpierzchły się w panice. Dostaliśmy też ubrania dla dzieci – nawet spodnie sportowe! Ale niektórzy mieszkańcy obozu byli oburzeni, że nam coś przywieźli – a im nie. Potem podeszli do mnie i ostrzegli, że „tutaj tak się nie robi – trzeba się dzielić ze wszystkimi”. Jak w więzieniu, wiesz? Więc podzieliłam się tyle, ile mogłam. Nie chcę żadnych kłopotów.

Kobiety w jednym z pokoi były wczoraj chore. Najpierw jedna zaczęła wymiotować, potem druga. Potem zachorowała cała szóstka. Wielokrotnie mówiliśmy o tym strażnikom, ale niestety nie zareagowali. Kiedy jedna z kobiet nie mogła już mówić, podbiegłam do strażnika i powiedziałam: „One mogą umrzeć – a ty będziesz za to odpowiedzialny!”. Wtedy wreszcie wezwali karetkę. Sanitariusze przyjechali i natychmiast podali kobietom kroplówki. Wszystkie zostały uratowane. Ale ja w nocy miałam atak padaczki – najwyraźniej na tle nerwowym. Wszyscy spali i nikt tego nie zauważył. Teraz strasznie się boję, że jeśli upadnę, strażnicy nie wezwą karetki.

Wieczorami spacerujemy po obozie. Robimy filiżankę gorącej herbaty i chodzimy tak długo, aż wypijemy całą herbatę. Nie, nikt nie trzyma nas w obozie – możemy chodzić, kiedy chcemy i dokąd chcemy. Po prostu nie ma dokąd pójść. NIE MAMY DOKĄD PÓJŚĆ. To jest najgorsze, mamo. Czy zostaniemy tu w obozie na zawsze? Nie – czekamy na decyzję w naszej sprawie, a potem będziemy mieli trzy miesiące, żeby gdzieś wyjechać. DOKĄD? Przychodzą mi na myśl amerykańskie filmy, w których bezdomni mieszkają w kartonach na ulicy albo śpią pod mostem... Teraz ja i moje dzieci jesteśmy pozbawieni ojczyzny, pięknego, ciepłego domu, krewnych i przyjaciół. Co czeka nas dalej?

PS Dzisiaj przyniosłam ze śmietnika dwa pełne opakowania kawy i tabliczkę czekolady!

Dziś rozpoczęła się wojna Rosji z Ukrainą! Mamo, jak to możliwe? Mamo... zbombardowali Sałtiwkę* w Charkowie. Nie

* Rozległe osiedle w Charkowie, w 2020 roku zamieszkiwało je 400 000 osób, zniszczone przez Rosjan w trakcie prób zdobycia Charkowa po 24 lutego 2022 roku.

ma już naszego domu w Charkowie. Nie mogliśmy tego zaakceptować i zrozumieć. Tyle rzeczy nam się przytrafiło, ale wojna jest z nich najgorsza. Teraz myślę, że nadal mamy dach nad głową. Przyzwyczailiśmy się do życia w obozie. Mamo, a co jeśli my też zostaniemy zaatakowani? Co jeśli tu też wybuchnie wojna? Jak ja się boję, mamo...

My – Białorusini – byliśmy zawsze widoczni w stołówce: kiedy policja przychodziła na obiad, wycofywaliśmy się, spuszczaaliśmy oczy i przestawaliśmy jeść. Zastygaliśmy i przestawaliśmy oddychać. Jeśli policja zwracała się do nas w jakiejś sprawie, „czołgaliśmy się” pod ścianę, zostawiając nasze talerze na stołach. Teraz do obozu przyjechali Ukraińcy. Kiedy w sąsiedniej bazie wojskowej rozlega się alarm – na który Białorusini nie zwracają uwagi – Ukraińcy padają na podłogę i chowają się pod stołem. Dzisiaj Białorusini poszli do lasu – szukać tam schronienia, ścieżek ucieczki. A Ukraińcy poszli szukać najbliższego schronu przeciwbombowego. Wszyscy wciąż uciekamy, chociaż jesteśmy w obozie dla uchodźców.

Mamo, zobacz, co wymyśliła Agnieszka: razem z mężem Jankiem i znajomymi wynajęli kilka samochodów i przyjechali po nas do obozu. Zabrali nas wszystkich i zawieźli do Grodziska Mazowieckiego – uroczego, zielonego miasteczka z pięknymi parkami i wspaniałymi placami zabaw. Gdy dzieci biegały po parku, kupili kawę i wszyscy usiedliśmy na trawniku – rozmawiając i śmiejąc się. Rozumiesz, większość czasu spędzaliśmy w obozie, w ciemnym pokoju, sami z naszymi ponurymi myślami. Ale nasi przyjaciele – naprawdę chcę ich tak nazywać! – postanowili zabrać nas z obozu i dać nam trochę radości. „Słuchaj, obóz to nie Polska. To tylko obóz. Chodźcie – pokażemy wam trochę Polski! Odpoczniecie, a dzieciaki będą szczęśliwe” – powiedziała Agnieszka i pojechaliśmy. A potem – na koniec – w drodze do obozu zatrzymaliśmy się w McDonalddie i po prostu kupili nam wszystko, czego chcieliśmy. Mamo, jestem im taka wdzięczna... To powiew wolności i nadziei!

Kto by pomyślał, jak trudno jest kobiecie być samej. Jestem tylko kobietą. Jak mam to wszystko znieść sama? Jak poradzić

sobie z tym ciężarem? Jak żyć, kiedy nic nie zależy od ciebie, twoich życzeń i decyzji? Mamo, nie miałam ani jednego spokojnego dnia w tym obozie. Ani jednego. Ciągle jestem w stanie niepokoju i strachu.

Często wspominamy z dziećmi nasz dom w Mińsku – duże, ale przytulne mieszkanie. Wszystko tam zostało. Zabrałam ze sobą tylko karty moich dzieci z porodówki z ich wagą i godziną urodzenia. Pakowałam się w szoku, płakałam nad ich zabawkami i rysunkami, które musiałam zostawić. Nad naszymi rodzinnymi albumami ze starymi, ale jakże kochanymi zdjęciami. Płakałam, gdy byliśmy zmuszeni oddać dwa nasze koty.

Kiedy traci się wszystko, każda rzecz, każdy drobiazg wydaje się skarbem. Dzieci pamiętają swoich szkolnych przyjaciół, pamiętają działkę. Twoją działkę, na której spędzili całe dzieciństwo. Teraz zachowaliśmy ją tylko w naszych wspomnieniach i w bólu po stracie.

Mamo! Decyzja w naszej sprawie już podjęta! Otrzymaliśmy status uchodźców! Jestem taka szczęśliwa! Wiesz, byliśmy w obozie tak długo – a decyzji nie było. Czekaliśmy każdego dnia i każdego dnia ktoś – nawet jeśli przybył znacznie później – dostawał decyzję. Ale nie my. Już nawet zaczęli nas żałować. Ale to była litość w stylu „kup mu rower – przecież ma raka”.

Co mam teraz zrobić? Dokąd pójdę z dziećmi... Bez pieniędzy, bez pracy. Czwórka dzieci, które potrzebują czegoś do jedzenia. Musimy opuścić obóz w ciągu trzech miesięcy. Modlę się i wierzę w cud.

Mamo! Właśnie dostałem telefon: „Czy nadal jesteście w obozie? Mamy dla was mieszkanie socjalne. Jeśli nie macie dokąd pójść, możecie w nim zamieszkać”. Wyobrażasz sobie? W chwili mojej najgłębszej rozpacz – taka dobra wiadomość! Pojechaliśmy razem obejrzeć mieszkanie. Mamo, wiesz jaka piękna jest Warszawa? Dopiero teraz ją zobaczyłam – cała zielona i kolorowa! I znowu świeci słońce! Ludzie są spokojni, uprzejmi. W powietrzu – wiosna, w sercu radość. Wygląda na to, że nadal jesteśmy potrzebni.

Opuściliśmy obóz i wszyscy wyszli, żeby nas oglądać. Wiesz, to tak, jak w filmie o sierocińcu – ktoś zostaje

adoptowany i jego nowi rodzice przychodzą go odebrać, a wszystkie dzieci wychodzą i patrzą – mając nadzieję, że pewnego dnia ktoś przyjdzie również po nie! Strażnicy zapytali: „Dokąd pani idzie?”, a ja odpowiedziałam: „Do nowego życia!”.

Mamo, teraz mieszkamy w centrum Warszawy, blisko Wisły, wyobrażasz sobie? Mamy cztery pokoje – i po pobycie w obozie jest nam w nich bardzo wygodnie. Wszystkie sklepy są blisko – koniec z chodzeniem do nich przez las. Nadal boję się kamer i policjantów – mam nadzieję, że to minie. Próbuję nauczyć się polskiego – to dla mnie trudne. Przypuszczam, że to z powodu operacji mózgu. Muszę składać wiele dokumentów, chodzić do różnych urzędów i mówić tam po polsku. Polski to trudny język, mimo że czasem bywa podobny do białoruskiego. Dzieci mówią już dobrze i piszą, ale ze mną jest inaczej.

Agnieszka i Janek zorganizowali zbiórkę pieniędzy dla naszej rodziny wśród swoich przyjaciół i znajomych. Gdzieś zdobyli dla nas lodówkę i ją przywieźli. Ich znajomi podarowali nam dwa stoły i dwa dywany. Są tacy dobrzy! Zaprosili nas też do siebie na polskie święto. Z wrażenia aż zapomniałam, jak ono się nazywa, muszę zapytać jeszcze raz. Było wielu ich przyjaciół i mama Agnieszki – piękna blondynka w czerwonej sukience. Pierwszy raz spróbowaliśmy żurku, tradycyjnej polskiej zupy. A potem poszliśmy na spacer do parku niedaleko ich domu. Mamo, naprawdę mieszkając w obozie nie mieliśmy pojęcia o Polsce i jej mieszkańcach. Musimy jakoś „wybić” z siebie obóz, nauczyć się żyć w Polsce.

Zupełnie nie rozumiem, gdzie znajdują się przychodnie i jak się tam dostać. Jak umówić się na wizytę u lekarza? Dokąd iść? Nie mogę zadzwonić, bo nie mówię zbyt dobrze po polsku. Nie rozumiem wielu rzeczy i nikt mi ich nie tłumaczy. Strasznie się denerwuję... Boję się, że kogoś rozboli ząb i nie będę wiedziała, co robić. Albo Matwej zachoruje, a ja nie wiem, jak wezwać karetkę. Emigracja jest jak walka o przetrwanie.

Mamo, jestem mądra. Ty o tym wiesz, a ja muszę sobie przypominać. Każda moja próba zdobycia pracy kończy się fiaskiem. Na Białorusi zostałam nagrodzona za działalność zawodową przez Biuro Europejskiego Rozwoju i Komunikacji

oraz Amerykańską Agencję ds. Rozwoju Międzynarodowego (USAID), tam jestem prelegentką na Światowym Tygodniu Przedsiębiorczości i skuteczną bizneswoman. A tutaj nie mogę znaleźć pracy. Z powodu mojej niewydolności serca i epilepsji praca fizyczna nie jest dla mnie odpowiednia, a do pracy „umysłowej” się nie nadaję, bo nie znam języka. Jestem w rejestrze bezrobotnych. Czuję się jak beztalencie. Nie mam wystarczająco dużo pieniędzy. Wspiera mnie pomoc społeczna. Mam pięćdziesiąt lat i nie wiem, co dalej.

Mamo – chłopcy zakończyli rok szkolny. Dostali świadectwa! Niestety lato będą musieli spędzić w domu – nie mam pieniędzy na obóz, a bezpłatnie przyjmują tylko ukraińskie dzieci. Awel jest ze mną w domu – wiesz, że ma ADHD i nie może wychodzić beze mnie. Daniła podróżuje po Warszawie, spotykając się z przyjaciółmi. Warszawa jest na tyle bezpiecznym miejscem, że nie mam nic przeciwko temu, żeby wychodził sam. Ostatnio spotkałam się z Agnieszką – poszłyśmy do kawiarni i pogadałyśmy. Wiesz, została moją przyjaciółką. Kiedyś mówiliśmy na nią i Janka „opiekunowie”, ale teraz nazywamy ich przyjaciółmi. Więc... mamy dom, mamy przyjaciół. Czasami z nostalgią oglądam zdjęcia Mińska w internecie i transmisje z monitoringu na naszym podwórku. Kiedy patrzę wstecz, wydaje mi się, że mieszkam w Polsce nie dwa, a pięć lat. Jest tu bezpiecznie, ale wciąż jestem niespokojna. Prawdopodobnie będzie tak przez długi czas – dopóki nie znajdę pracy i nie zacznę zarabiać. Mam dzieci. Jesteś mamą, zrozumiesz.

Mamo... moja droga mamo! Nigdy nie przeczytasz moich notatek – ponieważ nigdy ci ich nie wyślę. Nie chcę cię zranić bardziej, niż już to zrobiłam. Codziennie pisałam do Ciebie małe listy i zostawiałam je u Ciebie. Kiedy do siebie dzwoniłyśmy, niezmiennie mówiłam, że wszystko u nas w porządku. Nie mogę ci powiedzieć, że nie wrócimy – bo czekasz na nas każdego dnia... Ale w Polsce jesteśmy mile widziani. Dbają o nas, chronią nas. To jest teraz nasz dom. Nigdy nie zapomnimy, że jesteśmy Białorusinami, ale to bardzo dziwne – na Białorusi byliśmy obcymi, a w Polsce przyjęto nas jak swoich. Nadal wierzymy, że nadejdzie dzień, kiedy Białoruś będzie

wolna – a my przyjedziemy do Ciebie i tatusia – przytulić się, pocałować, pojechać na działkę.

Życie długo, kochani. I wiedzcie, że u nas wszystko w porządku.

KRYSTSINA KAHRAMANIAN – Osoba publiczna, osobowość medialna (uczestniczka licznych programów telewizyjnych, artykułów w mediach), niezależna dziennikarka, przedsiębiorcywni społeczna, działaczka obywatelska. Za swoją działalność została nagrodzona przez Biuro Europejskiego Rozwoju i Komunikacji i USAID. Matka 6 synów. Białorusinka ukraińskiego pochodzenia. Przeprowadziła się z dziećmi z Białorusi do Polski w 2021 roku, uciekając przed represjami i prześladowaniami reżimu Łukaszenki.

FRISHTA KARGAR

Historia imigrantki

Tekst oryginalnie napisany w języku angielskim.

Tłumaczenie: Paulina Olivier.

Nazywam się Frishta Kargar, jestem córką Abdullaha Kargara. Urodziłam się w 1990 roku w Kabulu w Afganistanie – kraju, w którym od kilkudziesięciu lat toczy się wojna.

Nigdy, przenigdy nie myślałam o emigracji. Zawsze chciałam pomagać mojemu narodowi, szczególnie dziewczynom i kobietom, które były oddalone od edukacji i wiedzy. Ponadto codziennie walczyłam o wzmocnienie pozycji kobiet i wierzyłam, że Afganistan wkrótce będzie bezpieczny. Wyobrażałam sobie tętniącą życiem przyszłość mojego narodu, dlatego podejmowałam się różnych zajęć. W Turcji, kiedy robiłam licencjat, pracowałam jako wolontariuszka w biurze imigracyjnym – wspierałam tam kobiety i starałam się im pomagać w każdy możliwy sposób.

Wróciłam do Afganistanu po ukończeniu studiów licencjackich i rozpoczęłam pracę w Ministerstwie Finansów, w którym od razu zainteresowałam się prawami kobiet. Mimo że w pracy zajmowałam się innymi rzeczami, równocześnie prowadziłam działania na rzecz kobiet. Nasz zespół stawał się coraz silniejszy, udało nam się stworzyć wiele grup na WhatsAppie, by dodawać sobie nawzajem otuchy w różnych kryzysowych

sytuacjach, między innymi w trakcie pandemii. W tym czasie stałam się liderką grupy kobiet, z którymi robiłyśmy maseczki i rozdawałyśmy mydło i środki do dezynfekcji rąk osobom, które nie mogły sobie na nie pozwolić.

Każdego miesiąca odkładałam część mojej pensji, żeby opłacić czynsz osobom potrzebującym: starszemu mężczyźnie, kobiecie, której córka chorowała na raka, i innym. Zaś podczas Ramadanu zbierałam pieniądze wśród moich przyjaciół, rodziny i współpracowników, aby pomóc tym w potrzebie. Kiedy widziałam ich radość, odczuwałam ogromną satysfakcję, to były najlepsze dni mojego życia. Im więcej osób mogłam wesprzeć, tym bardziej sensowne wydawało mi się życie.

Poza tym udzielałam się społecznie, uczestnicząc na przykład w corocznym sadzeniu drzew. Po upadku reżimu talibów w 2001 roku straciliśmy tereny zielone, a ja chciałam, żeby mój kraj odżył. Czułam, że ludzie darzą mnie szacunkiem i sympatią, było to dla mnie ważne. To wszystko sprawiło, że w ciągu sześciu lat zrobiłam karierę. Na początku zostałam zatrudniona jako specjalistka do spraw programów szkoleniowych w Wydziale Zasobów Ludzkich Ministerstwa Finansów Afganistanu (MoF). Potem zdałam sobie sprawę, że potrzebuję większych wyzwań, które pozwolą mi silniej wpływać na rzeczywistość. Zdecydowałam się więc na studia magisterskie. Aplikowałam na kilka programów i ostatecznie dostałam ofertę pełnego stypendium z Uniwersytetu Azji Środkowej w Republice Kirgistanu. Mimo że zdałam egzamin i zostałam wybrana, nie byłam pewna, co dalej robić. Miałam małą córeczkę, Smyrnę, i nie mogłam tak po prostu zostawić jej w Kabulu, by kontynuować studia. Na szczęście udało się: Aga Khan Development Network i Uniwersytet Azji Środkowej ułatwiły mi zabranie ze sobą córki i mojej mamy, która chciała mi pomóc. Na każdym etapie mojego życia to właśnie mama była dla mnie największym wsparciem. Czasami naprawdę chciałam się poddać, nie było mi łatwo godzić pracy z nauką i opieką nad dzieckiem. Próbowałam wtedy sama siebie przekonać, że muszę dać sobie radę, przetrwać te trudne chwile, a zbliżyć się do osiągnięcia swoich celów.

W końcu pomyślnie ukończyłam studia. Poczułam się pewnie, jeśli chodzi o moją karierę, ponieważ miałam tytuł licencjata stosunków międzynarodowych z jednego z najlepszych tureckich uniwersytetów, a teraz również tytuł magistra polityki gospodarczej. Oba kierunki były perspektywiczne w kontekście dalszej pracy, a moja pewność siebie rosła z dnia na dzień. W krótkim czasie awansowałam na starszą specjalistkę w Dwustronnych Komisjach Gospodarczych*, w których zajmowałam się współpracą gospodarczą, handlową, transportową, zdrowotną i w zakresie szkolnictwa wyższego między Afganistanem a innymi krajami z regionu. Zawsze chciałam iść naprzód i wierzyć w siebie. Dlatego później awansowałam na dyrektorkę biura, w którym zaczynałam jako specjalistka. Było to dla mnie spełnienie marzeń. Na stanowisku dyrektorki negocjowałam tematy współpracy dwustronnej z ambasadami i moimi odpowiednikami z innych krajów oraz wszystkimi ministerstwami Afganistanu. Brałam udział w spotkaniach z wysoko postawionymi urzędnikami w kraju i za granicą.

Pomimo konieczności łączenia pracy w Ministerstwie z rolą matki, budowałam dobre relacje z władzami Ministerstwa, władzami biura administracyjnego prezydenta, organizacjami międzynarodowymi, placówkami dyplomatycznymi i organizacjami pozarządowymi; zawsze brałam udział w różnych spotkaniach, a nawet w dużej mierze je prowadziłam i organizowałam. Niestety, moje spełnione marzenia nie trwały długo i zostały zrujnowane – wszystko zostało mi odebrane w krótkiej chwili, gdy talibowie przejęli Afganistan w ciągu zaledwie kilku dni.

Pochodzę ze znanej rodziny Kargar. Mój ojciec służył jako wojskowy, był generałem i oficerem wywiadu. Pracował również jako ministerialny doradca prezydenta, zanim

* ang. The Bilateral Economic Commissions Directorate (BECD) – komisje działające w ramach Dyrekcji Generalnej Szefa Sztabu Ministerstwa Finansów Islamskiej Republiki Afganistanu (2004–2021). Główną działalnością BECD było m.in. organizowanie Sesji Wspólnej Komisji Gospodarczej (JEC) w kraju i poza nim i wdrażanie instrukcji ministra finansów w sprawach bilateralnych. W ramach swojej działalności BECD powołała Wspólne Komisje Gospodarcze z m.in. Chińską Republiką Ludową, Islamską Republiką Pakistanu, Islamską Republiką Iranu i Federacją Rosyjską.

zmarł 23 lipca 2009 roku. Mój brat cioteczny – Shaker Kargar – pełnił funkcję wiceprezydenta, ministra wody i energii, ministra handlu i przemysłu, członka parlamentu, ambasadora, a na koniec pracował jako szef kancelarii prezydenta. Ponadto mój mąż Atila Kargar pracował w Bagram* z NATO, a następnie jako lekarz w biurze wiceprezydenta.

Przed upadkiem afgańskiego rządu 15 sierpnia 2023 roku wszystko było normalnie, a życie toczyło się swoim rytmem. Niedawno urodziłam dziecko, które wtedy miało już prawie dwa miesiące i byłam na urlopie macierzyńskim. W dniu upadku rządu poszłam do pracy z synem, żeby przedstawić go kolegom, wziąć udział w kilku spotkaniach i poinstruować zespół o zadaniach na następny miesiąc. Pozostał mi jeszcze miesiąc urlopu macierzyńskiego, ale już nie mogłam się doczekać powrotu do pracy. Jednak ponieważ przed porodem byłam zarażona Covid-19, a po nim byłam słaba fizycznie, nie chciałam ryzykować i nie chodziłam do biura. Zaczęłam natomiast pracować zdalnie i uczestniczyłam w spotkaniach online, przez co moi koledzy nazywali mnie pracoholiczką. Ja jednak po prostu uwielbiałam swoją pracę.

Kiedy tego dnia przyszłam rano do biura, dużo rozmawialiśmy z kolegami i koleżankami i byliśmy bardzo szczęśliwi. Była godzina 11:00, 15 sierpnia, kiedy skończyliśmy pracować nad kilkoma zadaniami. Właśnie wtedy przez okno biura zobaczyłam, że ludzie zbliżają się do drzwi, wszyscy w pośpiechu. Nie sądziłam, że to coś poważnego, dopóki jeden z moich kolegów nie wszedł i nie poprosił mnie o jak najszybsze opuszczenie biura. Byłam w szoku i zaczęłam panikować, wszyscy biegli korytarzem, a ja zaczęłam podążać za nimi, nie zabierając nawet swoich rzeczy. Wyszłam z biura z moim synkiem, Marssem, i zadzwoniłam po kierowcę. Na szczęście wciąż był w Ministerstwie, w przeciwieństwie do wszystkich innych kierowców, którzy już z niego uciekli. Kiedy dotarłam do domu, dowiedziałam się, że talibowie przejęli również Kabul. Gdy poinformowano mnie, że mój brat, który pracował z prezydentem, wciąż pozostawał w biurze, a mój mąż również był

* Baza lotnicza.

jeszcze poza domem, byłam załamana. Na szczęście później dotarli do domu. Wtedy zebraliśmy się, szczęśliwi, że jesteśmy razem. Jednak tej nocy nie mogliśmy spać i długo rozmawialiśmy z naszymi rodzinami i przyjaciółmi. Ci prosili nas, żebyśmy opuścili dom, ponieważ talibowie już zaczęli przeszukiwać domostwa tych, którzy współpracują z rządem. Ponieważ cała moja rodzina, w tym ja, pracowała dla rządu i byliśmy bardzo blisko pałacu prezydenckiego i głównych ministerstw, nie mieliśmy innego wyjścia, jak tylko oddalić się, żeby ocalić życie.

Postanowiliśmy przenieść się do domu mojej babci, zabierając ze sobą tylko kilka toreb i jadąc różnymi taksówkami; ja na dodatek byłam z dziećmi i w bardzo trudnej sytuacji. Gdy w końcu tam dotarliśmy, poczułam się trochę lepiej, jednak stanęliśmy w obliczu kolejnego niebezpieczeństwa – budynek, do którego się wprowadziliśmy, również znajdował się w bardzo newralgicznej okolicy: sąsiedzi mojej babci byli ministrami, a talibowie już zajęli ich domy. Był to jeden z najbardziej przerażających momentów w moim życiu.

Kiedy wyjrzałam przez dziurę w oknie, talibowie byli wszędzie wokół – pomyślałam, że to może być koniec mojego życia. Zaczęłam płakać i szlochać. Nie miałam pojęcia, co robić dalej. Zastanawiałam się, jak mogę się stamtąd wydostać i co zrobić, jeśli wejdą do domu. Widziałam, że wiele krajów ogłosiło, że pomoże Afgańczykom. Zaczęłam więc starać się o pomoc, jak tylko mogłam – potrzebowałam jej bardzo pilnie. Musieliśmy jak najszybciej opuścić Kabul. Jak wspomniałam, nie tylko pracowaliśmy dla rządu, ale jesteśmy też znaną rodziną w Afganistanie. Wiedzieliśmy, że plotki szybko się roznoszą, a talibowie zorientują się, że się ukrywamy.

Wpadałam w coraz większą panikę. Czułam się beznadziejnie. W każdej minucie wyobrażałam sobie moment, w którym talibowie nas znajdą i jak okrutnie zakończą nasze życie. Myślałam o tym, że mogę nie zdołać uratować moich dzieci, a czym one zawiniły? Dlaczego muszą zostać ukarane z mojego powodu? Dlaczego muszą się poświęcać, mimo że nic nie wiedzą o rządzie i talibach? To naprawdę mnie bolało. Moje serce płonęło. Nie mogłam nic zrobić. Nagle otrzymałam wiadomość

z Twittera od jednego z moich starych przyjaciół, którego poznałam podczas studiów licencjackich na Uniwersytecie Ege w Turcji. Napisał, żebym sprawdziła pocztę, bo tam przesłał wszystkie informacje oraz poprosił o wysłanie maila na adres polskiego urzędnika. Po chwili wysłałam wiadomość. Otrzymałam zwrotnego maila, jednak swojego wysłałam ze swojej oficjalnej skrzynki i pomyślałam, że ona nie jest już bezpieczna. Przeprosiłam, że nie będę w stanie dalej odpowiadać. Zapytałam, czy mogę skontaktować się przez WhatsAppa i natychmiast usunęłam tę wiadomość. Potem mój przyjaciel zapytał, czy mogę do niego zadzwonić przez WhatsAppa. Odpowiedziałam, że jestem całkowicie zagubiona, że mój mózg nie reaguje normalnie. Później, kiedy zadzwoniłam i rozmawiałam z nim, słuchał mnie uważnie i powiedział, że skontaktuje się z naszym ambasadorem w Polsce, aby wyjaśnić mi moją sytuację. Na szczęście ambasador wkrótce potwierdził, że zadzwoni do mnie o 2:00 nad ranem czasu afgańskiego. Zatelefonowałam do mojego brata i mamy, którzy również nie spali, myśląc o planie ratunkowym, i powiedziałam im, żeby się nie martwili, że im pomogę, muszą tylko dać mi trochę czasu. W trakcie rozmowy ambasador powiedział, że w Polsce jest teraz późno. Oficjalne godziny otwarcia instytucji zaczną się za 12 godzin i wtedy – rano – porozmawia z parlamentem i biurem premiera. Był miły i pełen nadziei, poradził, abym była cierpliwa i miała nadzieję, że wszystko będzie dobrze, nie martwiła się i była silna.

Poczułam się znacznie lepiej, jakby pojawił się anioł i wziął mnie za rękę. Wydawało mi się, że to cud. Następnego ranka otrzymałam wiadomość od innej polskiej przyjaciółki – chociaż nigdy w życiu nie spotkałam jej na żywo, to dodawała mi otuchy i nadziei. Towarzyszyła mi z daleka. Mówiła, że na pewno przyjadę do Polski, że trzyma za mnie kciuki i modli się o bezpieczeństwo moje i mojej rodziny. Jednak nikt z nas nie mógł spać i czekaliśmy na planowany moment. Ambasador zadzwonił do mnie dokładnie w ustalonym czasie i poinformował, że przekazali moje dokumenty do polskiej ambasady w Indiach i próbują dodać mnie do listy osób, które będą mogły wyjechać. Powiedział, żebym przygotowała się do wyjazdu

dzisiaj, że mamy lot o 15:00 i że muszę dotrzeć na lotnisko o tej porze.

Miałam torebkę, do której włożyłam moje cenne rzeczy i nasze telefony oraz jedną małą torbę, mieszczącą trochę dziecięcych ubrań i inne potrzebne im przedmioty. Moja mama i brat zrobili to samo. Znaleźliśmy człowieka, który ukradkiem zabrał nas na lotnisko. W końcu dotarliśmy na miejsce i dostaliśmy numer do dziennikarki, która miała nam pomóc skontaktować się z polskimi żołnierzami. Poprosiła nas, abyśmy udali się w pobliże obozu Baran*, na parking, na którym zebrano kilka rodzin, które miały udać się do Polski. Zostaliśmy tam jedną noc w samochodzie, aż do rana. Około czwartej nad ranem ruszyliśmy na lotnisko i weszliśmy w tłum tysięcy ludzi. To była nerwowa i bardzo trudna do opisanía sytuacja, to było morze ludzi. Wszyscy starali się dotrzeć do bramek, przez które zagraniczni żołnierze mieli opuścić Afganistan. Próbowaliśmy iść naprzód, lecz nagle Atilla gorzej się poczuł. Był spragniony i bardzo się pocił, potrzebował wody. Szukaliśmy jej, aż w końcu ktoś mu ją dał i mój mąż poczuł się lepiej. Bardzo się bałam, że jeśli nie uda mu się przeżyć na tym etapie podróży, to nie przedrzemy się przez ten tłum. Po chwili to samo stało się z moją mamą i poczułam się bardzo przygnębiona.

Nie miałam wyboru, modliłam się cały czas. Powtarzałam każdy znany mi werset Koranu w nadziei na ratunek. Ja i Bak-tash byliśmy silniejsi od innych. Chociaż nosiłam Marsa i karmiłam go co trzydzieści minut, nadal próbowałam mocno stać na nogach. Najtragiczniejsze w tej sytuacji było to, że widziałam, jak niektórzy, w tym dzieci, upadali na ziemię i umierali. Nie mieliśmy wyjścia. Nie mogliśmy im nawet pomóc. Chciałam ich nieść, chciałam ich ratować, ale my też mogliśmy stać się jednymi z nich. Raz żołnierz podniósł dziecko i zapytał, czyje ono jest, ale nikt nie był gotowy go wziąć. Czułam się bardzo źle. Płakałam, zastanawiając się, dlaczego znaleźliśmy się w takiej sytuacji. To był koszmar. W pewnym momencie moja sukienka zaczepiła się o drut kolczasty, a ludzie

* W pobliżu lotniska w Kabulu.

wciąż popychali mnie, żebym szła naprzód. Gdybym usiadła, być może przesliby po mnie i po Marsie, ale nie upadłam. Włożyłam całą swoją siłę w to, żeby nie upaść i dzięki Baktashowi, który przyszedł i zabrał Marsa ode mnie, mogliśmy iść dalej. Wszystko działo się w ogromnym zamieszaniu, ponieważ z jednej strony, talibowie strzelali i krzyczeli do tłumu, a z drugiej, żołnierze próbowali powstrzymać tłum, aby nie przekraczał wyznaczonego obszaru. Chcieli mieć kontrolę z obu stron, było niebezpiecznie, a my byliśmy sfrustrowani. Patrzyłam na Smyrnę, a ona błagała mnie, żebym zabrała ją z powrotem do domu. Płakała i mówiła: „mamusiu, chodźmy do domu, tak się boję, proszę, mamusiu, zabierz mnie do domu”. To naprawdę rozdzierało moje serce. Czułam się źle i jedyna rzecz, która krążyła mi po głowie, to że lepiej byłoby zostać w domu niż ryzykować życie dzieci tutaj.

Byliśmy jednak w połowie drogi i nie było już odwrotu. Jak mielibyśmy ominąć cały ten tłum, żeby zawrócić? Nawet Atilla żałował, że wyruszyliśmy, i przekonywał do powrotu. Mówił do mnie: „chodźmy, to koniec, nie przeżyjemy, umrzemy, jeśli pójdziemy dalej”. Ale ja nikomu nie odpowiadałam. Wciąż szeptałam i modliłam się do mojego Boga, aby nas ocalił.

W końcu dotarliśmy do celu i pokazaliśmy żołnierzom nasze paszporty. Powiedzieli, że nie mamy wiz. Jak w związku z tym mieliby nas przyjąć? „Jest ponad tysiąc osób, które mają paszporty” – powiedziałam. Błagałam żołnierza, „proszę, uratuj nas, pomóż nam, proszę!”. Powiedziała im, żeby sprawdzili listę i że informacje o nas i nasze nazwiska są tam zapisane, ale oni powiedzieli, że nie ma żadnej listy, żebyśmy wracali i nie marnowali ich czasu. „Nie macie żadnej wizy ani żadnego dokumentu tożsamości; okłamujecie nas!”. Przysięgałam im wiele razy, że to, co mówię, to prawda, ale wydawało się, że to koniec, a wszystkie moje nadzieje przepadły. Czułam się zgubiona. Wciąż tam stałam, nie patrząc za siebie. Nie widziałam nawet, gdzie jest mama i reszta rodziny. Widziałam tylko Baktasha, byliśmy razem. W tym momencie przyszedł żołnierz, który mówił po persku. Zawołałam go i krzyknęłam: „pomóż mi”, a on odwrócił się do mnie i powiedział: „pokaż, co masz”. Baktash natychmiast pokazał mu odpowiednie wiadomości

i wszystkie informacje. Żołnierz powiedział: „OK, nie martw się, jesteś na liście”. To był najszczęśliwszy moment w moim życiu. Byłam oszalała z radości. Nie byłam w stanie zrobić kroku. Po prostu uniżyłam się i zabrałam Marsa do niego. Zabrał nas na drugą stronę i powiedział: „jesteś już bezpieczna, nie martw się”. Nadal byłam bardzo zdenerwowana i strasznie płakałam, wskazując na moją rodzinę. „OK, usiądź” – nakazał. Dał mi wodę i powiedział, że ich przyprowadzi, żebym tylko mu pokazała, kto jest członkiem mojej rodziny. Wskazałam na moją mamę, Smyrnę i Baktasha, ale nigdzie nie widziałam Atilli. Znowu wpadłam w panikę i wbiegłam w tłum, krzycząc „Atilla, Atilla”. Żołnierz zatrzymał mnie i poprosił o okazanie dowodu tożsamości. Było tam wielu ludzi. Mogłabym znaleźć wśród nich Atillę, ale trudno mi było wytłumaczyć, jak on wygląda, bo żołnierz nie rozumiał po angielsku. Powiedziałam, że to mężczyzna w zielonej szacie, ale nie znalazł go w tłumie. W końcu wskazałam na jego mundur i pokazałam, że to ten kolor i poprosiłam innych strażników, aby pozwolili mu przejść.

W końcu wszyscy przeszliśmy – byliśmy uratowani. Zabrali nas do obozu Baran. Na lotnisku dali nam wodę i powiedzieli, że teraz jesteśmy bezpieczni. Kiedy sytuacja się uspokoiła, zdałam sobie sprawę, że zgubiłam torebkę, do której włożyłam wszystkie cenne przedmioty, takie jak biżuteria, telefon, karty i wszystko, co mogłoby pomóc nam przetrwać w przyszłości. Niestety włożyłam tam również telefon mojej mamy i Atilli, ponieważ wszystkie były rozładowane – używaliśmy ich przez dwa dni. Po prostu je schowałam, nie spodziewając się, że je zgubię. Na szczęście Baktash miał swój telefon przy sobie. Zostaliśmy tam na noc. Dali nam trochę jedzenia dla dzieci, żeby mogły przeżyć, jednak brakowało jedzenia dla dorosłych. Przeprosili za to i podarowali nam trochę chleba z mlekiem. Zorientowali się, że karmię dziecko. Tę noc spędziliśmy na zewnątrz, było bardzo zimno, spaliśmy na trawie, miałam chustę, owinęłam nią dzieci i siebie. Chuchałam, żeby było im ciepło, i mocno je przytulałam. Reszta ludzi chodziła dookoła, żeby się rozgrzać.

Było zimno i wilgotno. Robiło się coraz zimniej, aż do czwartej nad ranem. Jestem pewna, że nikt nie mógł spać tej nocy.

Wcześniej rano przyszli strażnicy, obudzili wszystkich i ustawili w dwóch rzędach. Policzyli nas i zapisali jakieś numery i znaki, oznaczyli nas i powoli przenieśliśmy się stamtąd do innego kompleksu. Dokładnie w tym momencie Mars zaczął płakać, bo zazwyczaj o tej porze spał, a czasami, kiedy się budził, śpiewałam mu piosenkę dla dzieci. Nagle przypomniałam sobie tę piosenkę i zaczęłam ją śpiewać powoli, jakby szepcząc mu do ucha, a on się uspokoił, zrozumiał, że jest w dobrych rękach. Czułam, że moja twarz znów robi się mokra, każda chwila była pełna emocji.

Moja nadzieja rosła, ale dopóki nie dotarliśmy na miejsce, nie wierzyłam, że ta podróż się wydarzy, ponieważ wciąż byliśmy na lotnisku. Wciąż słyszeliśmy odgłosy ognia talibów. Wreszcie zaczęliśmy się poruszać, było nas w sumie 99 osób z dziećmi. Dotarliśmy do miejsca, w którym zatrzymaliśmy się na chwilę i w którym ponownie nas policzono i umieszczono inne znaki. Po pewnym czasie przyjechały autobusy, które zabrały nas do innego sektora. W tym miejscu nas zarejestrowali i czekaliśmy tam przez kilka godzin. Nakarmili nas i trochę się odświeżyliśmy. Około południa znowu przyjechały autobusy i zabrały nas na lot. Umieścili nas w dwóch wojskowych samolotach i chociaż nie było komfortowo i było bardzo głośno, to właśnie wtedy zdałam sobie sprawę, że wszyscy powoli zaczęli zasypiać. Czułam, że wszyscy dopiero teraz odetchnęli, tak jak ja, i ucieszyli się, że w końcu lecą i mają szansę uratować życie.

W ciągu trzech godzin dotarliśmy na uzbeckie lotnisko Novoyi, na którym przetestowali nas na koronawirusa na wypadek, gdyby ktoś był zarażony. W poprzednich dniach zapomniałam o COVID-19 i wszystkich innych problemach. Spędziliśmy tam jakąś godzinę. Poprzedniej nocy umieraliśmy z zimna, a teraz byliśmy na środku płyty lotniska, gdzie nie było żadnego cienia. Słońce było dokładnie nad naszymi głowami, żar lał się z nieba. Najpierw czekaliśmy, aż przetestują dziewięćdziesiąt dziewięć osób, potem na wyniki. Sprawdzali również nasze dokumenty, czy mamy paszport lub Tazkira* – wszystko, co mogło świadczyć o naszej tożsamości. Kiedy

* Afgański dowód osobisty.

skończyli, czekaliśmy na tankowanie polskiego samolotu. Obserwowaliśmy ten proces, wszyscy poruszeni, nie mogli się doczekać, żeby wejść do samolotu. W końcu oczekiwanie dobiegło końca i weszliśmy na pokład. Czułam się bardzo dziwnie, jakbym zgubiła się na wiele lat w dżungli i niczego w życiu nie widziała. Kiedy stewardessa zapytała mnie, czego chciała-bym się napić, powiedziałam, że herbaty, kawy, wody, soku – wszystkiego, co ma. Roześmiała się, odpowiadając: „jasne, pewnie brakowało ci wszystkiego w czasie tej drogi”. Próbowalam się zdrzemnąć, ale kiedy zamykałam oczy, wszystkie wydarzenia z ostatnich dni pojawiały się w mojej głowie jak film. Samolot wylądował w Gruzji, a mnie przypomniał się czas, kiedy po raz pierwszy wyjechałam na studia do Turcji. Wtedy też leciałam samolotem wojskowym, chciałam studiować i robić karierę. Potem poleciliśmy dalej i w końcu dotarliśmy do Warszawy.

Po kontroli wszyscy wsiedliśmy do autobusu, a następnie dotarliśmy do ośrodka dla uchodźców. Dali nam pokój z pięcioma łózkami, który przypominał te w akademikach. Piętro niżej znajdowała się kuchnia i łazienka. Łóżka były rodzajem pryczy. Pracownicy ośrodka byli bardzo mili i okazali nam gościnność. Zapewnili nam podstawowe produkty, takie jak mydło, szampon, pieluchy i łóżko dla Marsa. Położyliśmy się do łóżka i spaliśmy. Rano zapukano do drzwi i przyniesiono nam śniadanie. Do czasu zakończenia kwarantanny mieliśmy zapewnione dwa posiłki dziennie. W końcu byliśmy bezpieczni i mogliśmy głęboko odetchnąć. Nie mieliśmy jednak wystarczająco dużo ubrań. Wyprałam swoje, owinęłam się kocem i czekałam aż wyschną. Reszta mojej rodziny nie mogła tego zrobić, ponieważ było deszczowo, a ich ubrania nie wyschłyby tak szybko. Nie mieliśmy się w co ubrać.

Dzień później spotkałam się z moimi polskimi przyjaciółmi (którzy teraz są mi bliżsi niż rodzina) oraz z ich bliskimi, którzy nas odwiedzili. Kiedy zobaczyłam ich po raz pierwszy, poczułam, jakbym znała ich od lat. Nie mogliśmy spotkać się normalnie. Z powodu ograniczeń związanych z COVID-19 musieli pozostać po drugiej stronie drutów. Wszyscy byliśmy poddani kwarantannie przez dwa tygodnie. Wciąż pamiętam,

jak przyjaciółka wzięła mnie za rękę i upewniła się, że jesteśmy pod dobrą opieką. Byłam spokojna i bardzo szczęśliwa, że mogłam się z nimi zobaczyć. Dali nam niezbędne jedzenie, zabawki dla Smyrny i wiele różnych przekąsek. Najważniejsze w tym wszystkim były ubrania, które przywieźli nam wszystkim. Przyjechali z daleka; byli w drodze trzy godziny, żeby do nas dotrzeć. Pozbyliśmy się naszych starych, wojennych ciuchów i z radością nosiliśmy nowe.

Po kwarantannie Elwira zapewniła nam samochód i hotel, w którym mogliśmy się zatrzymać. Po wyjściu z ośrodka po tak długim czasie podziwialiśmy piękno natury. Wszystko wydawało się takie piękne i spokojne. Wciąż nie mogę nacieszyć się Polską. To piękny kraj, pierwszy, który zobaczyłam w Europie. Chociaż odwiedziłam liczne państwa, takie jak Chiny, Indie, Malediwy, Dubaj, Uzbekistan, Kirgistan, Pakistan i wiele innych, to nigdy nie byłam w Europie. Przyjechaliśmy do Warszawy i zamieszkaliśmy w hotelu Arche, który był bardzo piękny. Nasz pakiet obejmował wszystko, co potrzebne. W pokoju mieliśmy piękne łóżko, a gościnność właścicieli była niesamowita. Po pewnym czasie nasi przyjaciele odwiedzili nas i świetnie się z nimi bawiliśmy. Ktoś przyniósł wózek dziecięcy dla Marsa, ktoś inny ubrania dla Smyrny. Dostaliśmy również wiele zabawek, które naprawdę pomagają nam w codziennym życiu. Szukaliśmy mieszkania i sprawdzaliśmy ceny, które były naprawdę bardzo wysokie i przekraczały nasze możliwości, i zastanawialiśmy się, co zrobić. Następnego dnia spotkaliśmy się z inną fajną przyjaciółką, która miała zamiar sprzedać swoje mieszkanie, ale zatrzymała je ze względu na nas i udostępniła nam je za darmo, dopóki nie znajdziemy czegoś sami. Wiele osób zaangażowało się, żeby nam pomóc, i byli to ludzie, których nigdy wcześniej nie spotkaliśmy.

Oni wszyscy są cudem w moim życiu. Po kilku dniach przenieśliśmy się do nowego mieszkania, a wsparcie zespołu nigdy się nie skończyło; codziennie wszyscy starają się nam pomóc w kwestiach, w których potrzebujemy wsparcia. Mieliśmy okazję poznać całą rodzinę naszych polskich przyjaciół. Tworzymy tutaj nową rodzinę. Jesteśmy tu bardzo szczęśliwi.

Smyrna, z pomocą naszych przyjaciół, mogła pójść do przedszkola. Kiedy udało mi się nawiązać relacje w przedszkolu, dyrektor pomógł mi znaleźć pracę. Aktualnie pracuję w Deloitte. Tęsknię za moją pracą, poczuciem spokoju i czasem, w którym ledwo co udało mi się zdobyć pewną pozycję zawodową. Jest mi przykro i smutno, ale czuję, że ten nowy początek to nowe życie, i jestem wdzięczna Allahowi i szczęśliwa, że moje dzieci i rodzina mają się dobrze. Cieszę się, że mam pracę, że poznałam nowych przyjaciół i wspiane środowisko. Chcę również podziękować Fundacji Deloitte, mojemu przełożonemu, moim najdroższym kolegom i całemu zespołowi za pomoc w trudnych chwilach i bycie przy mnie.

FRISHTA KARGAR – ukończyła studia ekonomiczne na Uniwersytecie Centralnej Azji w Biszkeku w Kirgistanie. Pracowała w Ministerstwie Finansów Afganistanu oraz na rzecz Afghan Women Empowerment Organisation w ramach OEAC Network. Obecnie pracuje dla firmy Deloitte. Mieszka w Polsce.

GORDANA KRUTII

Dom jest tam, gdzie psy słodko śpią

*Tekst oryginalnie napisany w języku angielskim.
Tłumaczenie: Hubert Walczyński.*

Nigdy nie uważałam się za uchodźczynię czy imigrantkę. W 2014 roku niespodziewanie złożyłam podanie o stypendium w Polsce, niespodziewanie je dostałam i jeszcze bardziej niespodziewanie przeprowadziłam się tutaj. Zagmatwane? Zróbmy krok wstecz.

Nazywam się Gordana, 30 lat temu dwoje pięknych ludzi zakochało się w sobie i tak się urodziłam, w tamtych czasach moje rodzinne miasto nazywało się Żdanow*. Jestem pewna, że do niedawna nawet nie wiedziałeś o jego istnieniu. Żyłam dość ambitnym życiem, pełnym pasji do pisania własnej historii i... chęcią ucieczki z tego zanieczyszczonego, przygnębiającego miasta. Kiedy byłam na uniwersytecie, opracowałam plan mojej przyszłości, zaznaczyłam kamienie milowe i poświęcałam każdą minutę, aby wszystko się udało. Pomięłam piękne rzeczy, które robisz w wieku 18–19 lat, ale byłam coraz bliżej. Prowadziłam organizację pozarządową, byłam koordynatorką obchodów Dnia Europy, uczestniczyłam w debatach

* Obecnie Mariupol. Miasto położone we wschodniej części Ukrainy, nad Morzem Azowskim. Od maja 2022 roku okupowane przez Rosję, a 30 września 2022 roku bezprawnie anektowane przez Rosję.

dotyczących stosunków międzynarodowych, pisałam bardzo nudne artykuły o polityce zagranicznej niektórych krajów. Moim celem był staż w Radzie Najwyższej, nie miałam wątpliwości, że będę świetna, znajdę pracę i koniec. Chciałam poświęcić życie służbie mojemu krajowi. Dość nietypowe spojrzenie na historię Kopciuszka, ale pomimo mojej miłości do pięknych butów, bardziej podobała mi się idea zmieniania świata.

To był ostatni rok moich studiów licencjackich, normalnie egzaminy i pisanie pracy dyplomowej byłyby największym wyzwaniem, ale to był rok 2013. Pamiętam, jak oglądałam telewizję, kiedy zajęli nasz Krym, pamiętam jak nierealne było uświadomienie sobie, że to dopiero początek, pamiętam jak ostatni raz widziałam Donieck*. Pamiętam, jak po raz pierwszy usłyszałam drżenie okien, gdy wróg prowadził działania wojenne 20 kilometrów od mojego domu. To było to lato, kiedy staliśmy się znani jako miasto, które nie upadło, miasto, które powiedziało NIE, miasto Marii, mój Mariupol.

Niestety, spokój nigdy do nas nie wrócił. Mój pierwszy dzień studiów magisterskich zaczął się od wycieczki do schronu w piwnicy. Próbowałam żyć tym normalnym-nienormalnym życiem. Aplikowałam na staż, pojechałam na rozmowę do Kijowa. W międzyczasie razem z przyjaciółką prowadziłyśmy projekt społeczny, a przyjaciółka podczas picia kolejnej filiżanki kawy zasugerowała mi, żebym aplikowała na stypendium w Polsce. To było trzy dni przed ostatnim naborem, nigdy nie byłam w Polsce i to wszystko wydawało się żartem, ale zrobiłam to. Następne kilka tygodni zmieniło moje życie. Dostałam miejsce na stażu w Kijowie, oprócz tego ciekawą ofertę pracy w Mariupolu i stypendium na Uniwersytecie Warszawskim – czyli wszystko to, o czym marzyłam. I Polskę. Wyjazd z mojego regionu w tamtym czasie był przekleństwem, wynajęcie mieszkania w Kijowie graniczyło z cudem, a ja miałam ograniczone środki finansowe; pobyt w Mariupolu nie

* Miasto położone we wschodniej części Ukrainy, nad rzeką Kalmius. Główny ośrodek przemysłowy w Donieckim Zagłębiu Węglowym. Od 2014 roku okupowane przez prorosyjskich separatystów, a w 2022 roku nielegalnie anektowane w skład Rosji.

był przyjemnością – wojna szeptała każdego dnia. Podjęłam więc nieoczekiwaną decyzję, której nienawidziłam przez lata.

„Dlaczego dworzec autobusowy wygląda tak samo – śmierdzi okropnie beliaszami*, wygląda jak Związek Radziecki, czy nadal jestem w Ukrainie? Ok, ale może łatwo będzie się przyzwyczać do tego kraju, skoro jest tak podobny”.

W ciągu godziny odezwała się do mnie przyjaciółka, która od jakiegoś czasu była zakochana w Polsce i wybrała SGH. Cały czas mówiła o słowach, które oznaczają przeciwne rzeczy, ale brzmią tak podobnie w naszych językach, ja zaś do tego czasu nie wiedziałam nic o polskim, ponieważ decyzja o wyjeździe była pośpieszna i nieoczekiwana. Ledwo pamiętam ten dzień. Był to początek długiego weekendu, więc zaoferowano mi pokój gościnny w akademiku, co oczywiście nie było najwygodniejszym rozwiązaniem i oznaczało kilka dni w izolacji.

Następnego dnia moja przyjaciółka odebrała mnie, abyśmy sprawdziły moją drogę do BUW-u, w którym miałam zajęcia z języka polskiego. Minęłyśmy Stadion Narodowy i serce przestało mi bić – policja, liczne radiowozy, helikoptery, jakieś strzały... Zgadliście co to był za dzień? 11 listopada. Poza Ukrainą wiedziałam, jak świętują dzień niepodległości w Ameryce. Byłam arogancka lub głupia – nie sprawdziłam, czy w Polsce jest inaczej niż w Ukrainie. Dla mnie święto niepodległości zawsze kojarzyło się z radością – licznymi koncertami, ludźmi spacerującymi po miastach z rodzinami, piknikami i fajerwerkami. Wzięłam głęboki oddech: „to tymczasowe, wkrótce dojdą do pokojowego porozumienia i wrócę do domu, to przygoda, nic więcej”.

Te lata były trudne, starałam się zrozumieć język, mówić, znaleźć przyjaciół, czuć się komfortowo. „To tymczasowe”. Tak bardzo nienawidziłam Warszawy! Wyglądała tak szaro, tak nudno i tak bardzo tęskniłam za moim morzem. Teraz, po latach, mogę powiedzieć, że nie kochamy lub nienawidzimy miejsc, ale kochamy lub nienawidzimy siebie w tych miejscach.

* Smażone pierożki z ciasta drożdżowego nadziewane mięsnym farszem.

Byłam naprawdę nieszczęśliwa, czułam się źle. Wciąż zastanawiam się, jak to się stało, że zostałam jeszcze przez rok. W skrócie – po prostu nie mogłam wymyślić, od czego zacząć, kiedy wrócę. Ukraina zmieniała się tak bardzo po Euro-majdanie, ale nie byłam pewna, czy nadążę za tymi zmianami wystarczająco szybko. Poza tym, jak mówią, fajnie jest mieć jakieś europejskie doświadczenie zawodowe. Mój angielski pozwolił mi rozpocząć pracę jako doradca klienta we Wrocławiu. Praca nie wymagała języka polskiego, mogłam pozostać w mojej „słowiańskiej społeczności”, więc czułam się jeszcze bardziej oderwana od kraju, w którym mieszkałam.

Szybko zrozumiałam, że rezygnacja z ambicji na rzecz posiadania pracy, której nienawidzę – jest nie dla mnie. Znowu więc złożyłam podanie i dostałam stypendium – Uniwersytet Warszawski, Studium Europy Wschodniej. Po raz pierwszy rozumiałam, że świetny angielski nie wystarczy, aby rządzić światem, i gdzieś w głębi czułam, że to poczucie nie jest przejściowe. Na studiach po polsku rozumiałam temat, ale nie znałam słów, które pozwoliłyby mi się swobodnie wypowiedzieć. Pozostawałam w izolacji – nie można pokazać swojej tożsamości poprzez żarty, ironię – wszystko to, co było dla mnie tak istotne. Czułam się nieszczęśliwa każdego dnia. Miałam przyjaciół z Ukrainy, Białorusi, Gruzji itd, ale potrzebowałam o wiele więcej. Każdy lubi ten znany z filmów moment magicznej przemiany – z bestii w piękność, z przegrywa w fajną osobę. Dla mnie przyszedł on dokładnie wtedy.

Pracę w recepcji dostałam później, kiedy już większość moich przyjaciół była Polakami. Początki nie były łatwe, każdy chciał poinformować mnie o sprzętaczce z Ukrainy, którą zatrudnia. „Och, jesteś z Ukrainy, tak samo jak moja sprzętaczka, jest niesamowita”. Jak na ironię, wtedy po raz pierwszy powiedziałam: „kocham cię, Polsko”. Zwrot akcji wynikał oczywiście z problemów z legalizacją pobytu. Płakałam tak mocno, ponieważ zdałam sobie sprawę, że większość moich przyjaciół to Polacy, że bardziej lubię polską biurokrację niż ukraiński chaos, że ekscytuję się 24 grudnia, a nie 7 stycznia, że wiem, jak być dorosłą tutaj, w Polsce, ale nie mam nawet pojęcia, od czego zacząć szukanie pracy w Ukrainie. To było

takie niesprawiedliwe – móc w końcu przyznać, że nie muszę już uciekać, że chcę być w tym bezpiecznym miejscu, że włożyłam tyle wysiłku, aby nie tyle dopasować się, ale stać się częścią tego miejsca – ale że ostatecznie wszystko to można zlekceważyć, że można mnie odesłać jako przedmiot, który się nie podoba, zwrócić mnie sprzedawcy. Że jesteś tu tylko gościem, który może zostać na jakiś czas.

Jak już mówiłam, nie uważałam się za uchodźczynię przez długi, bardzo długi czas. To słowo brzmi jak diagnoza raka, a kto by tego chciał? Nieakceptowanie tej nazwy pozwalało mi myśleć, że bycie tutaj jest moją własną decyzją, że mam kontrolę nad sytuacją, że nie potrzebuję specjalnego traktowania, ponieważ nie jestem zepsutym przedmiotem.

Potem wydarzył się rok 2022. Naprawdę kiedyś sprzedabym duszę, aby móc powiedzieć ludziom, że Mariupol to miasto, które znajduje się... ale teraz wszyscy je znają, wszyscy wiedzą, jak kiedyś wyglądało.

Od 13 maja 2022 roku moja mama, moje dwa piękne psy, kolekcja radzieckiego szkła i zastawy stołowej są tutaj, w Warszawie. Teraz zdaję sobie sprawę, że decyzja o tym, aby budować nasze życie tutaj, nigdy nie była nasza. Miałam przyjechać do Polski wcześniej, żeby mieć środki na ewakuację mamy z piekła.

Wtulam ją w koc własnych doświadczeń, nie chcę, by czuła się jak uchodźca. Kiedy jesteś zmuszony do ucieczki od życia, które kochałeś, można to porównać do utraty kontroli po doświadczeniu gwałtu. Nie czujesz się właścicielem swojej wolności, swojego życia, nie możesz odzyskać poczucia bezpieczeństwa. Tak właśnie się czułam. Czułam to dwa razy – w 2014 i 2022 roku – Rosjanie przejęli wtedy kontrolę nad moim życiem. Ale nie pozwolę mojej mamie poczuć tego bólu. Pokazuję jej mój dom – parki, które tak bardzo kocham; kiedy wyprowadzamy nasze psy na spacer, opowiadam jej historię o dzielnicy, w której mieszkamy (Pradze); w każde wakacje kupuję tradycyjne jedzenie i opowiadam o nim; chętnie dzielę się każdą głupią historią o Warszawie, o Polsce, dosłownie o wszystkim. Ona zмага się z językiem tak samo jak ja. Ale nie naciskam, chcę, żeby zakochała się w Polsce tak jak

ja, chcę, żeby była chętna do nauki nie dlatego, że musi, ale żeby czuła, że naprawdę tego chce.

Często jej powtarzam, że teraz jesteśmy w domu. Ona też zaczyna w to wierzyć, bo dom jest tam, gdzie psy słodko śpią.

GORDANA KRUTII – urodziła się w 1993 roku w Mariupolu, od 2014 buduje swoje życie w Polsce. Pracuje na stanowisku menedżerki projektu, jest magistrami relacji międzynarodowych i szczęśliwą posiadaczką dwóch psów.

MARYSIA WOŁCHYHOR

Mlecz, skorupa, jagoda

Tekst oryginalnie napisany w języku białoruskim.

Praca nadesłana pod pseudonimem.

Tłumaczenie: Anastasiya Saiko.

Dwudziestego czwartego, kiedy wszystko się zmieniło, rosły mlecze. Poczerniały przez zimę, chyliły się ku rzadkim o tej porze brudnym płatom śniegu. Wzdłuż łądyg charty przeczesywały gęstą trawę swoimi postrzępionymi zębami przypominającymi grzebienie. A zające, z sercami bijącymi jak reaktory, uciekały przed nimi jak pchły z włosów.

Ten sen widziałam każdej nocy, aż pewnego razu obudziłam się od dźwięku odległych wybuchów.

5:40

Napisałam mamie: „Nie martw się, żyjemy” i dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że to może być prawdopodobnie najgorsze zdanie, jeśli chcesz kogoś uspokoić. „Mamy wojnę”. Mamy – to znaczy w Ukrainie, w Kijowie, tam gdzie Dniepr jest szeroki i rwący. A moja matka jest jeden dzień drogi na północ ode mnie, po drugiej stronie Dniepru, tam, gdzie jako dzieci z łatwością pływaliśmy po rzece i musieliśmy uważać, aby nie zranić nóg w chaszczach. Moja matka jest tam, skąd nadleciały rakiety.

Rozmawiałam z nią i chciałam wymiotować z przerażenia. Zapytała o coś jeszcze, a ja nie mogłam odpowiedzieć.

Otworzyłam tylko usta i prawie je wykręciłam na lewą stronę jak gumową rękawiczkę przyklejoną do dłoni. Siedziałam na podłodze. Wszyscy siedzieliśmy na podłodze. Opadaliśmy na ziemię, szukając ukojenia od zmęczenia i szoku (ci, którzy nie słyszeli pierwszych eksplozji i spali do 7:00, mieli szczęście). Wewnętrznie się wahałam, podejmując ważne decyzje: zostać czy wyjechać, razem czy osobno, na zachód czy na wschód. Otworzyliśmy wszystkie okna i słuchaliśmy syren. Wzywały nas jak ich mityczne siostry.

16:00

Nie mogłam dłużej czekać, spakowałam walizkę i wyjechałam. 600 kilometrów od drzwi mieszkania do polskiej granicy. Kierowca taksówki powiedział: „50 na 50, że dojedziemy żywi. Zgadza się?”. Zgodziliśmy się.

18:40

W samochodzie było nas pięcioro. Za kierownicą Wowa z Ługańska, obok niego jego młodszy brat – Piotr, który właśnie skończył 18 lat – już nie wyjedzie. Z tyłu trzech Białorusinów.

– Dobrze, że zdążyliście na czas. Mówią, że w nocy w Kijowie będzie piekło. Widzicie jaka kolejka na stacji? Co zrobić, poczekamy. Cholera wie, gdzie wziąć paliwo dalej. Teraz dawajcie pieniądze.

– A potem nas nie wyrzucicie na polu?

Wowa się uśmiechnął.

– Dobrze, zalejemy połowę baku. A drugą połowę, jak dojedziemy.

Ruszyliśmy w kierunku Żytomierza. W samochodzie jest ciepło i przytulnie jak w bezpiecznej skorupie.

– Co to za czerwony kolor, o tam?

Na mapie nad nami – Hostomel*, Bucza** i Irpień***. Ale jeszcze nie znamy tych nazw.

– Na trasie utworzył się korek. Wszystko stoi.

* Miasto położone na północ od Kijowa, z lotniskiem. O Hostomel toczyły się walki w początkowej fazie rosyjskiej agresji na Ukrainę w 2022 roku. Miasto zostało zajęte przez Rosjan, a potem odbite przez Ukraińców.

19:10

Dołączamy do ogona długiego czerwonoookiego węża i szybko zostajemy otoczeni innymi samochodami ze wszystkich stron. Coś wybucha bardzo blisko.

– Jego mać! Było głośno!

Najważniejsze to nie opuszczać tego małego ruchomego schronienia. Patrzę na światła przed samochodem i nie mogę oderwać wzroku, a kiedy decyduję się sprawdzić telefon, zdaję sobie sprawę, że minęły już dwie godziny.

21:00

Kończą się barierki, otwierając drogę na przeciwległe pasy.

– Zapnij pasy, pojedziemy teraz pod prąd. W przeciwnym razie zginiemy, stojąc tutaj – rześko obwieszcza Wowa i dynamicznie skręca w lewo. Najważniejsze, aby się poruszać. Od czasu do czasu mijają nas szybkie ciężarówki w zielonym kamuflażu. Wtedy Wowa delikatnie skręca. Z zarośli wyłania się czołg. Jego lufa nie jest zwrócona w stronę Kijowa, co wydaje mi się dziwne. Czyżby czekali na coś stamtąd? Tu i ówdzie, wzdłuż drogi, leżą spalone wraki samochodów – skorupy żółwi. Niektórzy nigdy nie dotarli do bezpieczniejszego miejsca. Piotr patrzy na kolejne wraki samochodów i nagle podskakuje, zauważając ciało.

– Tam jest człowiek! Musimy się zatrzymać, coś zrobić!

– Nie-nie-nie! Jedziemy dalej!

Czy to był mój głos? To tak, jakby radio uległo awarii i wypowiedziało coś, czego nigdy nie spodziewałam się usłyszeć. Spoglądam w tym samym kierunku co Piotr, ale nic nie widzę.

Przez długi czas jedziemy w milczeniu.

** Miasto położone na północno-zachodnich obrzeżach Kijowa. Podczas rosyjskiej inwazji na Ukrainę w lutym i marcu 2022 roku żołnierze Sił Zbrojnych Federacji Rosyjskiej dokonali zbrodni na ludności cywilnej Buczy, mordując ponad 400 osób.

*** Miasto położone na północny zachód do Kijowa. Podczas rosyjskiej inwazji na Ukrainę w lutym i marcu 2022 roku o Irpień toczyły się zaciekle walki między wojskami rosyjskimi a ukraińskimi. Ostatecznie miasto zostało wyzwolone przez siły ukraińskie 28 marca 2022 roku. Podczas okupacji miejscowości przez Siły Zbrojne Federacji Rosyjskiej żołnierze rosyjscy dopuścili się licznych zbrodni wojennych na miejscowej ludności cywilnej.

1:30

– W Równem* ma miejsce nalot.

– Czyli pojedziemy przez Chmielnicki**.

– Aha...

– W pobliżu znajduje się również Iwano-Frankiwnsk***. Byliście tam kiedyś?

– Nie.

– Gdybyśmy mieli czas, zrobilibyśmy mały objazd, mógłbym wam wszystko pokazać. Tam jest tak pięknie, o matko, zupełnie inaczej... Moja żona stamtąd pochodzi.

Nikt nie odpowiada Wowie.

– Cóż, spróbujcie się przespać.

Boję się spać. Boję się umrzeć we śnie. Nie mam odwagi nawet mrugnąć, żeby niczego nie przegapić. Boję się nie zareagować, nie wyskoczyć z samochodu, gdy będzie to konieczne, aby nie wpaść do zamrożonego rowu, nie krzyknąć. Boję się, że nic nie zrozumie. Jesteśmy już na zachodzie Ukrainy. Nie potrafię odróżnić rakiety od dźwięku silnika. A jednak obserwuję każde źródło światła na horyzoncie. Po co mi ta cała wiedza?

Za oknem nie widać ani jednej gwiazdy. Jakbyśmy byli po-grażeni w naftowej brei. Tylko biała linia na drodze oddziela-jąca pasy ruchu, nawijająca się na nasze lewe koła jak szpula, wskazuje, że wciąż się poruszamy.

5:50

W szkole uczyli nas: włóż szpulkę do jej czółenka, przeciągnij nitkę przez szczelinę i przez oczko igły, włóż czółenka do środka maszyny do szycia, przeciągnij nitkę przez igłę od strony długiego rowka. Dobrze. Teraz delikatnie naciśnij pedał...

Biała linia zaczyna zwiijać się między kołami, aż całkowicie zniknie. Nić pęka.

– Wowa, hamuj – krzyczy młodszy brat. Cholera, czy ty zasnąłeś?

– Wszystko w porządku.

* Miasto położone w zachodniej części Ukrainy.

** Miasto położone w zachodniej części Ukrainy, nad rzeką Boh.

*** Miasto położone w zachodniej części Ukrainy, na przedgórzu Karpat.

– Pozwól mi prowadzić.

– Ja cię zaraz poprowadzę! Co obiecałeś ciotce? Że to ja będę prowadził. A ty jesteś tu, żeby opowiadać mi historie. No dalej, powiedz coś, żebym nie zasnął.

Piotr przytakuje.

– Kiedy dojedziemy do stacji benzynowej, napijemy się kawy. I tak całą noc za kółkiem. Niedługo zacznie się robić jasno – Wowa odwraca się do nas – Chcecie coś do jedzenia?

Myśli o jedzeniu sprawiają, że chce mi się wymiotować.

– Nie, dziękuję.

– Może skorzystać z toalety?

– Nie.

– No cóż.

7:00

Kiedy się zatrzymaliśmy, słońce już wschodziło i cała stacja benzynowa była skąpana w jego miękkich, czerwonych promieniach. Ludzie wysiadali z samochodów i rozciągali się, rozluźniając plecy i nogi. Do Lwowa pozostało jakieś pół godziny.

Niedaleko przeszła kobieta, której drobne kroki przypominały mi moją matkę. Kiedy byłam mała, jeździliśmy z nią na czernihowski* targ po tanie ubrania. Wyruszyliśmy w nocy – wtedy udawało nam się przejechać przez połowę obwodu homelskiego i przekroczyć granicę przed świtem. Spałam na tylnych siedzeniach, wyciągnięta na całej długości, dopóki Straż Graniczna nie budziła mnie, by sprawdzić zdjęcia w moim dokumencie. Po ukraińskiej stronie zatrzymywałyśmy się na najbliższej stacji benzynowej, a mama pozwalała mi wypić pół kubka słodkiej, mlecznej kawy ze swojego termosu, ponieważ czekał nas długi dzień.

– To co, jedziemy? – Wowa podał bratu gorący kubek i, nie czekając na odpowiedź, uruchomił silnik.

Nie jechaliśmy długo. Byliśmy zaledwie około piętnastu kilometrów od granicy, kiedy nasz samochód zatrzymał się ponownie, stając na końcu długiego korka. Wowa wysiadł, aby zapytać o coś kierowców przed nami, i wkrótce wrócił.

* Miasto położone w północno-wschodniej części Ukrainy, nad rzeką Desną.

– Wszystko stoi w miejscu. W ciągu ostatnich trzech godzin przesunęliśmy się o metr. Wybacz mi, ale nie pojedę dalej. Kolejne dwa dni stania tutaj? Dlaczego? Nie, nie mogę tego zrobić. Musimy zawrócić do Lwowa i trochę odpocząć.

Wymieniliśmy spojrzenia.

– W porządku, nic nie szkodzi! – powiedział któryś z moich towarzyszy podróży (ja nigdy bym tego nie powiedziała), a to zadanie stało się wyzwaniem dla wszystkich pozostałych.

Uregulowaliśmy rachunek i wysiedliśmy z samochodu, wcześniej zakładając ciepłe ubrania.

– Do widzenia!

8:20

Moja bezpieczna skorupa pękła i się roztrzaskała. Idę dalej. Piętnaście kilometrów do granicy. Kto tak powiedział? Czy można przejść piętnaście kilometrów w jeden dzień? Idę z moją walizką za rękę. Próbuję sobie przypomnieć, co wczoraj do niej włożyłam, ale nie mogę. Cokolwiek to jest, jest teraz moim spadkiem.

12:10

Przez godziny patrzę na te same plecy. Mogę patrzeć tylko w przód i pod nogi, jakby przez lunetę, więc mam czas, aby dokładnie nauczyć się tych pleców. Czasami wyprzedzam je i sama zamieniam się w plecy, na które one patrzą z takim samym uporem. Dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że nie ma wśród nas mężczyzn. Kobiety idą z matkami i teściowymi. Matka trzyma za rękę małą dziewczynkę. Starsza pani ciągnie wielką torbę, użalając się nad swoim nastoletnim wnukiem. Starsze dzieci wydają się jeszcze bardziej oszołomione niż te młodsze. Wszyscy wyglądają na bardzo skupionych, nikt nic nie mówi. Słyszać tylko ciche, ciągłe dudnienie. Niebo zasnuwane jest chmurami, a ja nie mogę oprzeć się wrażeniu, że nad nami leci niewidzialny samolot. Czy minęło już tyle godzin? Nie martw się, to tylko stukot kół na asfalcie. Zrozumiem to dopiero później, gdy znajdę się w bezpiecznym miejscu i porównam ten dźwięk z odgłosem toczących się walizek turystów odbijających się echem na brukowanych ulicach Gdańska.

17:50

Zaczęło się ściemniać, kiedy znów musieliśmy się zatrzymać. Plecy przypadkowych współtowarzyszy podróży zwały się w jedną ogromną masę, która zablokowała drogę do wysokiego ogrodzenia granicznego. Jak zabawki z klocków Lego, wszyscy zamieniliśmy się tutaj w jeden zestaw o nazwie – „emigrant”. Minęło kilka miesięcy, odkąd musiałam opuścić swój kraj*, ale dopiero teraz poczułam, że to słowo odnosi się również do mnie.

19:00

Staliśmy. W tłumie pod płótem było znacznie więcej mężczyzn niż wcześniej. Ich opalone, południowe twarze nie wyrażały niczego. Zamiast walizek ciągnęli swoje przypadkowo spakowane bogactwa w jaskrawych, kubicznych** plecakach z logo dostawcy jedzenia. Mężczyźni głośno rozmawiali i przepychali się, próbując szturmować granicę. Kobiety cofnęły się i mocniej trzymały swoje dzieci za ręce. Próbowałam przeć naprzód, nie puszczając walizki, ale nie udało mi się to i tylko bardziej ugrzęzłam w tłumie.

21:30

Zza ogrodzenia wyszedł kordon strażników: „kobiety z niemowlętami mają stworzyć osobną kolejkę” – zdecydowali. Tłum rzucił się w stronę bramy, chcąc się przez nią prześlizgnąć. Rozległy się strzały. Wybuchła panika, ludzie zaczęli się cofać, a ja razem z nimi. Krążyła plotka, że ktoś został stratowany. Trzymałam się swojej walizki jak koła ratunkowego i przypominałam sobie opowieści rodziców o tłumie na stacji metra Niamiha w Mińsku w 1999 roku***. Ten strażnik graniczny był w tym samym wieku, co pięćdziesiąt trzy osoby,

* Chodzi o Białoruś.

** Mający kształt sześcianu, prostopadłościanu lub innej prostej bryły geometrycznej.

*** Tragedia na stacji metra Niamiha – 30 maja 1999 roku, podczas piwnego święta w Mińsku, młodzież słuchająca koncertu rockowego na wolnym powietrzu (nieдалеко Pałacu Sportu) próbowała schronić się w podziemnej stacji metra Niamiha przed burzą. W tłumie wybuchła panika, w wyniku stratowania zginęły 53 osoby.

które zginęły wtedy w wąskim przejściu podziemnym. Nastolatki – większość z nich nie miała nawet dwudziestu lat.

Przestraszony tłum cofnął mnie o jakieś dwadzieścia metrów od miejsca, w którym stałam wcześniej – czyli o tyle, o ile przesunęłam się przez poprzednie trzy godziny.

0:00

Rozpoczął się trzeci dzień wojny i trzeci dzień mojej ucieczki. Trzeci dzień bez snu i jedzenia, które moje ciało odrzuciło jako niepotrzebne do przetrwania. W plecaku trzymałam małą butelkę wody, zmuszając się do picia co najmniej łyka co godzinę. Tak odmierzałam czas.

1:00

2:10

3...

Brak snu zamienił wszystko w dziwną halucynację. Stałam otoczona ludźmi, opierając się o swoje rzeczy, i żałowałam, że nie mam kolan jak koń, na których mogłabym się oprzeć. W moich błędzących w tłumie myślach wydawało mi się, że wszyscy stoimy na świeżo zaoranym polu. Może jednak spałam w tym momencie?

7:00

O świcie Straż Graniczna zmieniła wartę i bramy zostały ponownie otwarte.

„Kobiety i dzieci! Cofnąć się! Powiedziałem, tylko kobiety i dzieci!”

Tłum znów ruszył, bezwładnie i uporczywie. Po kilku minutach znalazłam się w pobliżu upragnionej bramy. Krucha, z zardzewiałymi zawiasami, wydawała się prawdziwymi wrotami do raj, pozwoleniem na życie dla wybranych. Obok, na drucie kolczastym, porzucone brudne zimowe kurtki – ktoś przechodził w nocy.

7:10

Nieznana kobieta pociągnęła mnie za rękaw, być może myśląc mnie z kimś innym, i zostałyśmy razem wyrzucone na

drugą stronę ogrodzenia. Zamiast w raj, znalazłyśmy się jakby w długim jelicie, otoczonym drutem i wypełnionym ludźmi. Aby dostać się do innej kolejki, musiałam przejść przez zniszczone walizki, brudne pieluchy i butelki z moczem. Bramka za mną zamknęła się.

Niektórzy mężczyźni, ignorując Straż Graniczną, również zdołali włamać się na drugą stronę ogrodzenia Teraz w środku było prawie tyle samo mężczyzn, co kobiet z dziećmi. Inni mężczyźni nie zrezygnowali z próby sforsowania bramy i przedostania się na tę stronę. Rozległ się kolejny strzał. Tym razem nikt się nie cofnął.

Jak jeden strażnik graniczny może pokonać tysiąc ludzi uciekających przed wojną, być może nie pierwszy raz? A jeśli się tu przedrą? Zacznie się najazd, będą przyciskać kobiety do drutu kolczastego i nawet nie zauważą śpiących dzieci pod stopami. Przeniosłam się do odległego kąta, jak najdalej od bramy, która teraz wydawała się być źródłem niebezpieczeństwa, i tam czekałam.

8:00

Z tłumu wystąpiła wysoka, szczupła kobieta i głośno zwróciła się do ludzi, wzywając ich do ponownego uformowania szeregu i nieprzepychania się. Wkrótce podeszła do niej bardzo młoda dziewczyna, która trzymała się za brzuch, i zapytała ją o coś.

– Niech pani idzie do przodu. Tylko nie za daleko, bo tam panią zmiądzą – ostrzegła chuda kobieta – Przepuście, proszę, kobietę w ciąży.

Do kobiety, która pomogła kobiecie w ciąży, zaczęły podchodzić kolejne osoby. Niektórzy, by pomóc, inni, by prosić o pomoc. Szybko trzy kobiety z przodu kolejki utworzyły zaimprowizowany komitet organizacyjny.

9:20

Obok nich, prędko posuwając się naprzód, przeszedł mały mężczyzna. „Szefowa komitetu”, ta chuda kobieta, próbowała go zatrzymać i grzecznie poprosiła go łamaną angielszczyzną, aby przeszedł na koniec kolejki i przepuścił kobiety

z małymi dziećmi. Mężczyzna zachowywał się tak, jakby jej nie słyszał, ale kiedy kobieta ponownie stanęła przed nim, nagle, ale jakby trochę niepewnie, uderzył ją w skroń. Chuda kobieta upadła na ziemię, zakrywając twarz rękami. Inne kobiety rzuciły się jej na pomoc, a mężczyzna szybko zniknął w tłumie.

Nigdy wcześniej nie byłam świadkiem przemocy z tak bliska. Nie rozumiejąc niczego w tym momencie, mój mózg zarejestrował to jak klip wideo i potem odtwarzał mi go raz za razem. Czy ta kobieta stanęłaby mu na drodze, gdyby wiedziała, co się za chwilę stanie? I kto stanąłby w jej obronie w tym korytarzu?

Pomimo tego incydentu, dwie równoległe kolejki zostały w końcu uporządkowane i poruszały się powoli, choć nikt nie wiedział, dokąd prowadzą. Ich początek był ukryty za dwiema wysokimi, rozłożystymi jodłami.

14:30

Stopniowo posuwając się naprzód, okrążyliśmy drzewa i w końcu zobaczyłam mały parterowy budynek, szopę, punkt kontrolny. Czasami pochłaniał jedną lub dwie kobiety z torbami z przodu kolejki, a z sąsiednich drzwi wychodzili mężczyźni w cywilnych ubraniach. Nie od razu zrozumiałam, skąd się wzięli. Nie było ich wśród naszego tłumu. Mężczyźni nieśli duże torby z dobytkiem i prowiantem. Kiedy czekałyśmy w naszej kolejce, aby opuścić Ukrainę, oni wracali z zagranicy, aby udać się na front.

Jeden z mężczyzn przeszedł obok mnie za ogrodzenie, ale potem wrócił z kilkoma paczkami pieluch, wodą i jedzeniem dla niemowląt.

– Proszę, niech pani to rozda – powiedział krótko i zaczął przekazywać przedmioty na naszą stronę.

Wręczyłam słoik z jedzeniem kobiecie z małym synkiem stojącej nieopodal i zapytałam, czy jest tu toaleta.

– Chyba trzeba przejść z powrotem za bramę, tam mają jakieś schronisko z WC na parterze. Ale czy potem pozwolą ci wrócić, tego nie wiem.

Przypomniałam sobie okropne wrota, z których niecierpliwy szum i krzyki wciąż odbijały się echem, i pozostałam na miejscu.

– Chcesz sikać? No to śmiało.

– Tutaj?

– Tak, osłonię cię, nie ma się czym martwić.

Kobieta zdjęła szalik i osłoniła mnie od tłumu na wysokości pasa. Nerwowo ściągnęłam dzinsy i zimowe rajstopy, przykucnęłam plecami do płotu, pokazując tyłek całej polskiej stronie, i długo sikałam, starając się nie podnosić oczu.

– No i proszę, inaczej byś cierpiała. Nigdy nie należy bać się trudów, później będzie tylko gorzej. Skąd jesteś?

– Z Białorusi.

16:00

Kolejka ruszyła i szybko dotarliśmy na jej czoło. Przed nami zostały trzy lub cztery osoby, gdy z budynku punktu kontrolnego usłyszałyśmy donośne krzyki. Męski głos domagał się czegoś stanowczo, a kobieta odpowiadała krzykami. Stopniowo dołączały do nich inne głosy, ale trudno było rozróżnić słowa.

– Dobry Boże, co się tam dzieje?

Jeszcze nie znałam odpowiedzi na to pytanie.

Czasami konflikt się uspokajał, ale potem wybuchał jeszcze mocniej. Minęła godzina, potem kolejna, a dźwięki zmieniły się w odgłosy awantury i tłuczonego szkła. Drzwi huknęły, coś ciężkiego spadło na podłogę. Strażnicy graniczni z bronią ostrożnie weszli do budynku, ale wkrótce wyszli, wyglądając na zdezorientowanych. Za nimi wyszedł mężczyzna w mundurze, krzyknął do tłumu, aby ten cofnął się o trzy kroki. Następnie zaczął rozwijać taśmę między metalowymi słupami, odgradzając ludzi od wejścia. Ci, którzy stali bliżej, pytali, co się stało i kiedy zaczną przepuszczać ludzi, ale mężczyzna w milczeniu kontynuował swoją pracę. Napięcie trwało godzinę, potem kolejną, aż w końcu samo opadło. Godzinę później drzwi punktu kontrolnego ponownie się otworzyły.

20:00

Nieśmiało weszłam do budynku wraz z kilkoma innymi osobami. W środku było ciemno, połowa lamp nie działała. Pracownicy siedzieli w kabinach wyłożonych białymi plastikowymi panelami, jakby nic się nie stało. Jedno okno było zasłonięte arkuszem sklejki. W rogu, spiętrzone razem, stały biurka. Na jednym z nich, z nogami w górze, leżała ciemnoskóra kobieta. Spod rozpiętej granatowej kurtki wystawał duży brzuch. Czy miała jakiś związek z zamieszaniami, które miało tu miejsce? Dwie kobiety w mundurach stanęły obok niej, szybko podpierając jej plecy i delikatnie naciskając na brzuch, jakby chciały wycisnąć twardą, niedojrzałą jagodę. Migrantka rodziła tutaj, zaledwie dwieście metrów od granicy z Unią Europejską, ale tego procesu nie dało się już zatrzymać.

Łzy napłynęły mi do oczu. Przypomniałam sobie dom moich rodziców, w którym pośród dużego ogrodu rósł jeden krzak jagody, z którego tylko ja zrywałam i zjadałam owoce garściami. Uwielbiałam ten słodko-gorzki smak mojej dziecięcej samotności. Zrywając jagody – jedna po drugiej, przyglądałam się ich niebieskawo-czarnym skórkom, po czym wrzucałam je wszystkie naraz do ust. Zastanawiam się, czy ten krzak wciąż rośnie w tym samym miejscu.

– Ruszać się! Nie widzisz, że dzieje się tu dramat – strażnik machnął ręką, kierując mnie w stronę okienka kontroli dokumentów.

Podeszłam do białej plastikowej budki i podałam paszport przez szczelinę. Zmęczona kobieta podniosła wzrok znad biurka i spojrzała na mnie. Na jej twarzy pojawił się dziwny, krzywy uśmiech, jakby bolały ją zęby.

– Czy pani nie pomyliła granicy? – zapytała, rzucając mi krótkie spojrzenie.

Nie odpowiedziałam. Przerzuciła strony, podbiła pieczętkę i w milczeniu oddała mi paszport.

20:10

Odebrałam swoje dokumenty i wyszłam z budynku z drugiej strony.

Czym różni się świat po obu stronach ogrodzenia? Nie wiem. Ale ostatnio kupiłam pudełko jagód w lokalnym supermarkecie i okazało się, że tutaj są słodkie. Wyglądają tak samo, są niebiesko-czarne, ale smakują prawie jak borówki. I teraz, z jakiegoś powodu, nie chcę już ich jeść garściami.

OLENA MYTROKHINA

Po „następnym dniu”

*Tekst oryginalnie napisany w języku angielskim.
Tłumaczenie: Paulina Olivier.*

Droga czytelniczko, drogi czytelniku! Jestem bardzo wdzięczna za uwagę, jaką poświęcasz zarówno tej historii, jak i historiom innych uchodźców. Nie wyobrażasz sobie, jak ważna jest Twoja chęć poznania doświadczeń życiowych osoby, której nie znasz, oddalonej od Ciebie o tysiące kilometrów, kiedy zamiast tego mógłbyś/mogłabyś po prostu oglądać filmy lub wyjść z przyjaciółmi i dobrze się bawić. Twoja uwaga jest bezcenna. Dziękuję i mam nadzieję, że będziesz zadowolony_a z lektury.

Rozdział I: środa

23 lutego 2022, środa

Od dziecka nie lubiłam śród... Możliwe, że niektórzy z Was mnie zrozumieją, inni z kolei się ze mną nie zgodzą. Dla mnie to było po prostu uczucie: „uch... znowu środa... lepiej niż poniedziałek, ale wciąż nie jest to sobota albo przynajmniej piątek”. Jednak ta środa była zdecydowanie wyjątkowa. Moja mama miała urodziny, a ponieważ ja jak zwykle byłam bardzo

zajęta pracą, zdecydowałyśmy, że przełożenie świętowania na następny dzień nie będzie problemem. Zmęczona, a jednocześnie podekscytowana, że w końcu będę miała trochę wolnego czasu i uroczystą, rodzinną kolację, zamykam laptopa. „Jutro nie ma pracy, jeeeej!”. Mówię „dobranoc” мамie, sprawdzam, czy kot ma jedzenie i wodę, przytulam go i kładę się spać. Następnego dnia mam wiele rzeczy do zrobienia.

Rozdział 2: następnego dnia

24 lutego 2022, czwartek

4:00

Charków*, piękne, wielokulturowe miasto, w którym się urodziłam i mieszkałam prawie całe życie, śpi pod śnieżnym kocem. Światła są wyłączone, nawet te w centrum miasta, a większość mieszkańców śpi. Wyjątkiem są ci, którzy wciąż oglądają świąteczne filmy, mimo że jest już luty. Mam przed sobą jeszcze chwilę snu, kiedy, nagle z niego wyrwana, myślę: „co to, do diabła, za dźwięk mnie budzi? Czy ja śnię? Dlaczego mój typowy dla ukraińskiej zimy widok z okna: łagodny, śnieżny i spokojny, nagle się zmienia?”. Gdzieś w oddali, jakieś sześć-siedem kilometrów od naszego domu, niebo przecinają pomarańczowożółtawe błyski, jakby magowie z książek o Harrym Potterze toczyli pojedynek. Szybko orientuję się, że to niemożliwe: „obudź się, przecież nie ma żadnych magów!”. To nie powinno tak wyglądać, z tymi dziwnymi błyskami (na niebie) i dźwiękami głośniejszymi niż burza. Oto i jest... „następny dzień”, na który tak się cieszyłam...

4:37

Mimo że dosłownie trzęsę się ze stresu i mam przecucie, które już mnie nie opuści, próbuję się zorganizować.

* Metropolia w północno-wschodniej Ukrainie. Zaatakowana już podczas inwazji rosyjskiej w 2014 roku. W 2022 roku miasto to było jednym ze strategicznych celów rosyjskiego wojska, do czasu wypchnięcia rosyjskich sił w tym rejonie na granicę rosyjsko-ukraińską. Od tamtego czasu jest obiektem nieregularnych ataków raketowych i bombardowań.

„Rozpoczęła się wojna, Ukraina jest atakowana” – słyszę we wszystkich serwisach informacyjnych, a wszyscy moi koledzy i przyjaciele pytają: „Co? To nie jest jakiś niecny żart? Ludzie, których uważaliśmy za naszych «braci i siostry», atakują nas?”. „Ludzie, dajcie spokój, odpowiadam, jest 2022 rok, to nie może być prawdziwa wojna – skończy się najpóźniej do końca dnia, który tak naprawdę nawet się jeszcze na dobre nie zaczął. Po prostu chodźmy spać, obudzimy się później i zobaczycie, że miałam rację, to będzie tylko nasz zły sen”.

8:00

Dźwięk budzika. Ale nie było już kogo budzić – nie śpię od czwartej rano, ale o dziwo nie biegam po domu w panice, tylko leżę, wpatrując się w sufit i zatapiając w myślach. Dziesiątki, może setki myśli przebiegających przez głowę. Czy zdjęcia i filmy zniszczonych budynków i rannych, czy co gorsza martwych ludzi są prawdziwe? Czy to nie jest tylko jakiś podły żart? Mózg po prostu nie chce w to uwierzyć. Co ludzie pakują do uchodźczej walizki? Czy taksówki działają? Jak dostaniemy się na stację kolejową, żeby gdzieś uciec? Dokąd właściwie możemy uciec? Może powinnam czytać wiadomości, żeby być na bieżąco? A może lepiej jest po prostu być wdzięcznym, że w mojej dzielnicy jest cicho i nie ma żadnych oznak aktywności wojska? Jak pójdziemy dziś na rodzinny obiad? Muszę się uspokoić, znaleźć sobie jakieś zajęcie. Zaraz, czy ja w ogóle mam coś do jedzenia na śniadanie? Nie miałam czasu na zakupy, prawda? NIE MIAŁAM czasu na WIELE rzeczy w moim życiu, ale czy mam jeszcze czas na cokolwiek?

Rozdział 3: po „następnym dniu”

Nie odważyłabym się narzekać na „straszne dni mojego życia podczas wojny, zanim podjęłam decyzję o opuszczeniu mojego kraju”, nie. Ze względu na szacunek, jaki mam wobec tych tysięcy, setek tysięcy ludzi, którzy mieli o wiele mniej szczęścia niż ja. Tysiące ludzi zostało rannych 24 lutego, setki zostało zamordowanych, dzieci zostały sierotami, tak wielu ludzi i ich

zwierząt jest nadal uwięzionych pod zgliszczami domów. Wracając do (wspomnianego) „następnego dnia” – byłam przerażona, zwłaszcza po usłyszeniu myśliwców przelatujących nad naszym domem. Narzekałam na okoliczności i byłam zagubiona, dosłownie zagubiona. To pewnie dlatego (moja) podświadomość krok po kroku chowała te złe wspomnienia i przeżycia głęboko na „półki” mózgu i teraz leżą one tam jak stara, zapomniana i zakurzona książka. Wszystko co wydarzyło się po „następnym dniu”, na który tak bardzo czekałam, jest głęboko ukryte, ale nigdy nie zniknęło i na zawsze jest częścią mojego życiowego doświadczenia. Są pewne rzeczy, które wciąż wpływają na nas mocniej, jak na przykład samolot, który zniżając się do lądowania na lotnisku w Warszawie, wydał głośny dźwięk, co natychmiast przywołało wspomnienia i uczucie strachu... Człowiek wtedy żałuje, że nie jest komputerem, w którym mógłby po prostu „usunąć wspomnienie”. W niektórych przypadkach sama opcja „wyczyść pamięć” nie wystarcza i chciałoby się „zresetować ustawienia” do zera, żeby móc zacząć od nowa.

Rozdział 4: dzisiaj

Być może zauważyłeś_aś, że w poprzednim akapicie nie ma daty. Kiedy właściwie będzie po owym „następnym dniu”? Za tydzień, miesiąc czy nawet za rok? Dowiemy się tego razem, jeśli nie masz nic przeciwko.

Czasami Bóg, samo życie, wszechświat (nie ma znaczenia, jak zdecydujesz się to nazwać, w zależności od swoich religijnych lub życiowych przekonań) zmusza cię do „zresetowania” ustawień „do zera”, nie pytając, czy chcesz to zrobić, czy nie. Po prostu daje ci nowy początek.

Czy kiedykolwiek słyszałeś o pięciu etapach żałoby, zwanych również DABDA*? Krótko mówiąc, możemy przeżywać

* Model pięciu etapów żałoby opracowany przez Elisabeth Kübler-Ross i spopularyzowany przez nią w książce „Rozmowy o śmierci i umieraniu” w 1969 roku. Skrót DABDA pochodzi od pierwszych liter etapów przeżywania żałoby w języku angielskim: denial, anger, bargaining, depression, acceptance.

żałobę w wielu różnych sytuacjach, w tym gdy tracimy wolność, ukochanych ludzi, zwierzęta domowe, domy itp. Żal dotyczy straty, która może przybierać różne formy. To sprawia, że doświadczamy całego spektrum stanów emocjonalnych, takich jak zaprzeczenie, gniew, targowanie się, depresja, akceptacja. Dokładnie przez to przechodziłam w czasie „następnego dnia”, który jednak trwał znacznie dłużej niż tylko jeden dzień. Zaprzeczenie, kiedy nie dowierzałam, że faktycznie toczy się wojna, że niszczone są miasta i domy, a ich mieszkańcy zostają ranni lub zamordowani. Gniew, kiedy zdawałam sobie sprawę, że zaprzeczanie nie może trwać wiecznie i czułam tylko nienawiść i agresję wobec sytuacji, ponieważ nie byłam w stanie powstrzymać tego szaleństwa, mogłam tylko sama oszaleć. Targowanie się, które było jak zagubienie się w labiryncie własnego „co by było, gdyby...” lub „gdyby tylko...”, doprowadzone poczuciem winy z powodu opuszczenia domu, który zbudowali moi rodzice, w którym dorastałam i starałam się, żeby był przytulny. Niepewność co do przyszłości. Depresja – spanie, jedzenie, uczucie przytłoczenia i smutku... Ogólnie rzecz biorąc istnienie, ale nie życie życiem, które się kochało. Nieświadomość tego, co wydarzy się w przyszłości, jest ekscytująca, ponieważ jest jak przygoda, ale w takich okolicznościach dla wielu osób może być naprawdę przerażająca. I wreszcie – akceptacja. Być może najtrudniejsza ze wszystkich. Nie chodzi o to, by po prostu powiedzieć „nie przeszkadza mi to, co się stało”, chodzi o to, by faktycznie to przyznać, poczuć i zrozumieć, że życie się nie kończy, że powiedzenie „dopóki nie wygram, to nie jest koniec” jest jak najbardziej prawdziwe. Tak więc DABDA, wszystkie pięć etapów żałoby, przez które przeszłam do dziś.

Dziś jest 15 sierpnia 2023. Minęło (już) trochę czasu od lutego 2022 roku, prawda?

Piszę ten tekst, wdzięczna za możliwość zdrowienia mojej psychiki i podzielenia się moją historią. Czy mam coś więcej do powiedzenia? Nie, ten trudny dla Ukraińców i całego

świata czas, który jest za nami, z pewnością zostanie zapisany w historii.

Czy chcę coś powiedzieć temu, kto to czyta? Tak!

Droga czytelniczko, drogi czytelniku! Przede wszystkim chciałabym jeszcze raz podziękować za zainteresowanie i czas poświęcony na przeczytanie tego tekstu.

Po drugie, dziękuję mojej rodzinie i przyjaciołom. A także ludziom, którzy z jakichś powodów zniknęli z mojego życia – tak pewnie jest lepiej.

Po trzecie, oczywiście, Polsce, w której teraz mieszkam. Cudownym, życzliwym Polakom i wszystkim ludziom z całego świata, którzy wspierają Ukrainę – nie dalibyśmy rady bez waszej pomocy. Jesteśmy na zawsze wdzięczni.

I wreszcie pewnej wyjątkowej osobie, która pomogła mi przejść przez wszystkie zmartwienia i obawy, które miałam. Która nauczyła mnie cierpliwości, której nigdy nie miałam, pokazała mi, że dopóki nie wygram, to nie jest koniec, i wielu innych rzeczy. Drogi M. G., dziękuję!

OLENA MYTROKHINA – dorastała, studiowała i pracowała w pięknym ukraińskim mieście – Charkowie, w którym żyła, miała wielu przyjaciół i starała się spędzać życie jak najlepiej. Od przeprowadzki do Polski rozwija swoje umiejętności artystyczne – dziś jest początkującą artystką, ciężko pracującą na swoje marzenia, artystką, która nigdy się nie poddaje.

„Obudź się, trwa wojna...”

Tekst oryginalnie napisany w języku rosyjskim.

Tłumaczenie: Antonina Ciużeńska.

Takie pospolite określenie. Z wielu filmów, książek historycznych, fantasy. Bardzo zrozumiałe, gdy jest się widzem kinowego hitu. I absolutnie nie do zniesienia i nie do strawienia w rzeczywistości.

Jak to wojna? Dlaczego? Dlaczego? Tak, nie, to nonsens, pomyłka, brednie...

To po prostu nie może mieć miejsca w XXI wieku!

Co powinnam zrobić z tym określeniem? Jak mam zareagować? Co mam zrobić, żeby to się skończyło?! Nie zostaliśmy przeszkoleni na taką okoliczność!

Zostałam powołana do miłowania bliźniego...

Ludzie, przecież na czele państw stoją światowi przywódcy – LUDZIE! Dyplomaci! Gwarantci bezpieczeństwa na świecie!

„Chcę cię przytulić”, „Jestem w domku dla lalek”, „Jestem dziewczynką, nie chcę o niczym decydować”. Niech ktoś mnie już obudzi!

STOP. Nie ma czasu na refleksję. „Pomyślę o tym jutro”. Jeśli w ogóle jutro nadejdzie...

W tych chwilach każda delikatna, słodka dziewczyna sta-
wała się cyborgiem, wojowniczką w obronie swojego małego
i tego wielkiego ŚWIATA.

Trudne decyzje, skomplikowane, dużo przeciwieństw.

Wciąż nie mogę pojąć tego cholernego słowa: „WOJNA”.

TETIANA PROSKURINA

Przełknęłam poczucie winy, że przeżyłam

Tekst oryginalnie napisany w języku ukraińskim.

Tłumaczenie: Antonina Ciużeńska.

Tłumaczenie wiersza: Bohdan Zadura.

Cześć! Mam na imię Tatiana. Chcę wam opowiedzieć moją małą historię.

Ważne jest, żeby wszyscy poznawali historie takie jak ta, aby podobne wydarzenia nie powtórzyły się w przyszłości w naszym cywilizowanym świecie. Uchodźca pochodzi od słowa „uchodzić”. I nigdy nie uszłabym z mojej ukochanej Ukrainy, gdyby nie wojna. Mówiąc dokładniej, gdybym była w domu z rodziną w Dnieprze*, kiedy zaczęły się bombardowania, prawdopodobnie bym nie wyjechała. Ale byłam w Kijowie, w nowej pracy, na szkoleniu, na początku nowego życia..., ale eksplozje rosyjskich rakiet 24 lutego 2022 roku zniszczyły moje marzenia. Powrót do domu w obliczu nalotów wroga był bardzo niebezpieczny, więc postanowiłam udać się na jakiś czas w bezpieczne miejsce. Do Polski.

Droga wiodła przez dworzec kolejowy, na którym setki, tysiące ludzi próbowało ratować dzieci, przede wszystkim wydostać je spod ostrzału. Łzy, rozpacz, przerażenie, pociąg

* Miasto położone w środkowo-wschodniej części Ukrainy, na obu brzegach rzeki Dniepr i u ujścia rzeki Samary.

ewakuacyjny, w którym zmieściło się pięć razy więcej kobiet, starców z dziećmi i zwierząt niż normalnie. Spali na podłodze lub po trzy osoby na leżance. Pasażerowie zostawiali na stacji walizki i duże przedmioty, aby uciec mogło jak najwięcej osób. Zabierali ze sobą tylko niezbędne rzeczy: dokumenty, lekarstwa... Panował chaos, szybko kończyła się woda, a w drogę nie sposób było zabrać ze sobą zbyt wiele. Dotarcie do toalety było prawdziwą wyprawą. Cierpliwość konduktorów w wagonach była po prostu anielska. Wytrzymywali wszystko. Prawie cały dzień spędziliśmy w półśnie.

Granica. Miejscowi przynosili wodę oraz jedzenie i pomagali uspokoić wyczerpane podróżą dzieci. Wdzięczność dla Polaków nie miała końca. Potem znowu droga. I Warszawa nocą. Ciepła i przyjazna. Zdawała się mówić: „Nie bój się, wszystko będzie dobrze”. Wolontariuszka na dworcu zaproponowała mi gorącą herbatę i kanapkę. Ale poprosiłam ją o bieliznę, bo dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że nie będę miała się w co ubrać, jeśli wezmę prysznic po tak męczącej podróży. Zostałam wszystko w walizce na dworcu w Kijowie.

W jakiś sposób wersy mojego pierwszego wojennego wiersza ułożyły się same:

Powiedz mi, Boże, co ja czuję?
Co widzę? Sama nie rozumiem...
Złość, zagubienie i nienawiść,
bezsilność – ziemi pod nogami
brak. Powiedz, gdzie mój spokój?
Czym moje serce dziś ogrzeję?
Nie ma w nim sensu ni nadziei.
Nawet przebaczać już nie umiem...
Powiedz mi, Boże, do czego podobne
Są te obłoczki, mięciutki jak wata?
Czy spać na nich będzie wygodnie
Rozstrzelanym aniołkom aż do końca świata?
Czy zdołam znów uwierzyć, Boże?
Ma dusza jak spalone zboże.
Już zapominam, że jestem kobietą.

Ale Polska mnie ocaliła. Chociaż po pierwszym szoku ogarnęło mnie poczucie winy osoby ocalonej: jak to jest, że ja jestem bezpieczna, a moja rodzina jest tam, pod ostrzałem i rakietami... Wtedy narodziły się wersy mojego kolejnego wiersza, jako kontynuacja poprzedniego:

Łykałam winę, że przeżyłam –
A ktoś pomocy nie doczekał...
Zwichnięte losy, skrzydła połamane.
Zniszczone drogi gdzieś daleko.
Rozumiem, już nie odzyskamy tego –
Cokolwiek gwiazdy nam powiedzą w końcu –
pięknego – na początku –
(rozpalonego) lutego
ni zagubionej gdzieś na dworcu
tej maleńkiej szarej walizki,
w której na drogę było wszystko...
Masz rację, mam żelazo w sercu.
To moja wiara jest w zwycięstwo.

Ta wiara podtrzymywała mnie na duchu przez cały ten czas. Kilka tygodni po przyjeździe zaczęłam uczyć się języka i szukać pracy. Zdawałam sobie sprawę, że z moim pierwszym wykształceniem technicznym raczej jej nie znajdę, ale uratowało mnie moje wykształcenie aktorskie. Zostałam obsadzona w sztuce Teatru Komuna Warszawa „Sześć żeber gniewu”. To niesamowicie mocna i aktualna sztuka o naszych kobietach, które uciekając w obawie o swoje życie i ratując swoje dzieci, trafiły do obozów dla uchodźców w Polsce. Wzruszająca historia nie pozostawiła nikogo obojętnym – publiczność płakała razem z aktorami.

Potem zaczęłam malować, grać w filmach, odnajdywać nowy sens życia i nowych przyjaciół. Byłam wolontariuszką i plotłam z dziewczynami siatki maskujące. Każdy ma swój własny front i swoją własną drogę do naszego zwycięstwa i pokojowej przyszłości.

Oto moja mała historia przyjazdu do Polski, której jestem niesamowicie wdzięczna za wszystko. Z takim wsparciem możemy wszystko! Zwyciężymy! Chwała Ukrainie!

TETIANA PROSKURINA – urodziła się 14 marca 1972 roku w Kostiantyniwce w Ukrainie. Po ukończeniu szkoły wstąpiła na Ukraiński Państwowy Uniwersytet Technologii Chemicznej, a po ukończeniu studiów pracowała jako wiodąca kierowniczką do spraw zaopatrzenia w korporacjach produkcyjnych. Jako dorosła osoba postanowiła spełnić swoje dziecięce marzenie o zostaniu aktorką i ukończyła Szkołę Filmową Contrabas w Dnieprze. Ma za sobą doświadczenie aktorskie w kinie i reklamie. Kiedy w lutym 2022 roku Rosja dokonała pełnoskalowej inwazji na Ukrainę, była w Kijowie, aby kontynuować studia aktorskie. Została jednak ewakuowana do Polski. W Warszawie nadal szuka pracy twórczej, grała w teatrze, a obecnie również w filmach i serialach telewizyjnych.

MARIIA ROUZ

From Russia with „love”...

Tekst oryginalnie napisany w języku rosyjskim.

Tłumaczenie: Antonina Ciużeńska.

Historia mojego stalkingu

Historia mojej emigracji rozpoczęła się od najbardziej, moim zdaniem, drażliwego wydarzenia XXI wieku – wojny Rosji z Ukrainą. Inwazja na pełną skalę rozpoczęła się 24 lutego 2022 roku. Tego ranka obudziłam się i natychmiast weszłam do Internetu. To był szok: nie mogłam sobie wyobrazić, że coś takiego może mieć miejsce. Że mój kraj zaatakował sąsiednie – bratnie państwo. Obudziłam męża, który spał do południa, ponieważ pracował do późna w nocy. Oburzony od razu napisał post na Instagramie: „Stop wojnie. Putin ręce precz od Ukrainy” i tak dalej. Ja z kolei nie napisałam niczego w innej rosyjskiej sieci społecznościowej (odpowiednik Facebooka). Wciąż miałam nadzieję, że to wszystko nieprawda, że to jakieś nieporozumienie... Ale po kilku dniach stało się jasne, że Putin nie zamierza przestać i będzie tkwił w tym do końca. Natychmiast napisałam do wszystkich moich znajomych z Ukrainy – jak się mają, czy żyją, co zamierzają robić. Odpowiedziała tylko jedna znajoma, pochodząca z Kijowa, Sonia. Powiedziała, że spakowała torbę, psa i kota i jest już na dworcu, czekając na pociąg do Lwowa. W tym czasie obwód kijowski był bombardowany. Cała jej rodzina, z wyjątkiem

ojca, jest teraz w Niemczech, ale wcześniej, będąc w Kijowie, musieli przeczekać naloty w metrze. Sonia wyjechała natychmiast. Więcej o Sonii opowiem później. Teraz o naszej rodzinie.

Mam na imię Maria. Mam 33 lata, męża Ryszarda, który obecnie jest w więzieniu i syna, który ma 8 lat. On też ma na imię Ryszard. Mój mąż to Ryszard Ryszardowicz. Więc mój syn jest już Ryszardem Trzecim. Przed wojną całe życie mieszkaliśmy w prowincjonalnym mieście Kirow*, w obwodzie kirowskim. Prowadziliśmy ciche, spokojne życie. Dziecko chodziło do przedszkola, mąż pracował w różnych zawodach, ostatnio jako kierowca autobusu i fotograf. Ja pracowałam na pół etatu w reklamie, ponieważ dziecko zbyt często chorowało na zapalenie płuc i inne przeziębienia. Z tego powodu nikt nie chciał mnie zatrudnić na stałe. Z rodziny mieliśmy tylko teściową (matkę mojego męża), która czasami pomagała nam przy dziecku. Oboje z mężem jesteśmy z wykształcenia muzykami (ja jestem śpiewaczką operową, mąż pianistą, klawesynistą i organistą). Żyliśmy cicho i spokojnie, nic szczególnego. Tylko mój mąż od czasu do czasu uczestniczył w wiecach przeciwko władzy, przeciwko aneksji Krymu, przeciwko Putinowi, na rzecz wolności słowa i w innych wydarzeniach. W tamtym czasie (przed wojną) w ogóle nie angażowałam się w politykę. Byłam na wiecach kilka razy w życiu.

Wraz z wybuchem wojny wszystko zmieniło się dramatycznie. Piekła, które rozpętał Putin i jego banda, która przejęła władzę, nie da się opisać słowami. Ból, przerażenie, rozpacz, wstyd za moich ludzi... Nawet na portalach społecznościowych musiałam przeproszać za to, że jestem Rosjanką. I nadal to robię, nie tylko na portalach społecznościowych. Ta klątwa przez wiele stuleci będzie ciążyć na absolutnie wszystkich Rosjanach, na wszystkich przedstawicielach tego narodu bez wyjątku. Rzeki krwi, które teraz przelewają się na ukraińskiej ziemi, długo nie wyschną w pamięci ludzi, którzy ucierpieli.

* Miasto położone w europejskiej części Rosji nad rzeką Wiatką, do 1934 roku nazywało się Wiatka. Zmiana nazwy miasta nastąpiła po śmierci Siergieja Kirowa (działacza bolszewickiego, zamordowanego najprawdopodobniej na polecenie Stalina). W 1993 roku mieszkańcy zdecydowali w referendum o zachowaniu sowieckiej nazwy.

Niektórzy stracili mężów i synów. Są przypadki, w których zginęły całe rodziny. Ktoś opuścił ojczyznę na bardzo długo, jeśli nie na zawsze. Niektórzy nie mieli już nic, ich majątek został zniszczony, nie mieli gdzie mieszkać. Ucierpieli absolutnie wszyscy. Prawdopodobnie nie ma w Ukrainie ani jednej rodziny, która by nie ucierpiała. Zniszczone zostały miejsca kultury, obiekty światowego dziedzictwa UNESCO w Odessie. Zniszczone zostały cerkwie, budynki historyczne, muzea, zabytki architektury i sztuki. Ekspozycje muzealne zostały wywiezione z tymczasowo okupowanych rejonów obwodu chersońskiego w Ukrainie. A ile rzadkich zwierząt, ptaków i ryb zginęło w wyniku wysadzenia w powietrze elektrowni wodnej w Kachowce*... Jednym słowem, Rosja dokonała skandalicznego ludobójstwa i ekocydu**! Wszystkich tych strat i zniszczeń nie da się oszacować materialnie. Zniknęły rzeczy bezcenne. Tak jak bezcenne jest każde zrujnowane życie i los każdego Ukraińca. Te zniszczenia nie mają odpowiednika w kategoriach materialnych. Odbudowa całych miast, wsi, miasteczek, które zostały zrównane z ziemią (Mariupol***, Bachmut****, Maryinka***** i wiele innych...), zajmie lata. A kto przywróci życie zabitym wojskowym, cywilom, dzieciom? Na to pytanie nie ma odpowiedzi. Putin, a także wszyscy współwinni tych zbrodni wojennych (w tym minister obrony i każdy rosyjski

* Zapora na Dnieprze w Nowej Kachowce była elementem elektrowni wodnej, gromadziła również wodę do chłodzenia elektrowni jądrowej. Została zniszczona przez wojska rosyjskie w ataku w czerwcu 2023 roku. W wyniku tego ataku miejscowość została dotknięta powodzią, uszkodzono wiele siedlisk zwierząt, zginęło również 58 osób, a 31 uważa się za zaginione.

** Również „ekobójstwo” – w prawie międzynarodowym masowe zniszczenie środowiska naturalnego i ekosystemów. Słowo ekocyd powstało na bazie określenia genocyd (ludobójstwo), zaproponowanego przez polskiego prawnika żydowskiego pochodzenia Rafała Lemkina w trakcie II wojny światowej.

*** Miasto położone we wschodniej części Ukrainy, nad Morzem Azowskim. Od maja 2022 roku okupowane przez Rosję, a 30 września 2022 roku bezprawnie anektowane przez Rosję.

**** Miasto położone na wschodzie Ukrainy, w obwodzie donieckim. Od października 2022 roku do maja 2023 roku toczyły się o nie zażarte walki, obecnie znajduje się pod rosyjską okupacją.

***** Miasto położone na wschodzie Ukrainy, w pobliżu Doniecka.

żołnierz, który przybył na terytorium Ukrainy z bronią) odpowiedzialną za wszystko przed międzynarodowym trybunałem karnym w Hadze. Wierzę w to! Sprawiedliwość musi zwyciężyć! Dobro zatriumfuje nad złem!

Podobnie jak wielu Rosjan, mój mąż i ja nie mogliśmy milczeć. Niektórzy wyszli na ulice i place z transparentami „Nie dla wojny!”, za co trafili do aresztów, otrzymali protokoły o dyskredytacji armii i kary grzywny. Niektórzy pisali komentarze na „WKontaktie”*, na Telegramie, na Instagramie i Facebooku i innych sieciach społecznościowych. Ja, podobnie jak mój mąż, publikowałam na YouTube filmy z różnych ukraińskich i międzynarodowych mediów, aby moi subskrybenci, którzy są poddawani zombifikacji przez rosyjską propagandę, mogli poznać prawdę. Wstawiłam takie posty na „WKontaktie”, a mój mąż na Instagrama. Rosyjskie media przekręcają fakty, zniekształcając rzeczywistość. Czasami wręcz kłamią, na przykład w sprawie wydarzeń w Buczy** w obwodzie kijowskim. Według rosyjskiej propagandy nie było ofiar cywilnych. Cywile nie byli zabijani strzałami w tył głowy z rękami związanymi za plecami, strzałami w plecy, kobiety i dzieci nie były gwałcone w piwnicach, torturowane i dręczone. W rzeczywistości to wszystko zostało tam dokonane przez rosyjskich żołnierzy w czasie okupacji. Opublikowałam kilka filmów o tym wydarzeniu, a także o wysadzonym Teatrze Dramatycznym w Mariupolu***. Okazało się, że około tydzień wcześniej pojawiło się nowe prawo i nowy artykuł karny: „publiczne rozpowszechnianie świadomie fałszywych informacji uchodzących za prawdziwe na temat wykozystania Sił Zbrojnych Federacji Rosyjskiej w celu ochrony

* Rosyjski serwis społecznościowy.

** Miasto położone na północno-zachodnich obrzeżach Kijowa. Podczas rosyjskiej inwazji na Ukrainę w lutym i marcu 2022 roku żołnierze Sił Zbrojnych Federacji Rosyjskiej dokonali zbrodni na ludności cywilnej Buczy, mordując ponad 400 osób.

*** Atak lotniczy na teatr w Mariupolu – zbrodnia wojenna dokonana 16 marca 2022 roku w Mariupolu. W wyniku bezpośredniego trafienia przez bombę lotniczą w budynek teatru zginęło około 300 osób, które szukały w nim schronienia, po tym jak straciły własne domu w trakcie bombardowań w czasie agresji wojsk rosyjskich w 2022 roku.

interesów Federacji Rosyjskiej i jej obywateli”. Artykuł 207 ust. 3 kodeksu karnego*.

Obserwując w internecie wydarzenia w Ukrainie, mój mąż i ja coraz bardziej chcieliśmy opuścić Rosję. Ale mój mąż nie miał zagranicznego paszportu. Postanowiliśmy więc przynajmniej zmienić otoczenie i przenieść się do Moskwy. Ale najpierw chcieliśmy zostać wolontariuszami, aby w jakiś sposób pomóc Ukraińcom. W tym celu zabraliśmy dziecko, pieniądze, lekarstwa, antybiotyki, niektóre z naszych najcenniejszych rzeczy i pojechaliśmy na Białoruś, aby tam przekroczyć granicę z Ukrainą. Było to na przejściu w Makronach, ale białoruska straż graniczna natychmiast nas zwróciła, mówiąc, że w związku z wojną tylko Ukraińcy mogą wjechać na terytorium Ukrainy. Jednocześnie nazwali nas wariatami. Nazwali nas wariatami, mówiąc, że wszyscy uciekają przed wojną, a my jedziemy na wojnę. Prawdopodobnie powinniśmy byli nielegalnie przejść przez las, ale było już za późno: zostaliśmy zatrzymani w punkcie kontrolnym. Myślę, że białoruska straż graniczna zgłosiła fakt próby przekroczenia granicy rosyjskim funkcjonariuszom FSB**, więc musieliśmy wracać do Rosji.

Po przybyciu do Kirowa definitywnie zakończyło się nasze spokojne życie. Wieczorem 14 kwietnia 2022 roku postanowiliśmy wyjechać do Moskwy. Skończyłam swój ostatni dzień pracy, rozdając ulotki przechodniom. Mąż zatankował bak do pełna, wymeldował mnie i dziecko z mieszkania, by wynająć je na czas naszego pobytu w Moskwie. Po pracy umówiliśmy się, że pojedziemy do znajomych pożegnać się z Kirowem. Mąż napisał, że przyjedzie się ze mną spotkać. Czekałam na niego

* Po ataku na Teatr Dramatyczny w Mariupolu (16 marca 2022) artykuł ten został znowelizowany (25 marca 2022) – dotyczy już nie tylko sił zbrojnych, ale wszystkich innych organów państwa działających za granicą w celu ochrony interesów Federacji Rosyjskiej. Maksymalna kara za to „przestępstwo”, zależnie od stwierdzonych motywacji do jego popełnienia, wynosi 15 lat pozbawienia wolności.

** FSB – Federalna Służba Bezpieczeństwa, siły służb specjalnych działające w Rosji od 1995 roku. Choć ustawowo ich aktywność powinna ograniczać się do wewnętrznych działań kontrwywiadowczych, istnieją dowody na to, że działalność FSB zarówno wewnętrzna, jak i poza granicami Rosji, jest znacznie szersza.

na ulicy, gdy nagle zatrzymała się gazela*, wyszli z niej mężczyźni w kominiarkach z karabinami automatycznymi, a mój mąż leżał wewnątrz auta z głową na podłodze. Zabrano nas do budynku Federalnej Służby Bezpieczeństwa. Tam przesłuchiowano nas osobno. Krzyczano na mnie i przeklinano, żądano hasła do telefonu i obrażano. Mojemu mężowi grożono, że zostanie zgwałcona i pobita. Podał im hasło do telefonu. Ja nie podałam, nie grożono mi.

Potem zabrali mnie do naszego mieszkania na przeszukanie, pomimo tego, że nie mieli odpowiedniego nakazu. Było to więc całkowicie nielegalne. Zdemolowali całe mieszkanie, przeszukali wszystko, przejrżeli każde pudełko po butach. Skonfiskowali laptopa, tablet, trzy iPhone'y, znaczki Nawalnego (symbole ekstremistyczne). Szukali pendrive'ów i wszystkiego, co mogłoby posłużyć jako dowód w sprawie karnej za „rozpowszechnianie świadomie fałszywych informacji dotyczących rosyjskiej armii”. Następnie zostałam zabrana na przesłuchanie do Komitetu Śledczego, w którym postawiono mi zarzuty z artykułu 207 ust. 3 pkt 2 lit. e Kodeksu karnego Federacji Rosyjskiej. Mianowicie: „publiczne rozpowszechnianie celowo fałszywych informacji na temat Sił Zbrojnych Federacji Rosyjskiej motywowane nienawiścią polityczną i narodową wobec grup społecznych: żołnierzy, elity politycznej, narodu rosyjskiego”. Kara przewidziana zgodnie z tym artykułem wynosi od 5 do 10 lat pozbawienia wolności. Tylko za słowa, za własną opinię. Następnie do sprawy karnej dodano artykuł o nawoływaniu do ekstremizmu: 280 ust. 2. Zgodnie z tym artykułem groziło mi kolejne od 3 do 7 lat więzienia. To wszystko z powodu dwunastu postów w sieciach społecznościowych o wydarzeniach w Ukrainie, w tym o Buczy i Mariupolu. Zgodnie z sugestią adwokata nie przyznałam się do winy. Mogłam skorzystać z prawa do nieznawania przeciwko sobie i moim krewnym i po prostu milczeć, ale wiedziałam, że mój mąż zrobi dokładnie to samo i nic nie powie. Wtedy oboje zostalibyśmy aresztowani na czas śledztwa, a nasze dziecko trafiłoby do domu dziecka.

* Rodzaj samochodu.

Dlatego podczas przesłuchania częściowo przyznałam się do winy: przyznałam, że to był mój profil i że to ja pisałam posty. Ale że to były fejkowe informacje... Nie zgadzałam się z tym. To było prawdziwe, nikogo nie okłamałam. Wszystko, co napisałam, było prawdą!

Mój mąż skorzystał z artykułu 51 Konstytucji Federacji Rosyjskiej i nic nie powiedział. Przed rozprawą spędziliśmy trzy dni w areszcie. Według sądu mój mąż został aresztowany najpierw na dwa miesiące, a następnie areszt został przedłużony. Do dziś przebywa w więzieniu w Jekaterynburgu*, czekając na wyrok (już przez prawie półtora roku). Ja zostałam zwolniona i przeniesiona do aresztu domowego: założono mi na nogę bransoletkę śledzącą, nie wolno mi było wychodzić z domu wieczorem i w nocy, korzystać z Internetu i telefonu, odbierać poczty, uczestniczyć w spotkaniach i imprezach masowych, przydzielono mi nadzor funkcjonariusza służby penitencjarnej. Tak było do września: moja pani mecenas doprowadziła do zdjęcia bransoletki.

Pierwsze miesiące w areszcie domowym były bardzo trudne: wróciłam do pustego, zdemolowanego mieszkania. Zarówno mnie, jak i mojego męża w więzieniu, nieustannie odwiedzali funkcjonariusze FSB i grozili, że jeśli mąż nie przyzna się do winy, to podrzucą mu narkotyki, że zmienią środek przymusu na areszt, a dziecko zostanie odebrane przez PDN**, bo nagle okaże się, że jestem złą matką. Trudno było wytłumaczyć moim bliskim i wychowawcom w przedszkolu, gdzie jest mój mąż i dlaczego siedzi w więzieniu. Wiele osób odwróciło się ode mnie. Mówili, że nie jestem patriotką, że jestem zdrajczynią. Prawdopodobnie, według ich przeżartych propagandą umysłów, byłoby lepiej, gdybym coś ukradła, zabiła kogoś, sprzedawała narkotyki, niż była wrogiem Ojczyzny i nie zgadzała się z szalonymi działaniami rządu. Lepiej było wspierać przywódcę we wszystkich jego przestępczych przedsięwzięciach, wspierać ludobójstwo narodu ukraińskiego.

* Miasto położone w azjatyckiej części Rosji, po wschodniej stronie środkowego Uralu.

** Wydział do spraw nieletnich.

Nie miałam telefonu, nie pamiętałam numerów do przyjaciół i teściowej. Czułam się bardzo źle i samotnie. Odnajdywałam przyjaciół pod ich adresami domowymi, a niektórzy z nich nie chcieli się ze mną kontaktować, bo bali się, że FSB przyjdzie do nich i ich aresztuje. Bardzo tęskniłam za mężem, musiałam sama utrzymać siebie i dziecko, a znalezienie pracy było bardzo trudne ze względu na ograniczenia czasowe i brak telefonu.

Rozdawałam ulotki na ulicy w upalnym słońcu, pracując absolutnie codziennie za bardzo niskie wynagrodzenie. Na szczęście nie wszyscy znajomi się ode mnie odwrócili. Przyjaciele mojego męża pomogli mi z pieniędzmi i jedzeniem, a także zorganizowali zbiórkę pieniędzy dla mojego męża w więzieniu. Do dziś to robią, wysyłają mu paczki, przywożą przesyłki do aresztu, dostarczają jedzenie i leki. Mój mąż ma astmę oskrzelową, ciągle potrzebuje inhalatora, ma chore nerki i kręgosłup. Jest w złym stanie psychicznym, a jego stan zdrowia ciągle się pogarsza. Praktycznie nie ma nadziei na uniewinnienie, ponieważ, jeśli ktoś jest oskarżony z tego artykułu, to sąd uznaje winę w stu procentach spraw. Prawie wszyscy oskarżeni zostali już skazani na prawomocne kary pozbawienia wolności wynoszące średnio 7–9 lat. A mój mąż dostał również artykuł 205 ust. 2 (podejrzanie działań terrorystycznych) za jedno zdanie: „Jedynym sposobem na powstrzymanie Putina jest jego fizyczna likwidacja”. Za przestępstwa z tego artykułu grozi od 5 do 7 lat więzienia. I 207 ust. 3 za ponowne opublikowanie wideo dziennikarza Aleksandra Sotnika na temat wydarzeń w Buczy. Prawdopodobnie będzie siedział w więzieniu do 15 lat. To znaczy, dopóki totalitarny reżim Putina nie upadnie wraz z naruszającymi konstytucję, wolność słowa i zgromadzeń przepisami karnymi. Na podstawie tego artykułu wszczęto około dwustu spraw karnych, w tym skazano polityków Aleksieja Gorinowa, Ilję Jaszyna i wielu innych. Jest to sprzeczne z Konstytucją Federacji Rosyjskiej, która gwarantuje wolność słowa, również w internecie. Dlatego uważam, że prześladowanie mnie i mojego męża jest nielegalne. Obecnie jestem sądzona zaocznie, ponieważ udało mi się opuścić Federację Rosyjską wraz z dzieckiem. Władze wystawiły za

mną nakaz aresztowania, jeśli postawię stopę choćby na milimetr na rosyjskiej ziemi. Dlatego niedawno złożyłam wniosek o ochronę międzynarodową w Polsce. W moim kraju grozi mi aresztowanie, a dziecko zostanie odebrane przez opiekę społeczną, a jeśli ja również trafię do więzienia, dziecko nie będzie miało obojga rodziców.

Historia mojej emigracji

Po zdjęciu bransoletki śledzącej zaczęłam myśleć o wyjeździe z Rosji, ponieważ sąd nie ograniczył mi możliwości przemieszczania się. Nie mogłam pomóc mężowi w żaden inny sposób poza przygotowywaniem przesyłek do więzienia: wizyty i telefony nie były dozwolone, nie mogłam też komunikować się z nim listownie, tylko raz na dwa miesiące przekazywałam ustne wiadomości przez prawnika, że wszystko jest w porządku ze mną i naszym dzieckiem. Mój mąż już zrozumiał, że na długi czas utknął w tym betonowym systemie, więc przekazał przez prawnika, że chce, abyśmy opuścili Rosję na zawsze, ratując przynajmniej nasz los i nasze życie. Przecież byłam również sądzona na podstawie tych samych artykułów, a łączny wymiar kary, który mi groził, mógł sięgnąć nawet 13 lat. Ponadto mój mąż i ja zostaliśmy wpisani na listę ekstremistów i terrorystów Federalnej Służby Monitoringu Finansowego – Rosmonitoringu.

Tak więc po otrzymaniu aktu oskarżenia zwróciłam się do wolontariuszy, którzy pomagają osobom skazanym za przestępstwa tego typu opuścić Rosję. Dali mi jasne instrukcje, jak zachowywać się w kontaktach z funkcjonariuszami dozoru, jak uniknąć bycia śledzoną, wpłacili również pieniądze na moją kartę do wykorzystania w pierwszej fazie ucieczki. Wszystkie instrukcje były przekazywane wyłącznie przez Internet, bez rozmów telefonicznych. Na drogę mogłam zabrać ze sobą tylko dwa plecaki z minimalną ilością ubrań i dokumenty niezbędne z punktu widzenia mojej przyszłej sprawy azylowej, ponieważ istniało duże prawdopodobieństwo, że będę śledzona.

Imię i wygląd mojego wybawcy – Dimy – poznałam dopiero poza granicami Federacji Rosyjskiej. 7 listopada wieczorem opuściliśmy mój obwód samochodem przypominającym taksówkę i przez pięć dni błakaliśmy się po różnych miastach, śpiąc i jedząc gdziekolwiek. Zmienialiśmy samochody, aby zacierać ślady. Najtrudniejsze psychicznie było przejście graniczne z Białorusią. Wymyśliliśmy bajkę, że jedziemy odwiedzić sąsiednią wioskę, ale na szczęście policjant o nic nie pytał, więc tylko pokazaliśmy nasze dokumenty. Niemożliwe było pozostanie w Mińsku przez dłuższy czas, ponieważ gdyby oficer dozoru odkrył moje zniknięcie, przeprowadzono by dochodzenie, wydano by list gończy, a następnie na pewno zostałabym poddana ekstradycji do Rosji. Klimat polityczny na Białorusi jest mniej więcej taki sam jak w Rosji: dyktatura Łukaszenki, mnóstwo więźniów politycznych. Po spędzeniu nocy w hostelu udaliśmy się na lotnisko. Zgodnie z planem chcieliśmy lecieć do Armenii, ale nie było bezpośrednich lotów bez międzylądowania w Rosji. Gdybyśmy mieli choć jedno międzylądowanie – z pewnością zostalibyśmy zatrzymani; ja trafiłabym do więzienia, a dziecko do sierocińca.

Poleciliśmy więc do Kazachstanu. Był tam ośrodek dla uchodźców politycznych z Rosji, takich jak my. Spotkałam tam wielu ludzi, którzy uciekli nie tylko przed mobilizacją, ale także przed prześladowaniami. Byli tam również „terrorysty” i inni dobrzy ludzie, którzy sprzeciwiali się wojnie i totalitarnemu reżimowi Putina. Mieszkaliśmy tam przez miesiąc. Zgodnie z kazachskim prawem można tam mieszkać przez miesiąc bez rejestracji, a potem trzeba zalegalizować pobyt, więc w połowie grudnia poleciliśmy do Erywanii.

Armenia to wspólny kraj, mieszkają tam najbardziej gościnni, piękni i nieobojętni na cudze smutki i nieszczęścia ludzie. Mieszkaliśmy tu z synem w sumie prawie osiem miesięcy. Na początku przez trzy tygodnie mieszkaliśmy w mieszkaniach co-livingowych „Kovchega”* z Rosjanami, przedstawicielami LGBT+ uciekającymi przed prześladowaniami. Na początku zostały nam wydzielone tylko dwa łóżka polowe w pokoju

* Kovchega – arka.

gościnnym, ale po półtora tygodnia dostaliśmy własny pokój. Zgodnie z warunkami uczestnictwa w tym co-livingowym projekcie – masz prawo zatrzymać się tutaj niedługo, tylko na czas poszukiwań niedrogiego mieszkania docelowego. Po-tem trzeba opuścić obiekt.

Problemy zaczęły się niemal natychmiast: dużym utrapie-niem było zachowanie mojego syna. Zdiagnozowano u niego ADHD: zespół nadpobudliwości psychoruchowej z deficytem uwagi. Jest to zaburzenie neurorozwojowe, polegające na tym, że osoba nie może skoncentrować się na jednej rzeczy dłu-żej niż 10–15 minut. Mój syn szybko traci zainteresowanie, trudno mu skupić uwagę na jednej rzeczy. Ponadto nieustan-nie potrzebuje ruchu: biega, skacze, hałasuje, mówi bez prze-rwy. Bardzo przeszkadzał sąsiadom, nie przestrzegał ciszy, przeszkadzał w pracy innym. Praktycznie wszyscy poza Ro-sją pracują zdalnie. Jest to możliwe w ciszy i spokojnym oto-czeniu. Musieliśmy więc wstawać, zjadać śniadanie i od razu wychodzić z domu, wracając dopiero wieczorem, żeby nie było konfliktowych sytuacji z sąsiadami. Po prostu spacerowali-śmy, odkrywając kraj, architekturę i oczywiście ludzi, którzy byli niesamowicie pomocni, zawsze mówili mi, jak i gdzie iść, nawet podwozili mnie, jeśli tego potrzebowałam, albo wzy-wali taksówkę i to za darmo. I żadnej rusofobii. Przynajmniej nikt nie powiedział mi nic złego, gdy dowiedział się, że jeste-śmy z Rosji. Kobiety w metrze i na przystankach autobusow-ych dawały mojemu dziecku ciastka.

Kiedy nasz pobyt w Kovchedze dobiegł końca, musieliśmy poszukać nowego zakwaterowania. Znalazłam inną funda-cję – „Etos”, dzięki której mieszkaliśmy przez następne dwa tygodnie za darmo. Znów we wspólnym pokoju na kanapie, ale najważniejsze dla nas było to, aby mieć gdzie spać w nocy. Niezmiennie spacerowaliśmy po centrum. Ale nawet kiedy nie wiedzieliśmy, gdzie będziemy mieszkać, wszyscy moi nowi or-miańscy znajomi oferowali mi lokum za darmo na kilka dni, dopóki nie znajdziemy mieszkania. W ośrodku „Etos” miesz-kali tylko młodzi ludzie, którzy uciekli przed mobilizacją. Ale w przeciwieństwie do sąsiadów w poprzednim miejscu trak-towali dziecko ze zrozumieniem, że jest małe i chce skakać

i biegać. Mieszkaliśmy tam przez dwa tygodnie, a następnie pojechaliśmy poza Erywań, do wioski oddalanej o godzinę jazdy samochodem. Byli tam też Rosjanie, wszyscy różni, ale mieli jedną wspólną cechę: wszyscy uciekali przed wojną, nie chcieli już dłużej utrzymywać więzi z Rosją, płacić podatków, a tym samym sponsorować tej zbrodniczej wojny. Tam w zasadzie też tylko nocowaliśmy, wyjeżdżając rano do Erywania i wracając na nocleg.

Zapytacie, dlaczego będąc już dwa miesiące w Armenii, nie wysłałam dziecka do szkoły i sama nie poszłam do pracy? Wollontariusze, którzy pomogli mi wyjechać, obiecali pomóc mi w zdobyciu wizy wjazdowej do kraju Unii Europejskiej, a konkretnie do Niemiec. W pewnym sensie zajęli się moją sprawą, a ja napisałam swoją mini-biografię, historię prześladowań, moją i mojego męża. Ale sprawa po prostu upadła. Być może było w niej za dużo formalności. W każdym razie miałam cichę nadzieję, że wkrótce przyznają nam wizę, więc nie ma powodu, żeby dziecko uczęszczało do szkoły przez 2–3 miesiące. Żyliśmy z oszczędności, które mój mąż nagromadził dla nas jeszcze w Rosji.

Dzięki Bogu w tej wiosce poznałam Julię z Petersburga. A ona z kolei, zainspirowana naszą historią, przedstawiła nas grupie ludzi, którzy już wyemigrowali do UE. Oni pomogli nam napisać listy do konsulatów Polski, Niemiec, Włoch, Czech, Litwy, Francji i Holandii z prośbą o wydanie wizy humanitarnej dla osób prześladowanych z powodów politycznych. Litwa natychmiast nam odmówiła, ponieważ aby dostać od nich taką wizę, trzeba być obrońcą praw człowieka lub dziennikarzem. Czechy delikatnie odmówiły, uzasadniając to tym, że złożyliśmy pismo w niewłaściwym miejscu. Pozostałe kraje po prostu nie odpowiedziały. Poza Polską. Stroną zapraszającą była Helsińska Fundacja Praw Człowieka w Warszawie. Konkretnie Iwan. Był jednak pewien niuans: aby wydać wizę małoletniemu, potrzebna jest zgoda drugiego rodzica. A mój mąż siedział w więzieniu. Teoretycznie można za pośrednictwem sądu zaprosić notariusza do aresztu, w którym mógłby sporządzić zgodę. Ale sąd zapytał, do czego dokładnie potrzebny jest notariusz. Odpowiedzieliśmy, że do sporządzenia zgody

na wyjazd dziecka za granicę. Sąd zwlekał. Przedstawiciele Fundacji Helsińskiej wytłumaczyli złożoność sytuacji i ambasador zgodził się, by taka zgoda została sporządzona bez potwierdzenia notarialnego. W efekcie mój mąż za pośrednictwem prawnika sporządził pismo i wysłał je kurierem do Erywania. Zniosłam wszystkie dokumenty do Konsulatu RP w Erywanii i dostaliśmy wizy.

Tymczasem była już połowa maja. Mieszkaliśmy już na obrzeżach Erywania w innym miejscu z Ormianami, również za darmo. Życzliwi ludzie przyjęli nas i dali nam pokój w prywatnym domu. Bardzo lubili Ryszarda. Były tam psy, koty, a nawet kury i przepiórki. W każdy weekend jedliśmy szaszłyki. Dojrzewały morele, pomagałam w pracach domowych, a wieczorami graliśmy w tryktraka*. Ten czas był dla mnie naprawdę najlepszym okresem na emigracji. Dawno nie czułam tylu pozytywnych emocji i radości z dialogu. Naprawdę zakochałam się w tych hojnych i gościnnych ludziach. Pozostaną w moim sercu na zawsze.

Mieliśmy jednak zamiar opuścić piękną Armenię i udać się do Gruzji, ponieważ istniało zbyt duże ryzyko zatrzymania nas przez rosyjską FSB na lotnisku. Rzecz w tym, że w tym czasie FSB już wiedziało, że opuściłam Rosję, i umieściło mnie na federalnej i międzynarodowej liście poszukiwanych. Ale gdy tylko spakowaliśmy nasze rzeczy, oficerowie śledczy z Armenii przyszedli do nas w cywilnych ubraniach. Nie przedstawili się w żaden sposób i poprosili nas o udanie się na posterunek policji, nie podając powodów zatrzymania, bez żadnych wyjaśnień. Nie zapoznali mnie z moimi prawami i nie pozwolili mi zadzwonić. Udało mi się jednak wysłać wiadomość przez internet, że zostaliśmy zatrzymani, i wezwano adwokata. Zanim przybył adwokat, nie chciałam nic mówić, prosiłam tylko o telefon i podanie powodów zatrzymania. Powiedziano mi, że jestem poszukiwana w Federacji Rosyjskiej i znajduję się na międzynarodowej liście poszukiwanych. Trzymali nas tam przez sześć godzin, grozili ekstradycją do Rosji i zabranieniem dziecka do sierocińca. Po przybyciu prawnika

* Inaczej backgammon lub nardy, gra planszowa dla dwóch graczy.

przestali nam grozić. Ale kwestia ekstradycji została również podniesiona przez władze rosyjskie. Dlatego musiałam ubiegać się o azyl polityczny, aby spowolnić proces ekstradycji. Ormiańskie władze zabroniły mi opuszczać terytorium Armenii.

Znalazłam się więc w trudnej sytuacji: miałam wizę do Polski, ale nie mogłam wyjechać, nie chciałam i nie mogłam jechać do Rosji. Na szczęście codziennie pisałam do różnych organizacji, by pomogły mi opuścić Armenię i uniknąć ekstradycji. Free Russia Foundation odpowiedziała mi i pomogła zorganizować mój wyjazd z Armenii i wjazd do Gruzji. Miałam tylko jeden dzień i jedyną możliwość, kiedy zostało uzgodnione z armeńską i gruzińską strażą graniczną, że mnie wypuszczą i wpuszczą. W końcu, 29 lipca 2023 roku, zostałam wypuszczona z Armenii i wpuszczona do Gruzji. Tam zostałam w Tbilisi przez trzy dni, czekając na bilety lotnicze z Kutaisi do Warszawy. W Gruzji udzieliłam wielu wywiadów różnym rosyjskim i zagranicznym mediom, aby podkreślić problem więźniów politycznych i zwrócić uwagę opinii publicznej na sytuację z moim mężem.

Teraz jestem w Polsce. Tutaj wreszcie mogę czuć się całkowicie bezpiecznie, Polska nie wydaje uchodźców w sprawach o podłożu politycznym i na pewno nie wystąpi o moją ekstradycję. Mój mąż też jest wreszcie spokojny, że nic nam nie grozi. Bardzo mi się tu podoba, i choć mam trudności z językiem, to Google Translator jest pomocny. Pracuję ze mną psycholog, a z dzieckiem psycholog dziecięcy. Wkrótce moje dziecko pójdzie do szkoły, mam nadzieję, że w tym też pomogą. Na świecie nie brakuje dobrych ludzi. Odwiedzam różne fundacje, żeby uzyskać pomoc: psychologiczną, materialną, kursy języka polskiego. Jest mało prawdopodobne, że pomogą z mieszkaniem, ale na pewno dadzą wsparcie psychiczne i zapewnią ludzkie podejście.

Chciałabym zakończyć moją historię emigracji słowami nadziei na świetlaną przyszłość waszego kraju, osiągnięcie dobrobytu gospodarczego, wyjście z kryzysu spowodowanego pandemią, wojną w Ukrainie, napływem uchodźców z Ukrainy i Białorusi. Chcę życzyć całemu cywilizowanemu światu

przede wszystkim POKOJU. Aby pokój wreszcie zapanował na planecie Ziemia.

Dziękuję waszemu krajowi za zaproszenie i udzielenie nam schronienia.

Chwała Ukrainie! Chwała Polsce!

MARIIA ROUZ – z wykształcenia śpiewaczka operowa, ukończyła Kirowską Regionalną Wyższą Szkołę Sztuki Muzycznej im. I. V. Kazeina. Wyszła za mąż za Ryszarda Rouz, obecnie więźnia politycznego. Wraz z synem wyjechała do Polski; czeka na decydujące o statusie wniosku azylowego przesłuchanie przez polskie służby migracyjne, które odbędzie się w listopadzie.

VALERIIA SHAKHUNOVA

Widzisz, biegnę!

Tekst oryginalnie napisany w języku ukraińskim.

Tłumaczenie: Antonina Ciużeńska.

Praca wyróżniona przez jury „Pamiętników Uchodźczych”.

Początek

Przyjechałam do rodziców do Chersonia* na ferie ze studiów w Polsce i zaczęła się wojna.

24 lutego z rana jeszcze o tym nie wiedziałam. Spałam słodko, szczęśliwa, że wreszcie jestem w domu. Mój pies Lord, Yorkshire terrier, spał obok mnie i chrapał. Zawsze tak robi, gdy jest szczęśliwy. Był ze mną od sześć lat i był najlepszym psem, jakiego kiedykolwiek miałam. Z rana, jak zawsze, pójdę z nim na spacer i pooddycham czystym chersońskim powietrzem.

Kiedy wielu Ukraińców budziło się o czwartej rano, aby przeczytać wiadomości, ja wciąż spałam, nieświadoma niczego. Podobnie jak mój pies, bracia i rodzice. W domu panował spokój. Maszyna do chleba, którą mama ustawiła na timer, była już włączona. Za chwilę dom wypełni zapach świeżo upieczonego chleba. Tata i ja uwielbialiśmy, kiedy mama to robiła. Mama jest estetką. Zwraca uwagę na drobiazgi i zawsze dba o wygodę. Mamy zasadę – śniadanie jemy razem przy jednym stole. Tamtej nocy nie wiedziałam, że już nigdy

* Miasto leżące na południu Ukrainy nad Dnieprem. Między marcem a listopadem 2022 roku znajdowało się pod okupacją rosyjską.

nie zobaczę mamy w takim stanie. Wojna zmieni ją diametralnie i nie będzie już wspólnych śniadań przy jednym stole.

Usłyszałam bardzo głośny dźwięk. Nie sądziłam, że to może być eksplozja. Potem usłyszałam, jak rodzice zerwali się i zaczęli głośno rozmawiać. Mój pies obudził się i cierpliwie czekał, aż wstanę, nie spuszczając ze mnie oczu. Przez sen słyszałam, że coś się dzieje, ale nie mogłam domyślić się prawdziwego powodu zamieszania. Mama poszła obudzić Jegora, mojego średniego brata, który ma 13 lat. Już się obudził. Jego pokój znajduje się naprzeciwko mojego, więc słyszałam dźwięki. Udawałam, że śpię, i nasłuchiwałam. Usłyszałam, że głos mojej mamy nie był taki sam jak zwykle. Pewnie się kłóca...

„Lera, trzeba się obudzić. Może uda nam się uniknąć ich kłótni” – przemknęło mi przez myśl.

Otworzyłam oczy. Pies cieszył się, że w końcu wstałam, merdał ogonem i lizał mnie po rękach. Poszłam do pokoju brata. Matka płakała. Zapytałam, co się stało. Mama powiedziała, że zaczęła się wojna. Nie uwierzyłam jej.

Kilka minut później zdałam sobie sprawę, że mój pies potrzebuje wyjść na spacer, więc poszłam. W powietrzu unosił się strach.

Wróciłam do domu. Ciągle myślałam o tym, gdzie będę jutro. Muszę zapłacić za studia w Polsce. Muszę przelać pieniądze, żeby mnie nie wykreślili. Próbowałam to zrobić, ale moje konto zostało zablokowane, bo wybuchła wojna i nie można było przelewać pieniędzy za granicę. Bałam się, że nie skończę studiów.

Czy w tamtym czasie było to naprawdę ważne? Patrząc wstecz, zdaję sobie sprawę, jak wiele dziwnych myśli miałam w głowie. Ale jak mogłoby być inaczej? Zdarzają się różne sytuacje, ale nie wszystko jest łatwe do zrozumienia.

Aby zrozumieć siebie, zaczęłam przeglądać notatki w telefonie.

8 marca 2022

Rosjanie już wkroczyli do miasta. Dziś jest Światowy Dzień Kobiet. Tata wyszedł rano z domu. Kupił kwiaty dla mnie i mojej

mamy, żeby złożyć nam życzenia z okazji tego święta. Nie mam pojęcia, jak je znalazł. Mama nadal jest w ciężkim stanie psychicznym. Odwiedzili nas przyjaciele ojca. Ich dom znajduje się niedaleko mostu Antonowskiego, który teraz jest często ostrzeliwany. Zaprosiliśmy ich do nas. Pewnego wieczoru powiedziała, że fajnie byłoby kupić Monopoly, żeby się trochę rozerwać. O dziwo następnego dnia mój tata gdzieś je znalazł. Tak wygląda mój świat teraz. Ubrania, zabawki i buty są dostępne, bo nikt ich obecnie nie potrzebuje, a w mieście brakuje jedzenia. Puste półki.

Wieczorem leżałam z psem na ostatnim piętrze. Położyłam się na podłodze i dużo myślałam. Słyszałam, jak Rosjanie wystrzeliwiają rakiety, które przecinają powietrze i lecą dalej. Nie mogłam nic z tym zrobić. Po prostu leżałam i liczyłam, ile z nich leci, żeby nas zabić.

Noc

Przez kilka dni w Chersoniu było spokojniej. Byłam zmęczona spaniem na korytarzu lub w piwnicy. Po raz pierwszy od 24 lutego chciałam położyć się w łóżku, moim własnym łóżku. Pies położył się obok mnie. Moje ciało było spięte, przewracałam się z boku na bok i nie mogłam zasnąć. W końcu zdałam sobie sprawę, że w tym stanie nie zaznam snu, więc próbowałam się zrelaksować. W łóżku było mi dobrze. Po zamknięciu powiek wydawało mi się, że wszystko, co się wydarzyło, nie było prawdziwe. Udało się. Już zaczęłam śnić, a mój pies lekko podchrapywał. O nie... Słyszę eksplozję. Rodzice kazali mi spać z nimi, ale podjęłam własną decyzję. Przecież byłam już dorosła. Tylko nie to! Nie chcę tam iść. Chcę spać we własnym łóżku. Może to minie? Może to była tylko pojedyncza eksplozja i jestem bezpieczna? Słyszę kakofonię wybuchów. Znowu strzelają. Pies jest przerażony. Usiadłam na łóżku, podkuliłam nogi i przykryłam się kocem. Byłam potwornie zmęczona. Nie chcę schodzić na dół. Boże, chroń mnie! Pies już zbiegł. Jego instynkt samozachowawczy był silniejszy. Boże, chcę uciec od tego wszystkiego. To dziwne,

że z jakiegoś powodu jest tak wielu niewierzących ludzi na świecie, ale kiedy pojawiają się problemy, wszyscy pamiętamy o Bogu.

Włączam po cichu piosenkę, żeby trochę odwrócić moją uwagę. W Polsce był koncert na cześć Ukraińców, napisała do mnie moja przyjaciółka, Monika. Inni nas tam wspierają. A ja jestem tu, nic nie mogę zrobić. Martwiła się o mnie. Ja jestem tutaj. Wszystkie moje myśli zmieniły się diametralnie. Nie pozwolę sobie na płacz, muszę być silna, nie teraz, nie. Próbuję stłumić łzy. Udaje mi się. Monika jest w Warszawie, a ja jestem tutaj. Dzieli nas tylko jedna granica, tylko jedna kreska na mapie. Ale ja, tutaj, mogę umrzeć.

Chcę spać. Kładę się i naciągam na siebie koc tak, że tylko nos mi wystaje. Kiedy byłam dzieckiem, wydawało mi się, że koc uratuje mnie przed wszystkim. Może teraz będzie tak samo. Wtedy słyszę odgłosy eksplozji. Staram się nie wzdygać. Boże, czy miałam rację, zostając tutaj? Może powinnam była zejść na dół. Czy się dziś obudzę? Może to mój ostatni dzień na ziemi. A ja tak bardzo kocham życie. Jestem sama w tym pokoju jak samotna perła w całym oceanie. W nocy jest gorzej, bo przychodzą różne myśli, których człowiek stara się nie słyszeć w ciągu dnia. Jeśli mam Anioła Stróża, to niech się pojawi, bo kiedy indziej, jak nie teraz?

Jaką wartość ma życie? Dla kogoś, kto znajduje się na krawędzi życia i śmierci, jest bezcenne. Dla kogoś, kto po prostu żyje – jego wartość nie jest zbyt duża. Czy byłam dobrym człowiekiem? Czy żyłam przyzwoicie przez te 22 lata? Wiem, że nic nie trwa wiecznie. Co na nas czeka w przyszłości?

Zastanawiam się, jak rakieta wybiera swój cel. Wybiera przypadkowo, w kogo uderzyć? Jakie schematy ma to losowanie? Mam nadzieję, że nie jestem na tej strasznej liście.

Czuję się głodna. Jedzenie znika z miasta. Rosjanie nie pozwalają zaopatrywać w żywność Chersonia. Mamy dom pełen dzieci i dorosłych, martwię się, czy dla wszystkich wystarczy. Moja mama ciągle płacze i nie wychodzi z piwnicy. Mam dwóch młodszych braci, więc muszę wziąć na siebie

odpowiedzialność. Nie gotuję wystarczająco dużo, by wystarczyło dla wszystkich. Mój pies też potrzebuje jedzenia.

Tata jest dzielny. Jeździł dziś przez trzy godziny w poszukiwaniu jedzenia w mieście. To było takie miłe, gdy znalazł w sklepie ciastka dla dzieci. Trzeba oszczędzać jedzenie. Kiedy jesteś zestresowana, nie masz ochoty na jedzenie, ale w nocy twoje ciało mówi ci, że jest głodne.

Boże, trzymam się cały dzień, aby wspierać moją matkę, aby pokazać moim braciom, że jestem z nimi i że są bezpieczni. Jestem silna, poradzę sobie. Ale mam psa i tylko on widzi, jak bardzo jestem zdezorientowana. Powinam się teraz zakochać i spotykać z chłopakiem, a ja myślę o tym, jak znaleźć jedzenie. Nie o tym marzyłam, pijąc szampana i składając sobie życzenia w Sylwestra. To długa noc, wiele zbłąkanych myśli. Damir, mój brat, ma 4 lata, jest jeszcze taki mały.

Mój dom zamienił się w fortecę, a ja stałam się silną kobietą. Eksplozje ustępują. Teraz mogę iść spać. Jutro jest nowy dzień. Oddycham. Dopóki oddycham, mogę zmienić wszystko, ponieważ żyję!

19 kwietnia i następny dzień

Tata powiedział, że muszę wrócić i skończyć studia w Warszawie. To straszne. Jak mam ich tu zostawić samych? Powiedziałam, że nigdzie się nie wybieram. Rosjanie planowali referendum, więc mieszkańcy zaczęli opuszczać miasto na własne ryzyko, będąc pod ostrzałem. Po ustaleniach ze znajomym, o 8 wieczorem tata kazał mi się spakować, bo o 5 rano miałam wyjechać.

Czasami ludzie przychodzili do nas, aby spędzić noc i wyjechać rano. Kiedy się z nimi żegnałam, myślałam: „Czy im się uda, czy nie zostaną zabici?”. A teraz sama stoję w obliczu niebezpieczeństwa. Mój średni brat bardzo się martwi.

Wsiadłam do samochodu i zobaczyłam moją mamę i tatę stojących przy zbombardowanym budynku i odprowadzających mnie w daleką drogę. Mama płakała. Ja też zaczęłam płakać. Patrzyłam na nich, aż stali się małymi plamkami.

Widziałam żołnierzy, zbombardowane pojazdy, widziałam ból i rozpacz w oczach ludzi. Nikt nie wiedział, dokąd jedziemy. Nikt nie wiedział. Przed nami było osiem rosyjskich punktów kontrolnych. Jechaliśmy przed siebie, a przed oczami zobaczyłam moich rodziców i psa w ramionach taty. „O Boże” – pomyślałam wtedy – „Czy uda mi się wyjść z tego cało?”

Pola były zaminowane, więc nie było możliwości skorzystania z toalety. Jazda po drogach była niebezpieczna. Toczyły się tam bitwy. Jechaliśmy przez wioski i miasteczka, czasem wyjeżdżaliśmy na drogę, która prowadziła przez pola. Zdarzały się drogi gruntowe, gliniane. Stary samochód często grzązał w błocie, nie chciał odpalić. Utknięcie w polu mogło oznaczać śmierć.

29 czerwca, wolontariat

Cóż za piękną planetę mamy – Ziemię. Jest na niej tak wiele wspaniałych miejsc, w których dusza czuje się dobrze. Nie wyobrażam sobie siebie w innym mieście*. I spaceruję boso, kiedy na swoich stopach czujesz oddech planety.

Kiedy przyjechałam do Polski, nie mogłam siedzieć bezczynnie. Zaczęłam działać jako wolontariuszka, ale to mi nie wystarczało. Moi rodzice wciąż byli pod okupacją, a ja nie wiedziałam, czego się spodziewać. Zdecydowałam się wyjechać na wolontariat do Makarowa, miejscowości niedaleko Buczy**. Tego, co tam zobaczyłam i czego doświadczyłam, nie da się opisać słowami. Zniszczone domy, mieszkania, sklepy. Wszyscy wolontariusze mieszkali w szkole. Została częściowo zniszczona, więc mieszkaliśmy w części, która przetrwała. Okna były popękane lub nie było ich wcale, spaliśmy na podłodze. Kiedy padało, woda spływała na podłogę. Nie

* Chodzi o Warszawę.

** Miasto położone na północno-zachodnich obrzeżach Kijowa. Podczas rosyjskiej inwazji na Ukrainę w lutym i marcu 2022 roku żołnierze Sił Zbrojnych Federacji Rosyjskiej dokonali zbrodni na ludności cywilnej Buczy, mordując ponad 400 osób.

dbałam o to. Chciałam pomóc, aby zapomnieć o wszystkim, co widziałam.

Ciężko pracowaliśmy. Byli też obcokrajowcy: mężczyźni z Czech i Ameryki. Nauczyłam się mieszać cement i kłaść go na ściany, szpachlować i robić szalunki. Czas mijał, pracowaliśmy i nieśliśmy dobro. Miejscowi opowiadali nam o swoich doświadczeniach, o tym, że Rosjanie strzelali tylko dlatego, że jeden dom był żółty, a drugi niebieski. Przypominało im to flagę Ukrainy. To ich złościło. Strzelali z czołgu. Nie można było wchodzić w trawę. Wszystkie pola były zaminowane. Moja piękna ziemia. Teraz niebezpiecznie jest chodzić bosy. Jedziesz autostradą i widzisz spalone sklepy i firmy. Tak teraz wygląda Kijowszczyzna. Z powodu Rosjan cierpieliśmy przez prawie całą historię naszego narodu.

Zasypiam i słyszę wiatr wyjący przez rozbite okno. Dzięki temu łatwiej usłyszeć ptaki. Patrzą na innych wolontariuszy. Są to również osoby, które przeszły traumę. Niektórzy większą, inni – mniejszą. Jesteśmy dobrymi ludźmi, ale się boimy. Naród, który boi się głośnych dźwięków. To przypomina nam o naszych doświadczeniach. Nawet po pracy z psychologiem nadal boję się głośnych dźwięków. Zwłaszcza gdy samochód jedzie bez tłumika. To najgorsza rzecz dla kogoś takiego jak ja, gdy mieszka w dużym mieście.

Październik 2022, widzę moich rodziców po raz pierwszy od czasu okupacji

Właśnie wracam. Chcę zobaczyć moje stopy. W pociągu znów śniłam o mojej ziemi ojczystej. Oto ja, mój pies, pole. Poszliśmy pobiegać. Uwielbiałam to robić. Słońce właśnie wschodziło, złocista trawa nabierała jeszcze bardziej wyrazistego koloru. Powietrze jest czyste i wilgotne.

„Jacy będą moi rodzice? Czy okupacja ich zmieniła?” – pytam siebie. Wyjeżdżam z Warszawy, ale wiem na pewno, że moi rodzice nie wrócą ze mną. Czy przeżyję, czy wrócę? Takie myśli nachodzą każdego, kto wjeżdża do Ukrainy. Wracasz, by zobaczyć bliskich, ale niebezpieczeństwo jest cały

czas dookoła ciebie. Widzę dużo ludzi na ulicy. Przechodzą obok. Czuję smutek w powietrzu, choć naród dalej walczy i jeszcze bardziej docenia Ukrainę. Nie wiem, jacy będziemy za rok. Kiedyś można było szybko dolecieć tutaj samolotem. Teraz nie ma takich udogodnień. Podróż trwa cały dzień. Ciało boli, ale chęć zobaczenia rodziny jest silniejsza.

Jestem w Odessie. Tymczasowo mieszka tutaj moja rodzina. To nadmorskie miasto jest ich schronieniem. Wysiadam z pociągu. Moi rodzice i mój ukochany pies, który teraz mieszka z nimi, spotykają mnie na dworcu. Mam nadzieję, że pewnego dnia będę mogła zabrać go z powrotem. Liże mnie i biega dookoła. Mama się uśmiecha, ale widzę, że jej oczy są pełne smutku. Codziennie plecie sieci maskujące, chodzi na wolontariat. Wciąż nie doszła do siebie. Wracam do domu. Dom nie pachnie już świeżym chlebem, teraz jest to małe mieszkanie na piątym piętrze. Nie mam własnego pokoju. Tata próbował jakoś ubarwić rzeczywistość i kupił mi pyszne jedzenie. Patrząc na to wszystko, straciłam apetyt. „Moja rodzinno, mój narodzie, co się teraz z nami stanie?” – grzmiało w mojej głowie.

Terazniejszość, Warszawa

A co teraz?

Teraz staram się żyć dalej. Życie leci, więc tylko tyle mi pozostało. Czasami idę pobiegać i biegnę szybko. Biegnę tak daleko, jak tylko mogę. I to pomaga. Nie chcę być ofiarą. Chcę, aby ludzie wiedzieli, że wojna trwa, a oni robią coś, aby to powstrzymać, a nie tylko opłakiwać. Wierzę, że czeka nas wspaniała przyszłość, wierzę w światło. Wierzę też, że dobro zwycięży. Chcę, żeby tak się stało. Chcę, aby cały świat zjednoczył się i stworzył świetlaną historię. Kto jak nie my? Wszyscy razem jesteśmy wielką energią. Istniejemy. Jesteśmy widoczni i zrobimy wszystko.

Nie powinniśmy zapominać o tym, co się stało, ale musimy iść naprzód. Ja, na przykład, biegnę.

Zakładam buty do biegania, słuchawki, włączam muzykę i biegnę ulicami Warszawy. Być może pewnego dnia zobaczysz mnie, biegnącą dziewczynę z Chersonia, która nie poddała się i nadal biegnie. Widzisz, biegnę!

VALERIJA SHAKHUNOVA – urodziła się w Chersoniu. Jest marketingowcem. Od dzieciństwa morze uczyło ją życzliwości – sprawia, że chce nieść ludziom światło. Uważa, że nie ma nic lepszego niż spokojny, zrównoważony szum wody u stóp. Wierzy, że dobro zawsze zwycięża zło – to tylko kwestia czasu.

OLJA TAJTRA

Pamiętnik wolontariuszki

Tekst oryginalnie napisany w języku ukraińskim.

Praca nadesłana pod pseudonimem.

Tłumaczenie: Antonina Ciużeńska.

Przedmowa

Bohaterka „Pamiętnika wolontariuszki” to literacki zbiorowy wizerunek wszystkich ukraińskich uchodźczyń, które po przyjeździe do bezpiecznej Polski od razu zapragnęły być pomocne. To kobiety, które ratowały dzieci, ratowały siebie, dokonywały najtrudniejszych wyborów w swoim życiu: zostać z bliskimi czy wyjechać do obcego, ale bezpiecznego kraju? To dziewczyny i kobiety, które zaczęły robić rzeczy, których nigdy wcześniej nie robiły – segregować leki, udzielać pomocy psychologicznej, gotować dla setek ludzi, opiekować się cudzymi dziećmi.

Przeżyj te 9 miesięcy od początku wojny razem z bohaterką „Pamiętnika wolontariuszki”. Postaraj się zrozumieć, jakie traumy wojna pozostawiła w psychice Ukraińców, lecząc zagubioną duszę i szukając wytchnienia miesiąc po miesiącu razem z wolontariuszką. Nie dowiesz się o niej zbyt wiele, ale dzięki temu w twojej wyobraźni utworzy się zbiorowy obraz. Wszystkie wydarzenia, miejsca, opowieści o doświadczeniach w pracy są prawdziwe. Zmieniono jedynie imiona niektórych postaci.

Luty. Lwów

*„U mene nemaje domu” („Nie mam domu”) –
Odyn w kanoe (Sam w kajaku)*

Prowadzę dzienniki, odkąd skończyłam 17 lat. To mój ósmy. I najtrudniejszy. Musi mnie uzdrowić, bo inaczej się załamie, zwariuję i „strawię od środka”. Tak powiedziała moja psychoterapeutka Olena. Musiałam zapisywać wszystko, co widziałam, słyszałam, czułam, rozumiałam. Dla siebie, dla moich dzieci, dla każdego, kto chce czytać. Każdy miesiąc, który spędzam poza Ukrainą, kojarzy mi się z miastem, w którym w tym czasie miały miejsce ważne, smutne, radosne lub przerażające wydarzenia. Podobnie jest z muzyką – towarzyszy mi podczas pisania, daje inspirację, rezonuje z moimi myślami i nastrojem. Tak więc to ten czas, zaczynam.

24 lutego. Dzień długi jak miesiąc. Przepraszam, nie chcę pisać zbyt wiele o tym, co czułam, gdy zaczęła się wojna. To za bardzo boli. Zapiszę tu tylko kilka szczegółów, ok? Ukraina, Lwów. 24 lutego, godzina 6.30. Pierwszy dźwięk syreny przeciwlotniczej, pierwsze newsy: „Wojna”. Piwnica, wybuchy, wiadomości, telefony od rodziny, płaczące dzieci, trudna decyzja o wyjeździe do Polski. Spakowałam ubrania na trzy dni, bo jak wojna w XXI wieku może trwać dłużej? To jakieś nieporozumienie. Jak można bombardować cywilów? Czy świat może na to pozwolić? Kolejki na granicy, przepuszczają z małymi dziećmi. Hotel gdzieś przy granicy, nieprzespana noc, a rano – dobra wiadomość – możemy zatrzymać się w Rzeszowie, w mieszkaniu Ukraińców, z którymi nigdy się nie spotkaliśmy i jesteśmy tylko znajomymi na portalach społecznościowych. Cuda się zdarzają, zgadzacie się? Wtedy już wiem, że wydarzy się wiele cudów, a czarodziejami będą zwykli ludzie – Ukraińcy, Polacy, Niemcy, Brytyjczycy i inni. Wszyscy zjednoczeni przeciwko złu, po stronie światła i zwycięstwa.

Tak znalazłam się w Polsce. Dwa dni po wybuchu wojny rozpoczęłam swoją wolontariacką podróż, która trwa do dziś.

Zachodnia Ukraina. Mieszkańcy z zachodu byli pierwszymi, którzy uciekli przed wojną i pierwszymi, którzy dotarli do granic. Teraz wiemy, że to jeden z najbezpieczniejszych regionów

kraju. Ale wtedy Łuck, Iwano-Frankowsk i Lwów* też słyszały eksplozje. Ukraińcy podróżowali pociągami, autobusami, samochodami do bezpiecznej granicy, aby uciec od wyjących syren i wybuchów. Polska przyjęła wszystkich, nie zamknęła drzwi przed ani jednym przestraszonym Ukraińcem, troszczyła się, ogrzewała i dawała schronienie wszystkim. Niesamowity kraj, niesamowici ludzie!

Już w pierwszych dniach wojny na małym dworcu w Rzeszowie było tak tłoczno, że nie było czym oddychać. Ukraińców jest tak dużo, że siedzą na podłodze, pomiędzy rzędami krzesel. Dzieci... Dzieci. Dzieci w każdym wieku – od trzydniowych niemowląt po prawie pełnoletnie. Polskich wolontariuszy jest tylu, że są podzieleni na cztery zmiany. Ja trafiłam do „kuchni” – dawnego kiosku z prasą w rogu poczekalni. Razem z Magdą, Olą i Beatą karmimy moich rodaków. Co pół godziny przychodzą do nas rzeszowscy restauratorzy i przynoszą jedzenie – proste i wyszukane dania, takie jak placki, lasagne, focaccia. Moja koleżanka Magda jest właścicielką salonu kosmetycznego. Wzięła tydzień urlopu na wolontariat, jej piękne paznokcie przecinają gumowe rękawiczki podczas składania kanapek. W końcu idzie do toalety. Wraca bez paznokci. Nabiera żurek dużą łyżką i dodaje pół jajka. Moja rola sprowadza się do tłumaczenia – ledwo nadążam pytać moich rodaków, co chcą zjeść:

– Żurek, bigos, lasagne, zupa pomidorowa, placki? Kawa, herbata, kakao, mleko dla niemowląt?

Po czterech godzinach czuję, że nie dam już rady, że muszę odpocząć. Idę do toalety odciągnąć mleko. Na korytarzu łapię dwunastomiesięczne dziecko wyslizgujące się z ramion matki. Włącza się instynkt macierzyński. Razem z personelem medycznym zabieramy półprzytomną matkę do centrum medycznego, a ja niosę dziecko.

– Staliśmy na granicy przez dwa dni – mówi Oksana z Iwano-Frankowska. Pierwszego dnia wojny Rosjanie uderzyli rakieta w lokalne lotnisko. Jej dom znajduje się kilkaset metrów dalej. Następnego dnia wraz z dzieckiem pojechała do Polski. Na granicę odwiózł ją mąż. Spędzili dwa dni w kolejce.

* Miasta położone w zachodniej Ukrainie.

– Po prostu nie spałam, bo kolejka przesuwiała się o metr co trzy godziny, musiałam czuwać i podjeżdżać. Moja córka krzyczała w foteliku samochodowym, a oni nie chcieli nas przepuścić, ponieważ przede mną były kobiety z dziećmi, takie jak ja. Dobrze, że karmiłam piersią, bo nie było jak przygotować dziecku czegoś ciepłego.

Wolontariusze zabrali ich taksówką do prywatnego mieszkania, w którym mogli się przespać i umyć. Dzwonię do siostry – mój syn już potrzebuje mamy i chce jeść. Pomagam kolejne pół godziny i idę do tymczasowego domu.

Marzec. Mariupol

„Czy ty poczuw for Mariupol” („Czy słyszałeś for Mariupol”) – Druha Rika feat ECHO

Wojna trwa nadal. Nie ma żadnych porozumień. Kijów jest bombardowany, Charków* jest bombardowany, miasta i wsie są bombardowane. Jest tylko gniew, sam gniew. Mam wrażenie, że już nigdy nie poczuję radości. Ta emocja jest martwa. Tylko dzieci, moje dzieci, sprawiają, że mimowolnie się uśmiecham. „Mariupol** jest w tej chwili najgorszym miejscem na ziemi” – powiedział prezydent Wołodymyr Zełenski. Rosjanie zrzucili bombę na teatr dramatyczny, w którym w piwnicy ukrywali się dorośli i dzieci. Pod gruzami budynku zginęły setki ludzi. Jak długo jeszcze potrwa, zanim nasz kraj otrzyma pomoc wojskową ze świata i będzie w stanie się bronić?

– Wkrótce żołnierze NATO będą uczyć się od Ukraińców, jak walczyć – śmieje się Wojtek. Nasza armia okazuje się najlepsza w walkach z okupantami. Wojtek z Rzeszowa pozwolił nam zostać przez dwa miesiące w mieszkaniu, które wynajmował

* Miasto położone w północno-wschodniej części Ukrainy. W trakcie rosyjskiej inwazji na Ukrainę, między lutym a majem 2022 roku o miasto toczyły się krwawe walki, Rosjanie ostrzeliwali ludność cywilną używając amunicji kasetowej.

** Miasto położone we wschodniej części Ukrainy, w obwodzie donieckim, nad Morzem Azowskim. Oblegane przez siły rosyjskie od lutego do maja 2022, w znacznym stopniu zniszczone. Okupowane przez Rosjan od maja 2022 roku, we wrześniu bezprawnie anektowane przez Rosję.

wcześniej naszym ukraińskim przyjaciółom. Oni w tym czasie byli na wakacjach w ciepłych krajach. Przywiózł też nosidełko. Wieczorem nasze mieszkanie wyglądało jak magazyn humanitarny. Bardzo miła para młodych Polaków, Ola i Michał, którzy byli jednymi z pierwszych wolontariuszy w Rzeszowie, przynosili ubrania damskie i dziecięce, środki higieniczne i gotowali specjalnie dla nas narodowe potrawy. To było bardzo potrzebne wsparcie, bo moje jedyne ubranie – ciepły, polarowy dres – nie był w stanie wyschnąć przez noc. Nawet nie myślałam o kupnie nowych ubrań. Z powodu niepewnego jutra bałam się wydać chociaż grosz na cokolwiek poza jedzeniem. Przykro było patrzeć, jak moja córka wybiera starannie poskładane używane ubranka dziecięce podarowane nam przez Polaków. Dziś udało nam się odebrać i wysłać pierwszą paczkę do krewnego wojskowego: dwadzieścia śpiworów, maty, termosy, jedzenie, lekarstwa.

Przez kilka dni pracowałam jako wolontariuszka na granicy. Rano robiłam kanapki dla przybyszów i przygotowywałam termosy z herbatą i kawą. W pierwszym tygodniu wojny granicę przekroczyły dziesiątki tysięcy kobiet i dzieci. Większość z nich przekroczyła granicę na przejściu Szeginie-Medyka. Właśnie tam się udałam. Zadaniem wolontariuszy było spotkanie uchodźców, ogrzanie ich, nakarmienie i pomoc z bagażem. W pewnym momencie wydawało mi się, że polskich wolontariuszy jest więcej niż potrzebujących. Trzymałam tabliczkę z napisem „Do Rzeszowa”, a obok mnie byli podobni Polacy, Czesi, Austriacy, Chorwaci i Niemcy z ręcznie wykonanymi tabliczkami, jak się wydaje, z całej Europy.

Podnoszę torby pięknej kobiety w futrze z norek. Pod jej ramieniem znajdują się dwa psy jakiejś karłowatej rasy. Do jej ramienia przywiązany jest kolorowy materiałowy pas. Drugi koniec tego pasa opłata ramię pięcioletniej dziewczynki. Do torby przywiązany jest kolejny pakunek. Zawiera zwłoki trzeciego psa. Został zdeptany w kolejce.

– Wujkowie i ciocie zdeptali Sama. Ale moja mama powiedziała, że zabierzemy go do polskich lekarzy, którzy dadzą mu zastrzyk, i Sam wróci do życia – wyjaśnia dziewczynka, gdy

niesiemy bagaże do autobusu do Niemiec. Kobieta pyta, co powinna zrobić ze zwłokami zwierzęcia. Nie znam odpowiedzi.

Wracałam do domu zatłoczonym samochodem z jakimś dzieckiem na rękach. Wszyscy pasażerowie usiedli i po prostu zasnęli. Stali w kolejce przez dwa dni.

Kwiecień. Bucza

„Czuty hymn” („Słysząc hymn”) – Skofk

„Ukraińskie wojska wkroczyły do miasta Bucza* pierwszego kwietnia. Zwłoki cywilów leżały na ulicach przez wiele tygodni w trakcie rosyjskiej okupacji. W piwnicach znaleziono zamordowanych mężczyzn, kobiety i dzieci, zwłoki ze związanymi rękami i ciała martwych nagich kobiet. Znaleziono pierwszy masowy grób, w którym pochowano 280 osób. Badanie ciał ujawniło ślady tortur: odcięte uszy i wyrwane zęby. Zginęło ponad 420 osób” – zachowam ten artykuł z „The New York Times”. Teraz Wikipedia ma miejsce dla mojego biednego kraju w zestawieniu krwawych zbrodni przeciwko ludzkości: ludobójstwa w Srebrenicy, mordu w Katyniu, masakry w Deir Yassin w Palestynie.

Kiedy Polacy słyszą słowa „Bucza”, „Borodianka”**, „Irpień***”, są przerażeni. Jakby widzieli Śmierć z kosą. A Ukraińcy mają w sobie złość, nienawiść, chęć zemsty. Wolontariuszka, którą znam, powiedziała, że po obejrzeniu wiadomości spędziła pół godziny w toalecie i wymiotowała cały obiad. Szczególnie

* Miasto położone w centralno-północnej Ukrainie, w obwodzie kijowskim. W lutym i marcu 2022 roku Bucza znalazła się pod rosyjską okupacją. W jej trakcie żołnierze Sił Zbrojnych Federacji Rosyjskiej dokonali zbrodni na ludności cywilnej, mordując ponad 400 osób.

** Miejscowość położona na zachód od Kijowa. Intensywnie bombardowana przez Rosjan po 24 lutego 2022 roku.

*** Miasto położone w na północny zachód do Kijowa. Podczas rosyjskiej inwazji na Ukrainę w lutym i marcu 2022 roku o Irpień toczyły się zaciekle walki między wojskami rosyjskimi, a ukraińskimi. Ostatecznie miasto zostało wyzwolone przez siły ukraińskie 28 marca 2022 roku. Podczas okupacji miejscowości przez Siły Zbrojne Federacji Rosyjskiej żołnierze rosyjscy dopuścili się licznych zbrodni wojennych na miejscowej ludności cywilnej.

wstrząsnęła nią kobieta zastrzelona na ulicy w Buczy w futrze włożonym na nagie ciało.

Pomogłam siedemnastoletniemu Stepanowi, jego matce Nadii i ich pięciu kotom znaleźć tymczasowe zakwaterowanie. Byli pod okupacją w Irpieniu przez dwa tygodnie. Stepan pokazał mi zdjęcie ich podwórka. Tam, na dziedzińcu pięciopiętrowego budynku, Rosjanie ukrywali sześć czołgów. Ustawili ludzką tarczę, aby Ukraińcy do nich nie strzelali.

– Kiedy weszli do miasta, przeszukali nasze mieszkania. Ludzie Kadyrowa przyszedli do naszego domu. Zaczęli zadawać mi pytania: ile mam lat, czy służyłem w obronie terytorialnej, który z moich sąsiadów jest żołnierzem. Moja matka powiedziała, że jestem uczniem. Poradzono nam, żebyśmy zostali w piwnicy i nie wychylali nosa na zewnątrz. A jak mieliśmy iść do piwnicy, jeśli tam znosili ciała zabitych z naszego bloku? – mówi Stepan.

Stepan, jego matka i koty wyjechali tydzień przed opuszczeniem miasta przez okupantów w „geście dobrej woli”. Podróżowali z Polski do Wielkiej Brytanii w ramach programu pomocy Ukraińcom. Wymieniliśmy się z nimi kontaktami i poprosiliśmy, by informowali nas na bieżąco o swoim losie.

Ludzie podróżują z okupowanego Chersonia* przez Krym, Rosję, a następnie do Europy. Kobieta i jej mąż przeszli przez obozy filtracyjne. Zostali zabrani do namiotu i zmuszeni do rozebrania się. Szukali tatuaży z symbolami nacjonalistycznymi. – Zaglądali mi nawet pod włosy w intymne miejsca – powiedziała. Moja przyjaciółka, Dasza, zdołała zabrać swoją matkę i siostrę z Melitopola**. Bezpiecznie minęły dziewięćnaście rosyjskich punktów kontrolnych. Ktoś poradził im, aby dokładnie wyczyścić pamięć w telefonach i nabyć karton papierosów, który dadzą żołnierzom, żeby ich przepuścili.

Och, Chersoń... Jak się mają wujek Sasza i jego syn Sasza? Mówili tylko po ukraińsku, byli tylko za Ukrainą... Co z nimi?

* Miasto leżące na południu Ukrainy nad Dnieprem. Między marcem a listopadem 2022 roku znajdowało się pod okupacją rosyjską.

** Miasto położone w południowo-wschodniej części Ukrainy, nad rzeką Mołoczna (uchodzi do Morza Azowskiego), od marca 2022 pod okupacją rosyjską.

Od dawna nie są aktywni w mediach społecznościowych, ich telefony nie odpowiadają...

Wysłaliśmy Irę z trójką dzieci, teściową, która nie może chodzić, i jej chorym na raka mężem do tymczasowego ośrodka dla uchodźców. Kiedy jechaliśmy minibusem, pokazała nam zdjęcie swojego mieszkania w Buczy, które zostało zniszczone przez czołg. Nie płakała, tylko powtarzała kilka razy:

– Widzicie. Tu były łóżka dla dzieci. Widzicie? Patrz, a tu było moje biuro. Widzisz?

To spokojne „wiesz” utkwilo mi w pamięci na kilka dni.

Maj. Kijów

„Kwiaty minnych zon” („Kwiaty pól minowych”) – Okean Elza

Pracuję jako psycholożka-wolontariuszka w ośrodku tymczasowego zakwaterowania dla uchodźców z Ukrainy. Powiedzia-łam kierownicze ośrodka, Monice, że z wykształcenia jestem psycholożką i mam już na tyle sił, by pomagać innym. Każdego dnia przyjeżdża i wyjeżdża od dwudziestu do trzystu Ukraińców. Niektórzy zostają tygodniami, bo nie mają dokąd pójść albo czekają na rodzinę. Przychodzę na kilka godzin i udzielam pierwszej pomocy każdemu, kto jej potrzebuje.

Razem z nieletnim Myrosławem czekaliśmy na telefon od jego matki. Udało mu się opuścić okupowany Mariupol. Jego mamie – niestety nie. Nie chciała opuszczać mieszkania i bała się. Ale jemu i sąsiadom udało się uciec na terytorium kontrolowane przez Ukraińców „drogą śmierci”, która była pod ostrzałem z obu stron przez wszelkiego rodzaju artylerię. Z tym samym sąsiadem pojechał do Polski, by czekać na matkę. Nie było żadnej łączności – okupanci zablokowali całą komunikację z Mariupolem.

– Dwa razy w tygodniu musiałem chodzić po wodę do hydrantu. Schodziłem z naszego trzeciego piętra i szedłem przez podwórka do hydrantu. Pewnego dnia naliczyłem na ulicy cztery trupy. Mama zabroniła mi się do nich zbliżać, mogły być zaminowane. Nasze bezpieczne psy zrobiły się niesamowicie tłuste; zjadały martwych – mówi Myrosław podczas konsultacji.

Kiedy z nim rozmawiam, trzymam się. W nocy – płaczę. Nie jestem gotowa, mój umysł tego nie pojmuję, jestem tylko psychologiem rodzinnym z niewielkim doświadczeniem! Nie jestem gotowa. Nie wiem, jak pomagać ludziom takim jak Myrosław! Rano słucham wykładów izraelskiego psychoterapeuty o traumie wojennej i jej wpływie na psychikę dzieci. Boże, daj mi siłę. Jestem tam jedyną psycholożką, która rozumie i mówi po ukraińsku. Oni po prostu nie mają do kogo się zwrócić! Pomóż mi znaleźć siłę, aby złagodzić ich ból i dzielić ich cierpienie!

Czerwiec. Charków

„Ne zabudem i ne probaczym” („Nie zapomnimy i nie wybaczymy”) – Skofka

Pełnię nocny dyżur na dworcu PKP w Rzeszowie. Na niewygodnych krzesłach babcia bawi się z jedenastoletnim wnukiem i półtoraroczną dziewczynką. Pytam, czy nie potrzebują pomocy. Jadą z Charkowa do nadmorskiego Świnoujścia. Czemu tam? Jakiś mężczyzna w drodze do Rzeszowa powiedział, że tam bardzo dobrze traktują uchodźców, pomagają im z zakwaterowaniem i jedzeniem. Starsza pani płacze – tęskni za mężem i Charkowem. Opowiadam jej wszystko, co wiem o ich przyszłym przejściowym lokum: jakie piękne jest morze, jak mili są Polacy, jak dobrze im tam będzie. Utwierdzam ich w przekonaniu, że wszystko pójdzie dobrze, a dzieci zostaną przebadane i zaopiekowane. To ją uspokaja, po czym odprowadzam ich do pociągu. Nie sądziłam, że tę „mantrę” będę powtarzać setkom uchodźców przez wiele miesięcy.

Switłana z Łucka zaprosiła mnie do pomocy w segregacji darów w jednym z centrów humanitarnych w Rzeszowie. To dobrze, bo ogrom ludzkich tragedii mnie przepelnia, czuję, że zaraz eksploduję, przestaję dostrzegać różnicę między strachem a nienawiścią. Przez to napięcie zaczynam odczuwać ciągły ból głowy.

W ciągu dnia do magazynu przyjeżdża od dwóch do pięciu dużych ciężarówek z różnych krajów. Rozładowują je

mężczyźni. Ukraińskie i polskie kobiety sortują pomoc humanitarną – osobno żywność, buty, leki, środki higieny. Następnie z Rzeszowa są przewożone do centrum logistycznego we Lwowie, a stamtąd do różnych regionów Ukrainy.

– Holandia, Holandia przyjechała – oznajmia pan Tomek. Powinniśmy się przygotować. Mamy dwie godziny. Autobus Rzeszów-Lwów już czeka.

Segreguję jedzenie. Zatrzymuję się na chwilę. Słoik miodu z napisem po angielsku: „Pokonacie zło. Wierzymy w Was”. Ostrożnie pakuję również słoik.

Dziś wieczorem, po raz pierwszy od rozpoczęcia wojny, wymyśliłam anegdotę i opowiedziałam ją innym. Po dwóch tygodniach wolontariatu w magazynie sporządziłam ranking „Najbardziej niepotrzebnych rzeczy wysyłanych Ukraińcom”. Miejsce trzecie zajęła pasta do butów. Wyobrażam sobie, jak w przykładowym Mariupolu po prostu nie można wyjść z domu bez wypolerowanych butów. Płyn do wanny jest na drugim miejscu. Tak, to jest dokładnie to, czego potrzebujesz, gdy system wodociągów w twoim mieście został wysadzony w powietrze. Miejsce pierwsze – nie uwierzysz. Otrzymałam pudełko produktów do pielęgnacji brody z Francji. Tak, wosk do brody, lakier, farba. Bez komentarza. Śmialiśmy się przez długi czas. Chociaż to nie jest śmieszne. Zajmuje cenne miejsce w ciężarówkach i rozczarowuje ludzi czekających na produkty pierwszej potrzeby.

Lipiec. Białoruś

„Nie krzywdź bydła” – BRUTTO

Od początku wojny mój białoruski przyjaciel Wałerij wysyłał mi co miesiąc od stu do trzystu euro. Za jego pieniądze kupowałam ubrania, urządzenia optyczne, jedzenie i inne przydatne rzeczy dla Ukraińskich Sił Zbrojnych i wysyłałam je do Ukrainy. Wałerij często przepraszał. Nieustannie – za swój naród, który dwa lata temu „nie docisnął reżimu Łukaszenki”, za swoją bezradność. W końcu spotkaliśmy się w Warszawie. Po raz drugi w ciągu dwunastu czy trzynastu lat naszej znajomości.

Poznał moją rodzinę, a ja znów usłyszałam język białoruski. Byliśmy w pubie, w którym zbierają się Białorusini. Ci, którzy brali udział w protestach przeciwko sfałszowanym wyborom Łukaszenki na prezydenta w 2020 roku. Trudno mi powiedzieć, co do nich czuję. Pozwolili, aby z ich kraju zaatakowano nasz, pozwolili na wystrzelenie śmiertelnych pocisków w nasze domy. Czy czuję złość? Nie. Nienawiść? Nie. Rozczarowanie? Zdecydowanie tak. To mieszanka rozczarowania z odrobiną nadziei. Wciąż czekam, aż zrodzi się w nich ta odwaga, aby obalić swojego samozwańczego prezydenta. A co z „dobrymi Rosjanami”? Nie sądzę, żeby tacy istnieli. Nawet ci najlepsi usprawiedliwiają to, co jest dla nich korzystne. Są przeciwni wielkiej wojnie, ale cieszą się z okupacji Krymu, ponieważ został on zabrany „без единого выстрела”*. I nie robią nic, absolutnie nic, aby powstrzymać, sabotować lub odwrócić tę wojnę!

Walerij musiał po raz ostatni pojechać na Białoruś, aby odebrać swoje rzeczy. W Warszawie miał mieszkanie, świetną pracę i legalny pobyt. Dowiedziałam się, że w nocy został schwytany przez białoruskie służby. Prorządowe kanały odczo transmi-towały nagranie z zatrzymania na granicy Białorusina, który wspierał opozycję w Polsce i protestował przeciwko Łukaszence. Przed nim proces i lata spędzone w białoruskim więzieniu.

Będziemy na ciebie czekać, Walerij. Zaprosimy cię do naszego domu, do naszego wyzwolonego kraju. I twój kraj będzie wolny, pomożemy ci. Trzymaj się.

Sierpień. Znowu Lwów

„Dodomu” („Do domu”) – Kalush Orchestra

W końcu pracuję oficjalnie. Pracuję jako psycholog dla ukraińskich uchodźców pod auspicjami UNICEF. Po sześciu miesiącach wolontariatu w końcu udało mi się znaleźć takie zajęcie, które pozwoli mi połączyć wychowywanie dzieci z pracą. Miałam szczęście, że mogłam sobie pozwolić na tak długi wolontariat. Miałam oszczędności i małą pracę online. Widziałam, jak

* ros. „bez jednego wystrzału”.

z miesiąca na miesiąc topniały szeregi naszych wolontariuszy. Kobiety szły do pracy – w szklarniach, restauracjach czy przy sprzątanii – aby nakarmić swoje dzieci i wynająć mieszkania. Dzięki mojej pierwszej pensji mogłam kupić nowe ubrania dla siebie i dzieci. Moja córka idzie do pierwszej klasy i chcę, żeby dobrze wyglądała. Wcześniej nie było mnie na to stać. Wszystko, co mogłam, przekazywałam wojsku lub oszczędzałam na czarnej godzinę. Nie pozwalałam sobie na czytanie beletrystyki – tylko mądre książki, tylko samokształcenie, które przynosi korzyści. Nie wolno mi było podróżować. Jak możesz to robić, skoro twój kraj jest w stanie wojny, a ty jesteś bezpieczna i cieszysz się życiem? Zupełnie zapomniałam, że psycholog bez stabilnego wnętrza nie może pomóc nikomu. Wyżywałam się na moich dzieciach i mężu, nienawidziłam się za to.

Ale dom, mój dom... Byliśmy we Lwowie przez cały tydzień. Czy to naprawdę moje mieszkanie i moje życie? A to życie w Polsce: czy ono też jest moje? Może to brudnopis? Kiedy zostanie napisany scenariusz tego prawdziwego? Moje rozmyślania przerywały dźwięki syren obrony przeciwlotniczej. Sześć razy dziennie alarmowano o ataku raketowym. Każdy trwał od trzydziestu minut do dwóch godzin. Przez ponad pięć godzin dziennie Ukraińcy trwali w poczuciu strachu i nieuchronności. Ta trauma pozostanie z nami na zawsze. Wszystko jest jak sen – spotkania z rodziną i przyjaciółmi. A potem te chwile grozy, gdy syrena ostrzega przed atakiem raketowym, a ja jestem na drugim końcu miasta w gabinecie lekarskim. Dzieci zostały z nianią. Co, jeśli stanie się najgorsze? Wybiegłam z gabinetu i pędem pobiegłam do nich. Po raz kolejny zdałam sobie sprawę, że w obliczu trwającego zagrożenia nie jestem gotowa, żeby wrócić z nimi do domu.

Wrzesień. Region Donbasu

„Modlitwa”, Bartosz Szczęśny

– Dlaczego opuściłaś Lwów? Przecież tam jest bezpiecznie – pyta mnie w parku moja nowa znajoma, Beata. Nasze dzieci bawią się razem. Teraz już dobrze mówię po polsku i potrafię

odpowiadać na takie pytania. Wcześniej posługiwałam się tylko frazesami o bezpieczeństwie dzieci albo o tym, „że rakieta może uderzyć gdziekolwiek i kiedykolwiek”. Teraz zadaję pytanie, czy Beata kiedykolwiek była ze swoimi dziećmi w schronie przeciwbombowym. Albo po prostu na terytorium kraju ogarniętego wojną. Jeśli nie, to co ona wie o bezpieczeństwie w dowolnej części Ukrainy? I czy nie sądzi, że zadając te pytania, jeszcze bardziej krzywdzi ukraińskie kobiety, które każdego dnia rozważają za i przeciw w kwestii powrotu do swoich domów? A jeśli go nie mają, to przynajmniej do swojego miasta. A jeśli i to jest zajęte, to przynajmniej do własnego kraju.

Podzieliłam się z moją przyjaciółką, Agnieszką, przemyśleniem, że wydaje mi się, że Polacy postrzegają nas jako gości. Jak byśmy zatrzymali się zbyt długo – już czas wracać do domu. Zapewniła mnie, że tak nie jest, że nam współczują i nadal nas wspierają. Ale w mediach społecznościowych jest tyle nienawiści: „inflacja przez Ukraińców”, „niech negocjują i wszystko będzie jak dawniej”, „przyjechali, wszystko podrożało, nie ma pracy, nie ma darmowych mieszkań”. Antyukraińskie wiece w Warszawie. A w Czechach... Biedni, biedni Ukraińcy... Wszyscy mają nas dość. Zima idzie, pojawią się rachunki za gaz.

Dobrze, że mam dom, do którego mogę wrócić. Ale moje dziewczyny – czyli moje pacjentki, którym udzielam pomocy psychologicznej – nie. Według sąsiadów dom Oksany w Siewierodoniecku* został zajęty przez okupantów.

– Jedli z mojej ślubnej zastawy, spali na naszym łóżku, grzebali w moich rzeczach i wypróżniali się na moją podłogę. Już nigdy nie zobaczę naszego domu jako bezpiecznego lokum. Nie ma dla mnie powrotu.

Oksana nie wróci. Jej wybór jest ostateczny. Podobnie jak Nadia, której mąż jest kierowcą ciężarówki na europejskich trasach dalekobieżnych. Nikt nie czeka na nich w Ukrainie. Nawet ich kot i pies są z nimi. Podobnie mają Marta z Mariupola i Nadieżda z Buczy...

* Miasto położone we wschodniej części Ukrainy. Po rozpoczęciu agresji zbrojnej w lutym 2022 roku Rosjanie rozpoczęli ostrzał miasta. Infrastruktura społeczna i krytyczna Siewierodoniecka została prawie całkowicie zniszczona.

Październik

„*Ne widstupaty i ne zdawatysja*” („*Nie wycofuj się i nie poddawaj się*”) – *Skaj*

Obwód charkowski został wyzwolony i wszyscy jesteśmy nie-samowicie szczęśliwi. – Dlaczego Ukraina nie zbombarduje terytorium Rosji i Białorusi? – właściciel mieszkania, które wynajmujemy, lubi rozmawiać o polityce. Mówię mu o rosyjskiej doktrynie nuklearnej i o tym, że nasz kraj nie jest agresorem. Ukraina nie chce cudzej własności – broni własnej – i nie zabija cywilów. Przypominamy mu wszystkie historyczne porażki Rosji. Ale solidarność z Ukraińcami nie przeszkadza mu w znacznym podniesieniu czynszu. Rozumiem go.

Myślałam, że po Buczy nic mnie już nie zszokuje, ale myślałam się. Ukraińscy funkcjonariusze organów ścigania znaleźli na wyzwolonych terytoriach czterdzieści cztery miejsca, w których torturowano ludzi. Masowe groby z ludźmi zastrzelonymi lub ofiarami ataków raketowych, pochowanymi tuż obok ich domów. I cały stos wyrwanych złotych zębów w jednej z izb tortur. Dwa lata temu na wycieczce widziałam coś podobnego w obozie zagłady Auschwitz. I oni nas nazywają nazistami? Co siedzi w głowie Rosjanina z Republiki Tuwy? Co mogło go tak strauumatyzować w dzieciństwie lub młodości, że zdecydował, że może i ma prawo torturować inną żywą istotę: wrywać zęby, odcinać genitalia, torturować elektrowstrząsami, dusić plastikową torbą, wrywać paznokcie, wycinać tryzub na skórze? Przez co musiał przejść, by siać takie zło, mścić się w ten sposób? Jako psycholożka, jako osoba myśląca, jako chrześcijanka, nie znam odpowiedzi na te pytania.

Listopad. Chersoń

„*Секрет*” („*Sekret*”) – *Дрыга Пика (Друха Ріка)*

Och, Chersoń – mój wspaniały! Tyle radości i szczęścia, że znów jesteś z nami. W końcu jedyna siedziba obwodu zdobyta przez Rosjan została wyzwolona! Cały świat cieszy się z nami! Umieściłam zdjęcie arbuza, symbolu Chersonia, na

moim awatarze na Facebooku. Jednak po radości przychodzi smutek – każdego tygodnia w samym tylko Lwowie chowane są dziesiątki obrońców: młodych mężczyzn, którzy oddali życie za wyzwolenie tych terenów. Znałam wielu z nich. Mój przyjaciel służy na wschodzie i codziennie melduje mi, że żyje – daje mi „+”. Nie ma czasu, aby napisać więcej. Wracaj żywy, proszę!

Wraz z wyzwoleniem Chersonia przyszło moje „wyzwolenie”. Po raz pierwszy od dawna przestałam czuć się winna, że moja rodzina jest bezpieczna, że byliśmy jednymi z pierwszych, którzy wyjechali do Polski. Za to, że podjęłam taką decyzję. Za to, że żyję, że jestem zdrowa, że jesteśmy razem. Tak samo zniknęło poczucie winy wobec Polski. Początkowo było to przytłaczające uczucie wdzięczności za schronienie i bezpieczeństwo. Przerodziło się w poczucie winy i chęć odwdzięczenia się, udowodnienia, że nie jestem tu zbędna, że mogę się przydać. Te emocje zaczęły mnie wyniszczać, odbierając siły i radość. Aż do momentu, kiedy sobie odpuściłam. Dużo czasu zajęło mi wyleczenie się z psychicznej traumy wojny. Zaprzeczałam, złościłam się, rozpaczałam, szukałam odpowiedzi i przyczyn, winnych. W końcu wszystko zaakceptowałam i pogodziłam się.

Teraz jestem pełna sił, energii i chęci dzielenia się nią z potrzebującymi. A ten dziennik, mój psychologiczny doradca, pomógł mi w tym. Nadszedł więc czas, aby go zakończyć, spełnił swoją rolę w terapii, którą przeszedłam razem z nim.

Napiszę też o najważniejszych wydarzeniach, które miały miejsce w tym czasie. Polscy wolontariusze Ola i Michał wzięli ślub. Stepan i jego matka zostali wywiezieni do niewolniczej pracy w Wielkiej Brytanii. Zostali przewiezieni do fabryki i zabrano im paszporty. Udało im się zawiadomić policję, zostali uwolnieni i obecnie przebywają w Irlandii. Nic nie wiem o losie ich kotów. Białorusin Wałerij został skazany na półtora roku więzienia o zastrzonym rygorze. Ira, jej dzieci, mąż i teściowa wrócili do Buczy po czterech miesiącach spędzonych w Niemczech. Wysłała mi zdjęcie swojego wyremontowanego mieszkania. „Widzisz?” – napisała. Myrosław doczekał się przyjazdu matki z Mariupola. Przebywała w obozie dla uchodźców w Irlandii, wróciła do Polski i zamieszkali razem

w Warszawie. Z pomocą leków jego depresja ustąpiła. Jego psychiczna trauma wciąż jest w trakcie leczenia. Mieszkam, pracuję i jestem wolontariuszką. Wieczorami udzielam bezpłatnych porad psychologicznych naszym kobietom. Raz w tygodniu spotykamy się z dziewczynami, aby wspominać nasze dawne, „przedwojenne” życie. W tym roku święty Mikołaj odwiedzi moje dzieci dwukrotnie.

W liście do niego moja córka nie prosiła o zabawki. Były tam dwa punkty: zwycięstwo i powrót do domu.

PRACA ANONIMOWA

Powrót do siebie

Tekst oryginalnie napisany w języku ukraińskim.

Tłumaczenie: Antonina Ciużeńska.

Praca wyróżniona przez jury „Pamiętników Uchodźczych”.

Luty 2022

Obudziłam się o 5 rano, słysząc odgłosy eksplozji. Zaczęło się. Choć wczoraj wydawało się to nierealne. Podeszłam do okna... Druga eksplozja... Okna zadrżały. „Musimy odsunąć się od okien!” – przypomniałam sobie, co sąsiedzi, którzy mieszkali w Donbasie, mówili o sposobie zachowania i środkach ostrożności podczas eksplozji. Zadzwoiłam do przyjaciółki Wiktorii, która mieszkała na pierwszym piętrze naszego bloku, przez to z pewnością czuła się bardziej bezpiecznie. Poza tym jej narzeczony doskonale wiedział, co robić w takiej sytuacji. A ja – byłam wiecznie samotna i zagubiona...

Wika, na co bardzo liczyłam, zaprosiła mnie do siebie „natychmiast i ze wszystkimi walizami”. Wraz ze swoim narzeczonym wybierali się do cerkwi, a mnie zaproponowała, abym została z jej bratem – mogłam przeczekać u nich dzień, może nawet i noc. Ta perspektywa mi odpowiadała. „Prześpię się z Iwanem, jak w filmie «Nie patrz w górę». Ostatni seks w tej apokalipsie” – pomyślałam. „Dlaczego jestem taka samotna i nie mam planu B, którego bardzo potrzebowałam w tym momencie... Przecież zawsze jestem taka

przygotowana” – postanowiłam jeszcze raz poużalać się nad sobą za ten niespokojny poranek.

Zbliżał się wieczór, eksplozje nie ustawały. Iwan uspokajał mnie i zaproponował przejście do rzeczy. Wciąż się wahałam. Nagle zadzwoniła moja matka – chyba setny raz tego dnia. Staralam się być wyluzowana i udawałam, że wszystko jest w porządku. Tym niemniej uświadamiałam sobie, że pierścień wokół Kijowa stopniowo się zamyka... Zasnęłam w łóżku Wiki, mimo że Iwan powtarzał, że ostatni w życiu seks będzie tym najlepszym. „Na pewno jutro nie umrę... Nie tak... Moja śmierć nie powinna tak wyglądać...” – stwierdziłam, w jakiś sposób biorąc wreszcie życie w swoje ręce.

Rano wróciła Wiktoria z chłopakiem. W tym czasie biegałam w tę i z powrotem do mojego mieszkania na ósmym piętrze, żeby przygotować sobie obiad. Zeszłam do Iwana, bo bałam się jeść sama. Jestem kiepską kucharką, zwłaszcza kiedy jestem zestresowana. Tego dnia zadzwoniłam do siostry, która mieszkała z rodziną w pobliżu stacji metra Pałac Ukraina i szykowała się do powrotu do domu pociągiem ewakuacyjnym. „Nie musisz kupować biletów, przyjedź do nas i razem wrócimy do domu!” – powtarzała Kateryna, która zawsze zachowywała zimną krew, nawet w tak beznadziejnej sytuacji. Wciąż się wahałam – eksplozje nie ustawały, a z powodu korków, paniki mieszkańców i przyjezdnych z Borszczahiwky* nie było łatwo dostać się do Pałacu przez obwodnicę. Katia pojechała do domu, do rodziców w zachodniej Ukrainie. Zadzwoniłam do Oleksandry, chociaż intuicyjnie wiedziałam, że ona wraz z trójką dzieci już dawno wyjechała w rodzinne strony, również na zachodzie Ukrainy. Jak to się stało, że tak wielu z nas, Zakhidniaków, znalazło się w Kijowie? Co przyciągało nas tu tak mocno, co było tak atrakcyjnego w tym mieście?

Moje życie w stolicy było interesujące. Eksplorowanie jej dawało mi niesamowitą satysfakcję, ale kiedy wszystkie jej zakamarki zostały odkryte – stało się nudne. „Nie taką cenę chciałam zapłacić za zmiany!” – pomyślałam, dzwoniąc do

* Wieś na Ukrainie w rejonie buczańskim, położona bezpośrednio przy Kijowie.

Lesi. „Jestem w samochodzie, już wyjeżdżamy. Masz dziesięć minut” – usłyszałam.

Wiktoria – prawdziwa gospodyni – właśnie przygotowała obiad. Jedliśmy i modliliśmy się. I nagle dotarło do mnie, że może powinnam wrócić do domu z Lesią, zamiast być w centrum wydarzeń – poradzą sobie beze mnie...

Gdy zastanawiałam się, jak dołączyć do Lesi, która właśnie pędem przejeżdżała zatłoczoną drogą w pobliżu mojego osiedla, było już za późno, abym mogła dogonić ją w tym tłoku samochodów, który był nienaturalny nawet jak dla Kijowa. „Nie zatrzymuję się!” – Lesia krzyczała do telefonu, reagując nerwowo na wszystkie wskazówki narzeczonego Wiki w trakcie jego brawurowych przepychanek Range Roverem w ogromnym korku, kiedy próbował ją dogonić. Zdaliśmy sobie sprawę, że przy takim natężeniu ruchu Lesia nie miała szans zmienić pasa ze skrajnie lewego na skrajnie prawy. Dotarło do mnie, że będę musiała spędzić kolejną okropną noc w Kijowie.

Wysiadłam z samochodu z „kryzysową” walizką, czyli zwykłą torbą podróżną, w której były tylko dżinsy, bielizna i bluza. „Duch Kijowa” przeleciał nade mną, kierując się gdzieś w stronę Hostomla*. Wróciłam do swojego mieszkania. A wieczorem Wika zabrała mnie do kościoła protestanckiego, aby na zawsze rozwiać moje wątpliwości co do istnienia Boga, a ja spędziłam tam noc i następnie modliłam się przez trzy dni z rzędu...

Marzec 2022

Jestem już w Polsce. Z podziemi świątyni dostałam się na dworzec kolejowy w Kijowie, a potem pociągiem ewakuacyjnym do rodziców i do Warszawy. Jakże szybko można się zorganizować w stanie wyższej konieczności... Do domu zaprosił mnie Łukasz, którego raz w życiu spotkałam na konferencji we Lwowie, w której brałam udział jako osoba odpowiedzialna za stosunki międzynarodowe na mojej uczelni. Pamiętał mnie.

* Miasto położone na północ od Kijowa, z lotniskiem. O Hostomel toczyły się walki w początkowej fazie rosyjskiej agresji na Ukrainę w 2022 roku. Miasto zostało zajęte przez Rosję, a potem odbite przez Ukraińców.

Przy pierwszych informacjach, które pojawiły się w europejskich mediach, zadzwonił i zaprosił mnie do Warszawy. – Będzie mieszkanie i praca, nie martw się.

Nie martwiłam się. Martwiłam się tylko o rodziców, których zostawiłam w obwodzie rówieńskim*, bo wszędzie było niespokojnie i nie wiadomo było, gdzie tym razem pojawi się nieszczęście. Zostałam w domu tylko jeden dzień i wyjechałam do Polski.

– A jeśli się nie uda? – pytała moja matka, która nie ufała nikomu.

– Gorzej już nie będzie – stwierdziłam, wyruszając w nieznaną.

Przez pierwsze noce w domu Łukasza na drugim piętrze czułam się bezpiecznie. Jedyną rzeczą, która sprawiała, że się budziłam, był dźwięk samolotów na pobliskim lotnisku. Moje poranki zaczynały się od łez z powodu wojny, którą widziałam na własne oczy, informacji z mediów i uporczywego strachu o przyszłość. Gdzie się podziało moje bez troskie życie w Kijowie? Przez ten czas, gdy mieszkalam w Warszawie jako uchodźczyni, uświadamiałam sobie, jak nie doceniałam swojego życia i jak tęskniłam za przeszłością... Niepokoiły mnie także wieści o kolegach, z którymi z jakiegoś powodu nie było kontaktu na komunikatorach, i krewnych, którzy szybko gromadzili amunicję na front. Czy tak łatwo jest stracić bliską osobę lub znajomego? Tego było za dużo!

Szef firmy, w której Łukasz mnie zatrudnił, osobiście odebrał mnie z dworca. „Najpierw Kijów, teraz Warszawa!” – pomyślałam, czując się, jakbym zaczynała wszystko od nowa. Coś w rodzaju *deja vu*. Po przyjrzeniu się mojej małej torbie i laptopowi, który zawsze zabierałam ze sobą, Krzysztof zabrał mnie na zakupy. Ja, niezależna i samodzielna, przyzwyczajona do dbania o samą siebie, zaopatrywania się w ubrania i inne rzeczy, myślałam, że zapadnę się pod ziemię. Ale przyszłość była nieznaną, więc przyjąłam ten gest dobroci i szczerze mu podziękowałam. Poczucie bycia nie tylko uchodźcą, ale

* Jeden z 24 obwodów Ukrainy, położony w jej zachodniej części, przy granicy z Białorusią. Stolicą obwodu jest Równie.

i osobą zależną, nie opuszczało mnie aż do momentu, w którym wyprowadziłam się z domu Łukasza do mieszkania jego rodziców (co za paradoks!), ale płacąc za czynsz. Wiktoria wysłała moje stylowe ubrania z kijowskiego mieszkania do rodziców. A mama przy pierwszej okazji przekazała je kurierem do Warszawy. Rówieńszczyzna jest tak blisko granicy... Zdałam sobie sprawę, że kijowskiego mieszkania, które przez długi czas było moim domem, nie zobaczę zbyt szybko.

Po zrobieniu *make up'u* i przebraniu się w moje ubrania, pojawiłam się na progu biura, w którym teraz pracowałam jako asystentka do spraw badań. Zaskoczone spojrzenia chłopaków, którzy współtworzyli mój nowy zespół, uświadomiły mi, że życie dostarcza trochę kolorów.

– Co za metamorfoza! – wykrzyknął Łukasz, który widział mnie dotychczas w szarych, spranych ubraniach z ośrodków pomocy dla uchodźców.

„Jestem na dobrej drodze...” – pomyślałam. I powiedziałam na głos:

– Tak zawsze wyglądam w pracy na uniwersytecie.

Uniwersytet Kijowski, na którym nadal pracowałam, przeszedł w tryb nauki zdalnej, a ja byłam rozdarta między dwiema pracami, ponieważ, jak się okazało, praca w firmie badawczej w Warszawie, do której tak uprzejmie zaprosili mnie moi nowi przyjaciele, potrzebowała mnie tak samo, jak ja potrzebowałam ich. Byłam więc zajęta i miałam mało czasu na złe myśli. Jedynie codzienne telefony do mamy rozpraszały mnie w ciągu pracy. To właśnie musiało się wydarzyć, żebym zaczęła codziennie dzwonić do mamy – wojna!

Kwiecień 2022

Nadal mieszkam w mieszkaniu rodziców Łukasza, ale teraz dzielę je z innymi lokatorami, również uchodźcami. Dla mnie, która większość młodości spędziła w akademiku lub w wynajętym mieszkaniu, a swoje własne mieszkanie kupiła w dojrzałym wieku, było to jak dziesięć kroków wstecz... Nie opuszczało mnie poczucie, że jestem uchodźczynią w obcym

mieszkań, dzieląc je z obcymi ludźmi. Ale zaczęłam spędzać dużo czasu w Łazienkach Królewskich niedaleko mojej tymczasowej kwatery. W trakcie tej mroźnej wiosny spacerowałam po nich codziennie. Samotność także mnie nie opuszczała. Mroźne powietrze prowokowało do nawracającego pytania: „Co ja tu robię? I co dalej?”. I to ciągle poczucie winy, że moja rodzina jest w niebezpieczeństwie, a ja nie mogę im pomóc. Podejmuję decyzję – muszę żyć dalej...

W moich ciągłych poszukiwaniach miejsc z pomocą humanitarną (co można traktować raczej jak *challenge*, a nie rzeczywistą potrzebę) poznałam Irynę ze Lwowa. Iryna jest w moim wieku i przyjechała z dwójką dzieci. Postanowiłyśmy podzielić się informacjami o dostępnej pomocy humanitarnej i razem udałyśmy się na poszukiwanie tych miejsc. Zawsze potrafiłam dogadać się z mieszkańcami Lwowa, zwłaszcza że mieszkałam we Lwowie piętnaście lat i uwielbiam to miasto i jego mieszkańców. Zawsze uważałam się za ukraińską patriotkę związaną z ruchem niepodległościowym zachodniej Ukrainy i byłam z tego faktu dumna. Tym niemniej nie przeszkadzało mi to mieć chłopaka z Ługańska...

Postanowiłyśmy z Iryną razem świętować Wielkanoc. Znalazłyśmy ukraińską cerkiew (co nie było trudne). Zrobiłam swój pierwszy koszyczek wielkanocny. Wszystkie poprzednie koszyczki zawsze przygotowywała moja mama i razem szliśmy poświęcić wielkanocne przysmaki całą rodziną. Teraz wydawało mi się to czymś z mojego poprzedniego życia... Ale starałam się o tym nie myśleć. W końcu były Święta! Poświęciliśmy święconkę i rozeszliśmy się do domu. Znowu samotność... „pustka”, jak mawiał mój lwowski szef, kiedy odchodziłam z pracy. „Jak tę pustkę wypełnić?”. W przeciwieństwie do tamtej, ta pustka łamała mi serce, chociaż wiedziałam, że nie ma drogi wstecz, ale wiedziałam też, że dalej będzie tylko gorzej.

Maj 2022

W tym okresie, wędrując po raz kolejny po Łazienkach Królewskich, postanowiłam zmienić swoje poczucie bycia

uchodźczynią, odwrócić je. Pewnego dnia, stojąc w długiej kolejce po PESEL, poznałam blogerkę Natalię z Charkowa*, która od dłuższego czasu mieszka w Polsce i podobnie jak inni Ukraińcy pomagała przybyszom w każdy możliwy sposób. Natalia wyszukiwała cenne informacje, dawała lokum u siebie, zajmowała PESEL-ową kolejkę dla kolejnych osób. Pomagała po prostu ludziom nie zwariować w tym chaosie. To właśnie w tej długiej kolejce spotkałam ludzi, dla których był to pierwszy w życiu wyjazd za granicę. To oni czuli się najbardziej zagubieni – nieznajomość języka, nowe otoczenie, przepisy, których trzeba przestrzegać, kolejki po pomoc humanitarną, w których trzeba stać. Najbardziej w tym chaosie szkoda było mi dzieci. Kiedy więc Natalia postanowiła zorganizować „imprezę” dla dzieci z Ukrainy i ich matek, natychmiast napisałam do niej na Instagramie i zaoferowałam pomoc. Pomoc innym odwraca uwagę od myśli o własnej niepewnej egzystencji w tej nowej sytuacji i w całym tak ulotnym życiu.

Impreza była udana, pomimo tego, że została zorganizowana przez Natalię i inne dziewczyny z Ukrainy w tempie ekspresowym. Stałam za barem, częstując dzieci lemoniadą, rozdawałam ciasta, zaglądając jednocześnie w oczy dzieci i kobiet. Nie było w nich radości, tylko zagubienie.

Czerwiec 2022

Mam ogromną ochotę pojechać do Ukrainy. Chcę zobaczyć się z rodzicami, pozalać sprawy finansowe w Kijowie i po prostu nacieszyć się ojczystą ziemią. W końcu nie jestem więźniem w obcym kraju, ale uchodźczynią z wyboru. Ale chyba ktoś zdecydował za mnie?

Po przekroczeniu granicy łzy napłynęły mi do oczu. Jak piękna jest moja Ukraina! Niewiarygodnie piękna

* Metropolia położona w północno-wschodniej Ukrainie. Zaatakowana już podczas inwazji rosyjskiej w 2014 roku. W 2022 roku miasto to było jednym ze strategicznych celów rosyjskiego wojska, do czasu wypchnięcia Rosyjskich sił w tym rejonie na granicę rosyjsko-ukraińską. Od tamtego czasu jest obiektem nieregularnych ataków rakietowych i bombardowań.

i nieszczęśliwa jednocześnie. Dlaczego historia zawsze się powtarza? Czy wyrośnie tu choć jedno pokolenie ludzi, którzy nie widzieli wojny? I kiedy porzucimy wszystko, co rosyjskie? Podczas gdy my o tym rozmyślamy, oni nas niszczą, „wyzwalają” na swój sposób. Ale nie chcę o nich myśleć... Jestem w domu, choć nie na długo. Przyjechałam do Kijowa pociągiem, jakby wszystko było po staremu. Na osiedlu jest coraz więcej obcych. Wewnętrznych uchodźców, którzy stracili wszystko. Życie wydaje się toczyć dalej, ale na poziomie absolutnego minimum. Spędzanie nocy w piwnicy jest czymś normalnym. Muszę wracać. Natalia znów organizuje wieczór dla dzieci i liczy na moją pomoc.

Wieczór był bardziej zabawny niż poprzedni. Przyszło więcej osób, dzieci i rodzice wyglądali na bardziej szczęśliwych. Już się „zaaklimatyzowali”. A co ze mną? Kiedy przystosuje się do tego, że nie wiem, co przyniesie jutro? To pytanie, które zadają sobie jak Scarlett O’Hara. Ale ja taka nie jestem, prawda? Zawsze wszystko planuję i kontroluję. Refleksja z poprzedniego życia, która prawdopodobnie już nie wróci...

Lato 2022

To było gorące lato w Warszawie. Nic szczególnego poza chodzeniem do pracy w te upalne dni. Wycieczka do Zakopanego. Trochę się zrelaksowałam i zobaczyłam polskie góry. Wszystko bez zmian – drogi kurort, restauracje, spa. Czy to możliwe, żeby tak żyć w czasie wojny? Wybrałam wycieczkę zamiast zakupów. Teraz takie miałam potrzeby i priorytety. Nie dowiedziałabym się o tym w czasach pokoju.

Wrzesień 2022

Wracam do domu. Z całym „majątkiem”, który zdobyłam tutaj, w Polsce.

Poczucie samotności nie zniknęło, pomimo pozornie stabilnej sytuacji. Nie wszyscy uchodźcy mają to szczęście, aby

znaleźć pracę i to w swojej specjalizacji. Czego mi więc brakuje? Nic nie jest w stanie wypełnić tej pustki – ani kurorty, ani spotkania z nowymi przyjaciółmi, ani poczucie, że w końcu jesteś w Europie i twoje marzenie się spełniło! Zawsze myślałam o Polsce jak o wymarzonym kraju do życia i pracy. Ale teraz prześladowało mnie tylko jedno pragnienie – wrócić do domu. Żadnego znaczenia nie miał fakt, że wojna jeszcze się nie skończyła, a we wszystkich wiadomościach trąbią o *blackoucie*. Będzie lepiej, byle nie zostać tutaj.

Żegnając się z Polakami, intuicyjnie prosiłam ich, żeby zostawili mi miejsce, bo zamierzam wrócić. Choć w głębi serca miałam nadzieję, że nie wrócę. Rozumiejąc moją sytuację, utwierdzili mnie w przekonaniu, że zawsze chętnie mnie zobaczą i że zawsze znajdzie się dla mnie praca. Jak udaje im się zachować ten spokój, cierpliwość i zrozumienie wobec uchodźców?

Październik 2022

W Kijowie trwa ciągły ostrzał. Nie ma prądu, nie ma wody. Wieczorem miasto wydaje się zamierać – ulice nie są oświetlone, jak u mojej babci na wsi, kiedy wracałam z dyskoteki. „Czy orki wiedzą, że jestem w domu i celowo wystrzelą rakiety?”. Znowu wraca zapomniany już niepokój. Zaczynam pracować zdalnie na uniwersytecie. Wszystkie rozmowy o „bezpiecznym Kijowie” zniknęły w jednej chwili, kiedy został zbombardowany Bulwar Szewczenki, po którym uwielbiałam spacerować i pić tutaj poranną, niedzielną kawę. Stało się to w poniedziałek rano, kiedy ludzie w pośpiechu zmierzali do pracy. Postanawiam ponownie jechać do Polski.

Tym razem musiałam szukać mieszkania sama. Nie dogadywałam się z moimi starymi współlokatorami, pomimo mojej bezkonfliktowej natury. Okazuje się, że potrafię być asertywna i silna, broniąc swojego stanowiska bez podnoszenia głosu. Jest to pokłósie nauczania akademickiego. Ukrainka z warszawskiego biura znalazła mi pokój na obrzeżach Warszawy, w którym już od 1 listopada czekali na mnie nowi współlokatorzy.

Listopad 2022

Wróciłam. Poczucie, że nie zakończyłam wszystkiego tutaj oraz poczucie niebezpieczeństwa z powodu pozostawania w Kijowie popchnęło mnie do przodu, czyli z powrotem do Warszawy.

W pracy przywitali mnie ciepło, jakbym wyjechała na krótko. Ale najlepsze miało dopiero nadejść. Dwie studentki studiów podyplomowych z Włoch i Malezji odbywały staż w firmie. „Przynajmniej trochę kobiecego towarzystwa wśród męskich naukowców” – pomyślałam. – „Poćwiczę angielski”. Mój angielski pozostawiał wiele do życzenia, mimo że pisałam artykuły naukowe w tym języku i spędziłam całe lato, ucząc się z korepetytorem przez Skype. Rozmowy z nimi były fascynujące... Opowieści o Ukrainie, o wojnie. Dla nich byłam prawdziwym świadkiem wojny, który mógł opowiedzieć im wszystko, przedstawić relację z pierwszej ręki. I chciałam im to powiedzieć. O tym, czego nie było w międzynarodowych newsach, ale co ja i my, Ukraińcy, mieliśmy w naszych sercach – o nieodpartym duchu walki o wolność i wyzwolenie. Wtedy na wiosnę, podczas mroźnej marcowej wycieczki po Warszawie, mój szef Wojtek powiedział, że Polacy nie walczyliby tak zawzięcie jak my. Myślę, że po prostu współcześni Polacy nie doświadczyli takiej sytuacji, przez co nie znają swojego potencjału. Na razie...

Gabriella z Włoch szybko stała się moją przyjaciółką. Polki trzymały się z daleka, Ukrainki, które przyjechały tu przed wojną, były zajęte zarabianiem pieniędzy. Oksana wróciła do Lwowa, bo nie mogła tu znaleźć pracy. Gabriella pisała pracę doktorską i wieczorami miała dużo wolnego czasu. Chodziłyśmy na kawę i czytałyśmy książki w miejscowej bibliotece, do której udało mi się zapisać zaraz po mojej drugiej wizycie. A kiedy przyjechali jej rodzice, od razu nas sobie przedstawiła. Mama Gabrielli jest wykładowczynią na Uniwersytecie w Mediolanie. Miałam zawsze to szczęście, że obracałam się w środowisku intelektualistów, chociaż nie szukałam ich, jak również nie afiszowałam się swoim statusem. Nie w tej sytuacji. Znowu zawodzi mój słaby angielski i nie mogę swobodnie wyrazić tego, jak bardzo nienawidzę putina, rusków

i wszystkiego, co z nimi związane. Znając z mediów kontrowersyjną politykę Włoch wobec tej wojny, przypominam sobie całe moje słownictwo i próbuję wyjaśnić, dlaczego nie będziemy negocjować, że będziemy walczyć do końca i z jakim zapałem odbudujemy Ukrainę po wojnie. Chcę mówić o odbudowie bardziej niż o samej wojnie. Moja projekcja czegoś pozytywnego, co może wyniknąć z tego łajna, pomaga mi przetrwać w tej sytuacji. Włosi patrzą na mnie ze szczerym zdziwieniem. Myślą, że jestem dziewczyną-marzycielką, ale w rzeczywistości my wszyscy tacy jesteśmy – wrócimy do domu, by wszystko odbudować. W końcu „w swoim domu, swoja prawda jest...”. Może z wyjątkiem tych, którzy uciekli do Kanady. Chociaż do niedawna wybierałam się tam i mam gotową wizję, która czeka na swój czas. Spoiler: nie doczeka się.

Grudzień 2022

Planuję świętować urodziny z Gabriellą w apartamencie w centrum Warszawy, który wynajęła na Bookingu na czas swojego stażu. Mieszkanie jest duże i przestronne, wykończone nowocześnie. Z prawdziwym smutkiem przypomniałam sobie mój pokój w Ursusie-Niedźwiadku, który wynajmowałam w mieszkaniu dla siedmiu osób. Tym razem byłam zadowolona ze współlokatorów – od razu zbudowaliśmy dobre relacje. Mimo wszystko – czynnik ludzki jest bardzo ważny. Z żalem myślałam, że raczej nigdy nie wynajmę takiego mieszkania w Warszawie, bo jestem uchodźczynią, mimo że byłam przyzwyczajona do komfortu, do swojego otoczenia, jak i pozostali Ukraińcy. „To wszystko jest tymczasowe!” – myślałam, choć ta tymczasowość się przeciągała, a niepewność jutra przerażała.

Ale w urodziny nie myśli się o złych rzeczach. Przyniosłam burgery, Gabriella otworzyła włoskie wino. Wszystko było tak, jak lubię. Jakby wszechświat wyczuł moją miłość do Włoch i zesłał mi tę przyjaciółkę w tak ważnym dla mnie momencie. Prezent również był włoski – świece zapachowe „made in Italy”. Wszystko połączyło się w najlepszy możliwy sposób. Od dawna nie miałam tak serdecznych urodzin nawet w czasach

pokoju. Jakoś nie znajdowałam czasu na ich celebrowanie. Piłyśmy wino i rozmawiałyśmy oczywiście o mężczyznach.

„Zarejestruj się na jakimś portalu randkowym, a znajdziesz chłopaka!” – nalegała Gabriella.

Wciąż odmawiałam, przypominając sobie złe doświadczenia na Tinderze nie tak dawno temu. Niezbyt dobrze wspominałam też ostatnią randkę z Karolem (biegaczem, którego poznałam latem w Łazienkach). Nigdy nie odprowadził mnie do domu, bo Ursus-Niedźwiadek był daleko od jego miejsca zamieszkania. Poza tym byliśmy na pizzy w jego okolicy. To wygodnie umówić się z dziewczyną kilka metrów od domu, a potem pomachać jej na pożegnanie, gdy wsiada do autobusu z przesiadką. Po tym wydarzeniu już nigdy nie chciałam iść na randkę w Polsce. Tak naprawdę nie chciałam chodzić na randki w wieku 38 lat, które dziś skończyłam. Chciałam tylko ciepłego kakao pod kocem i kogoś, kto z czułością i miłością przykryje moje nóżki.

Ale żeby poznać kogoś takiego, trzeba przynajmniej wyjść z domu. Podejmuję więc wysiłek i rejestruję się na Badoo. Gabriella mówi, że strona jest wiarygodna i są szanse na poznanie kogoś normalnego. Jasne, nie takie głupoty słyszałam! Ale było coś fajnego w tym pomysle. Wieczory mogłyby nie być tak smutne, a ja przestałabym myśleć o wojnie. „Jeśli nawet nie dogonisz, to przynajmniej się rozgrzejesz...” – przypomniałam sobie ulubiony żart moich profesorów ze Lwowa. To oni zaszczepili we mnie niechęć do wszystkiego co rosyjskie, w tym do języka, kultury i muzyki. Na Uniwersytecie Lwowskim nigdy nie było tęsknoty za Związkiem Radzieckim. Zamiast tego były barwne historie rodzin, które zostały represjonowane, wywłaszczone, wywiezione na Syberię i które następnie wróciły do swoich domów we Lwowie i zaczynały wszystko od nowa. Mój Boże, jakie to wszystko podobne – wtedy i teraz!

Nie zwracałam sobie zbyt głowy moim kontem w aplikacji – tylko kilka zdjęć z prawdziwego życia. Tutaj jestem w pobliżu Ukraińskiej Cerkwi Katolickiej w Warszawie, a tutaj – selfie zrobione w moim pokoju na Ursusie. Najważniejsze to nie nosić okularów – przypominałam sobie dawne instrukcje

trenera od podrywów w internecie. To była jedyna rzecz, którą zapamiętałam z jego instruktażu. Nie zapamiętałam reszty, bo to ja byłam najczęściej podrywana w necie.

Korespondencja z Polakami była interesująca. Jedyne pytanie, jakie zadawali, brzmiało: „Jakie masz plany? Zostajesz czy wracasz?”. Wy tak na serio? Myślicie, że wiem? Nie byli usatysfakcjonowani odpowiedzią, mój brak pewności ich przerażał. „Dobra, w takim razie...” – myślałam sobie i czatowałam z ukraińskimi emigrantami zarobkowymi, którzy z jakiegoś powodu sami nie mogli się określić, zawsze próbując zaprosić mnie to na randkę „do samochodu”, to do swojego domu. Cóż, po co tracić czas – jutro muszę iść do pracy, wcześniej wstać, a tu jakaś kapryśna dziewczyna mi się trafiła. Następny, następny.

Drugiego lub trzeciego dnia napisał ON – zwyczajny, adekwatny człowiek. Jego doświadczenia i historia były mi tak bliskie. Pewnie dlatego, że też był uchodźcą i to z terenów okupowanych. Ale nie był jednym z tych, którzy uciekli przed wojną. Był samotnym ojcem, który musiał opiekować się swoim małym synem, transportując go przez Krym, Rosję i w końcu do Polski. Umówił się ze mną niemal natychmiast. Zgodziłam się też natychmiast, ponieważ my, uchodźcy, mamy ze sobą wiele wspólnego – wspólny ból jest nasz!

Przyjechał z kwiatami. Spóźnił się, bo w Warszawie spadł pierwszy śnieg, na drogach pojawiły się zasy i korki. Czekałam spokojnie w domu. „Dobrze, że przynajmniej nie na dworze!” – pomyślałam, przypominając sobie ostatnią randkę z Karolem.

Pojechaliśmy poszukać jakiejś restauracji. W Ursusie nie było ich zbyt wiele. Mówił głównie on, a ja słuchałam. Zawsze tak robię, jeśli podoba mi się osoba, z którą rozmawiam. Nie przypadł mi do gustu od pierwszego wejrzenia. W tle trwogi i ciągle zadawanego sobie ostatnio pytania „Co dalej?” w tym momencie poczułam spokój, jakiego dawno nie odczuwałam.

Pomyślałam, że nie jest w moim typie, ale zdecydowałam się na następną randkę. Wybraliśmy się na nocną przejażdżkę po Warszawie. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłam, jak piękne jest to miasto nocą. „Chciałabym spędzić całe życie jeżdżąc tutaj... z nim...” – pomyślałam z jakiegoś powodu. Było mi z nim bardzo dobrze. Rozmawialiśmy, jedliśmy, śmialiśmy się.

Kiedy opowiedział mi o swoim poprzednim życiu i o tym, że raszyści* zabrali mu wszystko, kiedy napadli i zajęli ukraińskie terytorium, pomyślałam, jak różne losy mamy my, Ukraińcy, w tej wojnie.

Na naszej trzeciej randce zaprosił mnie do swojego domu, był to podmiejski budynek, który wynajmował na obrzeżach Warszawy. Ugotował obiad i opowiadał mi swoje niekończące się historie. Ja słuchałam, jadłam, opowiadałam mu swoje. Śmialiśmy się... Pomyślałam sobie: „Chciałabym, żeby tak gotował bez końca, a ja będę się śmiała...”. Chciałam poznać go bliżej i wylądowałam w jego łóżku. Pamiętam, że powiedział: „Kiedy kobieta planuje seks, zakłada swoją najlepszą bieliznę”. Tak, byłam naprawdę gotowa na ten seks – sama go zaplanowałam.

Styczeń 2023

W Nowy Rok spotykałam się z rodziną w Ukrainie. Pomyślałam, że to za wcześnie, by obchodzić to święto w towarzystwie mężczyzny, którego nie znałam, choć był mi już tak bliski. Chciałam się trochę zdystansować i pomyśleć, bo nasza relacja nabierała zbyt dużego tempa, chociaż zaczęło się tak niewinnie. Ha ha! W tamtego Sylwestra w Ukrainie było bardzo niespokojnie. Trwoga to tło, w którym wszyscy teraz żyjemy. Zdecydowałam się nie jechać do Kijowa, chociaż bardzo chciałam zobaczyć mój dom – przerażało mnie to. Potem coraz bardziej tęskniłam za domem i żałowałam, że nie pojechałam. Byłam tchórzem, bałam się wojny!

Po powrocie do Warszawy byliśmy nierozłączni z moim ukochanym. W weekendy spacerowaliśmy po Warszawie, a potem wracaliśmy do jego domu, do „chatki wilkołaka”, jak ją pieszczotliwie nazywałam. Spędzaliśmy tam weekendy, a w poniedziałek pojawiałam się pod drzwiami biura z podpuchniętymi oczami i laptopem, jak prawdziwy researcher, żeby wejść

* Pejoratywne określenie rosyjskich okupantów Ukrainy, odwołujące się do słowa faszyzm.

w nowy tydzień i kiedyś w międzyczasie się wyspać. Tak miały tygodnie, ale zaczęło nas to męczyć. Byliśmy dorosłymi ludźmi z bagażem własnych doświadczeń, którzy nie sądzili, że w tym bałaganie odnajdą siebie, odkryją miłość. Ale teraz musieliśmy coś postanowić, bo wojna wyostrzyła nie tylko nasze poczucie rzeczywistości, ale też i nasze uczucie. Wyostrzyła ogromną potrzebę docenienia czasu i ludzi, którzy pojawili się w naszym życiu z jakiegoś powodu.

Luty 2023

Aktywnie planujemy wspólne zamieszkać. Jest mi z nim dobrze, jestem pewna siebie i mam poczucie bezpieczeństwa. Zaczęłam doceniać to uczucie komfortu na długo przed wojną, kiedy wynosząc doświadczenie z moich poprzednich związków, zawsze musiałam się adaptować, przyzwyczajając czy znosić drugą osobę. Nie wymagał, żebym się dostosowywała. Zaakceptował mnie taką, jaką jestem, i chciał po prostu być ze mną. Dlatego w Walentynki oświadczył mi się na parkingu w Ursusie. Ja, która pragnęłam bardzo wyjść za mąż, na wszelki wypadek zapytałam go jeszcze raz: – Czy tego naprawdę chcesz? Odpowiedział: – Tak. Wtedy przyjął oświadczenie.

Od tego momentu staliśmy się jeszcze bardziej aktywni w poszukiwaniu naszego przyszłego wspólnego mieszkania, które stałoby się naszym domem tutaj – w Polsce – jeśli dla uchodźcy takie pojęcie jak „dom” istnieje. Polacy byli bardzo niechętni do wynajmowania mieszkań Ukraińcom, prawdopodobnie dlatego, że mieli już wcześniejsze złe doświadczenia – uchodźcy są różni. Mieliśmy szczęście – właściciel przestronnego dwupokojowego mieszkania był życzliwy zakochanej parze, ale i tak zaciągnął nas do notariusza, aby oficjalnie zatwierdzić umowę najmu. Podpisaliśmy umowę najmu po raz pierwszy i wprowadziliśmy się do naszego wspólnego mieszkania w następnym miesiącu.

PS Mogłaby to być historia z happy-endem dla naszej pary, ale jest jedna rzecz... Wojna jeszcze się nie skończyła. Balansujemy

w naszej rzeczywistości jak dwoje linoskoków, gdzieś wysoko kołysząc się w różnych kierunkach między przeszłością a przyszłością. A jednak robimy krok naprzód, a potem kolejny i kolejny... Dla uchodźców w obcym kraju nic nie jest łatwe. Ten rok wojny był inny dla każdego. Ale z pewnością odcisnął piętno na naszym życiu. To dźwięk rakiet, płacz dzieci i niepokój rodziców, którzy zostali w ojczyźnie. Ale dla równowagi to także ciepłe kakao, które ktoś ostrożnie przynosi do łóżka i z miłością delikatnie przykrywa nogi ciepłym kocem.

TETIANA SUCHODOLSKA

„Przygoda Złotka Tima, Magi i ich ludzi: droga do nowego domu z żółtymi kwiatami” – bajka o ucieczce od wojny

Tekst oryginalnie napisany w języku polskim.

Przygoda Złotka Tima, Magi i ich ludzi: Matka Kotków

Nie tak dawno temu, w krainie U pełnej kwiatów i słońca, mieszkały dwa puchate kotki o imionach Złotko Tim i Maga. Ich futerka świeciły się na słońcu, a oczy błyszczały jak drobinki złota. Ale los od początku podkładał im kłody pod nogi. Urodziły się dachowcami.

Pewnego cudownego lata, w czerwcu, na skraju dużego ogrodu wśród jedwabnych żółtych kwiatów, malutka Maga siedziała cichutko. Jej oczy lśniły łzami, a serduszko biło z lękiem. Ale cudem, późno w nocy, pojawili się ludzie i jej nowa matka wzięła ją pod swój dach. Maga zamieszkała razem ze swoimi ludźmi. Było im dobrze i ciepło.

Mniej więcej rok później, w dniu, w którym słońce znów uśmiechało się do kwiatów, a trawa szeleściła na wietrze, nowa ludzka matka Magi spotkała Złotka Tima. Odważny jak lew Tim spacerował po wielkiej drodze między gigantycznymi samochodami. Złotko szukał przygód i nowego domu, bo dotychczas nie znalazł miłości. To wtedy Złotko Tim i Maga zamieszkali razem ze sobą i ze swoimi ludźmi.

Małe kocięta były niezmiernie wdzięczne swoim ludziom za znalezienie dla nich ciepłego i pełnego miłości domu. Gdy ich matka straciła swojego męża, maluchy nieustannie otaczały ją swoją czułością i radością, umilając każdy wspólnie spędzony dzień. W ten sposób minęły cztery niezwykle szczęśliwe lata, w których razem tworzyły swój uroczy, pełen harmonii i miłości świat.

Przygoda Złotka Tima, Magi i ich ludzi: Wojna

Pewnego zimowego poranka w krainie U, w której co roku przychodziła wiosna i lato – pełne żółtych kwiatów i promieni słońca, spokojne życie Złotka Tima i Magi zmieniło się na zawsze.

Dokładnie o czwartej nad ranem, 24 lutego, kotki i ich matkę obudził nagły, potężny wybuch, który niósł się wokół ich domu jak grom. Nie wiedziały, co to mogło być, lecz wkrótce zadzwoniła siostra ich matki, by przekazać niepokojącą wieść – nadeszła wojna. Wojna... To słowo było zupełnie obce dla Złotka Tima i Magi, jakby z innego świata. Tylko ich matka w dzieciństwie słyszała o niej od swojej babci Wincentyny.

Tamtego poranka spokojne i radosne samoloty, pełne szczęśliwych ludzi, które wcześniej przemierzały niebo nad ich przytulnym domem, przestały latać. Niebo przestało być spokojne. Okropne, metalowe ptaki wzbijały się w powietrze, niosąc ze sobą strach, zło, a ich przytulny domek stał się miejscem niepokoju.

Przygoda Złotka Tima, Magi i ich ludzi: Rabbi Nachman z Braclawia

Złotko Tim, Maga i ich ludzie mieli dziadka Mycha, starego i zatwardziałego, który trzymał swoje serce zawsze zamkniętym dla kotków, dla ludzi i wszystkiego, co radosne i piękne w życiu. Złotko Tim i Maga zawsze były pełne życia, kochały świat wokół siebie i cieszyły się każdą chwilą. Lecz ich dziadek, spoglądając na świat spod starych, zmarszczonych brwi,

nie potrafił zrozumieć ich radości. Zawsze odmawiał im swego towarzystwa i uważał, że podróż z kotkami – to NIGDY. I tak, pewnego dnia, matka kotków, z bólem w sercu, musiała podjąć trudną decyzję. Zostawiła je pod opieką jednej dobrej osoby, podczas gdy sama wyruszyła w daleką podróż. Dom, który kiedyś tętnił życiem, pogrążył się w ciemności i samotności. Szaleńcze ptaki z żelaza nadal przelatywały nad ich zacisznym gniazdem, przynosząc niepokojące wieści ze wschodu.

Jednak po dwóch dniach matka i ludzie wrócili. I matka opowiedziała im dziwną historię ich krótkiej podróży. Wyruszyli wcześniej, przejechali długą drogę przez dziesiątki blokad w Kijowie, razem z tysiącem innych uchodźców. Do wieczora dotarli tylko do Humania*. Miasta znanego na całym świecie z tego, że spoczywa tam Rabin Nachman z Braclawia – mistrz chasydów. Miasto przywitało ich nieprzyjemnym chłodem. Noc spadła na nich jak zimowy płaszcz, a nie mogli znaleźć miejsca na nocleg. Nie mogli też jechać dalej, ponieważ była godzina policyjna – czas, w którym nie wolno było wychodzić na zewnątrz, ponieważ było to niebezpieczne.

Stracili już nadzieję, kiedy podjechali pod chasydzki hotel. Ale tam też usłyszeli, że wszystkie miejsca, nawet te na podłodze, są zajęte. Było tam bardzo wielu uchodźców. Z nieba zaczął padać śnieg, jak piórka ze starej poduszki, zimno stało się coraz bardziej dotkliwe, a nikt nie wiedział, co robić. I wtedy, po drugiej stronie ulicy, w wysokim płocie, otworzyła się bramka. Nie wiadomo było, co się za nią znajduje, gdyż ogrodzenie było tak wysokie, że sięgało nieba. Człowiek zza bramki zawołał dziadka. Po pięciu minutach mieli już miejsce na nocleg. Ale to miejsce było dziwne. Ozdobione nieznajomymi znakami i pismem w obcej mowie. A przez okna widać było tajemnicze miejsce – grobowiec mistrza chasydów. Oczywiście Tim i Maga nie wiedziały, kim był ten mistrz, ale matka była bardzo szczęśliwa. To była jej jedyna radość w tamtym dniu. Poprosiła Rabbi Nachmana o pomoc, aby wydostał ich dalej od wojny wraz z ich kotkami.

* Miasto położone w środkowej Ukrainie, na południe od Kijowa nad rzeką Umanką.

Rankiem dziadek zauważył, że kończy się benzyna i nie mogą dalej jechać w kierunku granicy. Ich małe auto, w którym nigdy nie było miejsca dla kotków, było zapchane walizkami i bagażami, ale nie było w nim ani kropli benzyny. Szukał jej, jeżdżąc od stacji do stacji, ale kolejki były nieskończone. Dziadek zaczął się denerwować i postanowił wrócić do domu. Gdy dojechali, dziadek był zły, pokłócił się ze wszystkimi i oznajmił, że nigdzie już nie pojedą. Wtedy matka postanowiła, że teraz już nie ruszy w podróż bez swoich kotków i podziękowała Rabbi Nachmanowi.

Następnego ranka babcia znalazła zdesperowanego taksówkarza, który zdecydował się pomóc. Była gotowa zapłacić sporo złotych monet, byle tylko wcielić swój plan w życie. Taksówkarz przystał na tę niekonwencjonalną podróż, oczarowany opowieścią o kotach i ich ludziach. Suma, jaką wyłożyła babcia, była imponująca, ale była to cena za bezpieczeństwo. Tego wieczora matka zabrała swoje kotki i wszyscy przygotowali się do długiej podróży.

Przygoda Złotka Tima, Magi i ich ludzi: Wielka Ucieczka

Przed wielką podróżą mama poszukiwała wygodnych nosidełek dla kotów, gdyż Złotko Tim i Maga nigdy wcześniej nie wybrały się w żadną podróż. W Kijowie znalazła same opróżnione sklepy – wszystkie klatki i transportery zniknęły, ułatwiając się wraz z innymi zwierzętami. Tuż przed zmrokiem i wprowadzeniem godziny policyjnej mama znalazła pojedyncze pudełka z kartonu. Nie było wyboru, więc zakupiła je – dwa lekkie schronienia na długą drogę.

O świcie ósmego marca przyjechał taksówkarz, otworzył drzwi samochodu i wszyscy wsiedli do niego wraz ze swoimi skarbami. Zaczęła się niezwykła podróż. Cały dzień sunęły przez pola, przepiękne lasy, miasta, wioski i miasteczka. A co jakiś czas, gdzieś zza okien, do uszu docierały do nich straszne dźwięki wojny. Złotko Tim i Maga zachowywały się niezwykle spokojnie. Obserwowały zmieniające się krajobrazy

i choć do gabinetu weterynarza zawsze przychodziły z mocnym krzykiem, teraz milczały, doskonale świadome, że są z matką i swoimi ludźmi.

Kiedy zapadł zmierzch, przybyły w okolicę wielkiego miasta na południu. Lecz zaledwie po chwili zawitała noc, a wraz z nią godzina policyjna. Wszyscy zdali sobie sprawę, że nie mogą już wjechać do tego urokliwego miejsca. Postanowili więc skierować swoje kroki w stronę granicy. Szukali schronienia i odkryli, że jest tam pewne miejsce w lesie. Bez wahania ruszyli w nocną wędrówkę. Kilkakrotnie natrafili na punkty kontrolne, w których z ciemności wyłaniały się sylwetki obrońców, co było zaskakująco przerażające, bo niewiele wiedzieli o tym, jak się wobec nich zachować. Na szczęście taksówkarz znał te tereny jak własną kieszeń i z łatwością przeprowadził ich przez te tajemnicze zaułki.

Pod osłoną nocy, jak w magicznym mroku, znaleźli swoje przeznaczenie. Tam, w ciepłych ramionach nowego miejsca, właściciele witali ich z otwartymi sercami. Maga i Tim, pełne ciekawości, badały nowe otoczenie. Skorzystały z kociej kucy, posiliły się i wreszcie pozwoliły sobie na odpoczynek. Przytulone do siebie, oczekując na tajemnicze, nieznane przygody, zasnęły, pozostawiając za sobą długą, pełną napięcia noc.

Przygoda Złotka Tima, Magi i ich ludzi: Żegnaj, Kraino U

Złotko Tim, Maga, ich matka i inni wierni ludzcy towarzysze ruszyli w kierunku granicy. Kraina U wydawała się niemal magiczna w promieniach wschodzącego słońca. Oczy kocich przyjaciół były nasycone emocjami – łyzy wyrażały zarówno wzruszenie, jak i tęsknotę. W tym pożegnaniu był głęboki ból, jak w wietrze, który niesie dźwięki z oddali.

Przed granicą musieli odbyć długą wędrówkę, mijając kolejne czekające samochody. Ich oczekiwania wpatrzone były w horyzont. Serdeczny taksówkarz został z nimi do końca, wiernie prowadząc ich aż do samej granicy. Maga opierała się, nie chcąc zamknąć się w kartonowej przestrzeni, a Złotko

Tim, w przeciwieństwie do niej, spokojnie osiadł w swoim podróznym schronieniu. Kiedy granica była już na wyciągnięcie ręki, pudełko, w którym tkwiła Maga, zaczęło się rozrywać od wewnętrznego naporu. W chwili, gdy kotki przekroczyły granicę, ciężar minionego okresu wojny opadł. To była granica nie tylko między krajami, lecz także granica między oswojoną przeszłością a nieznanym jutrem.

Przygoda Złotka Tima, Magi i ich ludzi: Przez Pięć Krajów

Po drugiej stronie granicy, na małym placu wśród błota, kałuż i stosów walizek, tłum wyczerpanych ludzi z różnych stron krainy U oczekiwał na nadejście autobusów, które miały poprowadzić ich dalej. W tym morzu ludzkich głów, od maluchów po osoby starsze, pojawił się stary, małeńki, żółty minibus. Ludzie pognali do niego, wpadając w wir emocji, tworząc barwny i chaotyczny taniec.

Matka zrozumiała, że utknęli w tym miejscu, oczekując na niepewną przyszłość. Co gorsza, pudełko Magi zaczęło się rozpadać, nie wytrzymując trudów podróży. Przez krzaki matka zobaczyła kilka samochodów. Podeszła, pytając, czy ktoś kieruje się w stronę Kiszyniowa. Ku jej zaskoczeniu, były to lokalne taksówki, które nie miały pozwolenia na zbliżanie się do granicy, dlatego pozostawały w oddaleniu. Jednak zdecydowane na wszelkie koszty, Złotko Tim, Maga i ich ludzie ruszyli w kierunku mołdawskiej stolicy.

W Kiszyniowie zatrzymali się na dworcu kolejowym, bowiem w ostatnim autobusie do Warszawy pozostało tylko kilka wolnych miejsc, w tym żadnego dla kotów. Matka zakupiła nowe, komfortowe nosidełko dla Magi, a Złotko Tim zajął swoje stare, przestronne i niezawodne. Nie zapomniano także o zakupie dwóch pięknych smyczy i obroży, aby futrząscy przyjaciele mogli rozprostować łapki i przechadzać się po ziemi. Wszyscy posilili się nieco i ruszyli dowiedzieć się, jak kontynuować podróż. Nie znaleźli bezpośredniego pociągu do Warszawy. Jedyne połączenie prowadziło przez Budapeszt.

A aby tam dotrzeć, konieczne było skorzystanie z kilku pociągów, przemierzających Rumunię.

W późnych godzinach nocy ewakuacyjny pociąg zawitał do miasta. Matka kotów wydała kolejną partię oszczędności na jednego z konduktorów, żeby zabrał ich do względnie cichego wagonu. W środku panował mrok, oświetlany jedynie przez kilka skromnych żarówek nad łózkami. Wszystkie miejsca były zajęte przez siedzących i śpiących uchodźców. Powietrze wewnątrz wagonu było niemal niewyczuwalne. Dzieci płakały, a obok nich trzy kobiety z Charkowa trzymały w małych torebkach trzy koty. Zwierzęta zawodziły, walcząc ze swoim strachem, co wprowadzało ich właścicieli w niepokój.

Złotko Tim przysypiał od czasu do czasu, lecz wyczerpanie i lęk były tak przytłaczające, że często w nocy popłakiwał na kolanach matki. Natomiast Maga snuła spokojne sny w swoim nowym nosidełku na stoliku pod oknem. Pociąg bezustannie toczył się przez noc, niosąc ich coraz dalej od ziemi, którą znali. Kiedy świt rozświetlił horyzont, przepiękne szczyty Transylwanii odbijały się bielą w oknach, a majestatyczne lasy jodłowe wznosiły się jeden za drugim, malując obraz godny podziwu. Trudno było uwierzyć, że wojna, dźwięki wybuchów, strach i smutek są już za nimi, a w zamian przed oczami rozciągają się malownicze rumuńskie pejzaże.

Wieczorem pociąg dotarł do miasta Jassy*. Tam zatrzymali się, aby poczekać na kolejny pociąg, który zabierze ich do Budapesztu. Pociąg miał opuścić stację dopiero późnym wieczorem. Zamiast wyruszać do miasta, matka kotów i ich ludzie zdecydowali się pozostać na dworcu kolejowym. Rumuńscy wolontariusze przyjęli ich serdecznie, oferując zupę, gorącą herbatę, słodkości i przekąski. Złotko Tim i Maga dostały ciepłe koce i pieluszki dla niemowląt, ponieważ dla kotów nie było nic więcej. Wieczorem matka wzięła Tima na spacer po peronie, a on nieustannie wzbudzał uśmiechy i zachwyty przechodzących ludzi.

* Miasto położone w północno-wschodniej Rumunii, w historycznej Mołdawii.

Następnie, prawie o północy, wszyscy wsiedli do pociągu, który miał ich zawieźć do Budapesztu. Wagon wypełnił się matkami i ich pociechami z Mikołajowa*. Dzieci płakały, a matki były przytłoczone i znużone, nie wiedząc, dokąd właściwie zmierzają. W odróżnieniu od poprzedniego pociągu, tym razem światła paliły się przez całą noc i bardzo trudno było zasnąć. Dzieci płakały, a Tim i Maga też czasami dołączały do tego chóru zmęczenia. Wszyscy byli wyczerpani. W pewnej chwili wydarzył się mały wypadek. Kocięta, które nie mogły skorzystać z toalety przez kilka dni, zmoczyły się, ogłaszając ten fakt całemu wagonowi poprzez swoje głośne krzyki. Dzięki rumuńskim wolontariuszom sytuacja została jednak szybko opanowana. Czyste pieluszki i koce umożliwiły kontynuowanie podróży, a pociąg ruszył dalej w drogę.

W czasie tej długiej podróży, pociąg niespodziewanie zatrzymał się w Kluż-Napoce**. Stację wypełniło zmęczenie i nadzieja. Ludzie w pośpiechu zdejmowali swój majątek życia i przynosili go do innego pociągu. Kolejka wyczerpanych uchodźców, dźwigających walizki i marzenia, sunęła przez tory w poszukiwaniu przedłużenia ich trudnej drogi.

Lecz to, co ich tam spotkało, było dalekie od oczekiwanej ulgi. W drugim pociągu czekała na nich zimna niespodzianka. Matka, troszcząca się o swe dzieci, spojrzała w oczy węgierskiej biurokracji. Ich ręce mogły trzymać cenne serca, ale ich małe palce nie miały paszportów – przepustek do świata Schengen. Nieuchronnie poproszono je o opuszczenie pociągu. Kolejny taniec nadziei i rozczarowania, kiedy matka próbowała załatwić dokumenty, które miały zdecydować o ich dalszej podróży. Krążyła wokół wagonów, a ich spojrzenia były jak zagubione gwiazdy na spowitej nocy tafli. Minęły dwie godziny – długie, pełne napięcia i oczekiwania – zanim pociąg wreszcie wznowił ruch.

* Miasto położone w południowej części Ukrainy, położone nad rzeką Boh, niedaleko jej ujścia do Morza Czarnego.

** Miasto położone w północno-zachodniej Rumunii, na Wyżynie Transylwańskiej – największe miasto i historyczna stolica Siedmiogrodu.

Przygoda Złotka Tima, Magi i ich ludzi: Przystanek w Cudownym Budapeszcie

Budapeszt – miasto magiczne, jak z baśniowej opowieści. Matka poinformowała wszystkich, że to już koniec ich dzisiejszej podróży. Teraz mieli zatrzymać się na chwilę, odpocząć w normalnych warunkach, przynajmniej przez jedną noc. Matka znalazła cudowny hotel – azyl, w którym Złotko Tim, Maga i ich ludzie mogli zatrzymać się na chwilę i nabrać sił przed ostatnim etapem podróży. Ta pierwsza noc w nieznanym, a jednak przyjemnie komfortowym miejscu, była jak spełniony sen. Być w jednym łóżku z matką i bliskimi, w błogiej ciszy – nieocenione.

Bilety na pociąg do Warszawy na wieczór były już w kieszeni, więc rankiem matka wymeldowała się z uśmiechem na ustach. Walizki zostawiła w hotelu, wzięła na ręce Złotka Tima i Magę, które przytulone w nosidełkach wyglądały jak dwa małe przyjazne duchy. Wraz z pozostałymi ruszyli na wędrowkę po ulicach Budapesztu. Węgierskie ulice okazały się bardzo przyjazne dla zwierząt. Wpuszczano je do sklepów i kawiarni, wszyscy wesoło się uśmiechali i chętnie przytulali koty, jakby znaleźli dawno zaginionych przyjaciół. A pogoda, ach, była jak miłe przytulenie – słoneczna i ciepła, otaczająca to piękne miasto, które wprost błyszczało kolorami i historią. Wśród tego piękna niemal trudno było uwierzyć, że niedaleko, w ich ojczyźnie, toczy się wojna. Ale czasami to właśnie wśród piękna i spokoju walka o normalność staje się bardziej paląca niż kiedykolwiek.

Wieczorem nasi bohaterowie wsiedli do ostatniego pociągu, który przez całą noc wiozł ich przez Węgry, Słowację i Czechy do wymarzonego celu podróży – do upragnionej Warszawy!

Przygoda Złotka Tima, Magi i ich ludzi: Warszawiacy

W niedzielę, trzynastego marca, wreszcie nadszedł czas, by Złotko Tim i Maga wkroczyli do Warszawy. To miasto powitało ich swym serdecznym ramieniem w postaci wiosennego słońca, które tuliło koty swoim ciepłem. Warszawska

wiosenna magia zaparła im dech w piersiach. Nadeszła długo oczekiwana wiosna! Cóż za paradoks, że podczas tej długiej przeprowadzki nie zwrócili uwagi na jej delikatne przybycie.

Wojenne, jeszcze zimowe wichry przyniosły setki tysięcy uchodźców do tego miasta, wypełniając każdy kąt dostępnego miejsca. Z trudem zlokalizowali hotel, który przyjął Tima, Magę i ich ludzi. Było to wyzwanie, ale za wszelką cenę pragnęli pozostać razem. Ten duży hotel, choć pobyt w nim wiązał się z kolejnym uszczupleniem oszczędności, dał im to, czego potrzebowali – poczucie wspólnego bezpieczeństwa. Tim i Maga wreszcie uwolnili się z transporterów, jak ptaki wydobywające się z klatki, i mogli rozprostować swoje małe nogi, eksplorując przestronne pomieszczenie. Na środku witało ich olbrzymie łóżko – symbol snu i spokoju, który obiecywał słodkie marzenia w ramionach matki. Trzy noce spędzone w hotelu stały się niczym chwila w kalendarzu. A co za niespodzianka – własny balkon, na który mogły wyjść, by cieszyć się blaskiem wiosennego słońca. Jego promienie ogrzewały ich futerka, a ciepło niemal przypominało im, że wojna zostaje w tyle.

W międzyczasie ich matka ciągle poszukiwała nowego domu. Lecz przeszkody stawały na ich drodze, a mieszkanie było tak trudne do znalezienia jak cenna perła w otchłani. Wszystko wydawało się już zajęte, zbyt drogie, i oczywiście – co najgorsze – nigdzie nie było możliwości przyjęcia kotów. Wtedy mama podjęła decyzję – zmiana hotelu. Przeprowadzka na Mokotów była wybawieniem. Przez kolejne cztery noce koty i ich ludzie znaleźli nowy dom. Wielkie okna sięgały aż do podłogi, tworząc idealne podium dla Tima i Magi. W ciągu dnia leniwie przewracali się na promieniach światła, spoglądając w daleki horyzont, wciąż tęskniąc za nowym miejscem, w którym miałyby rozkwitnąć ich szczęśliwy żywot.

Przygoda Złotka Tima, Magi i ich ludzi: Nowy Dom z Żółtymi Kwiatami

Pierwszego dnia w Warszawie, kiedy wiosenne słońce oblażało już miasto swoimi promieniami, matka odkryła, że to nie

tylko miasto, ale również skarbnica jej przeszłości. W tej magicznej chwili okazało się, że tu, w tym miejscu, jest wielu jej dawno niewidzianych krewnych. Jej życie, jakby toczące się w równoległych światach, nie tylko łączyło ją z futrzanymi towarzyszami, lecz także z ludźmi, którzy mieszkali tutaj.

Matka zawsze marzyła, aby odkryć sekrety ukryte w jej kodzie genetycznym. Właśnie dlatego w tym niezwykłym dniu, pierwszym w Warszawie, trzynastego marca, przyszły długo oczekiwane wyniki specjalnego testu, który pokazał jej genetyczne tajemnice. Jej serce zaczęło bić szybciej, gdy tylko otworzyła tę wiadomość. Była spokrewniona z mężczyzną o imieniu Arek – osobą, którą znała z dawnych dni, dla której odgrywała rolę swoistego przewodnika w poszukiwaniach dokumentów w krainie U. Arek, ów Warszawiak, związany z historią matki, mieszkał tuż obok. Matka szybko się z nim skontaktowała, a jego odpowiedź nadeszła jeszcze szybciej. Była to rzeczywiście wspaniała nowina. Arek otworzył przed matką drzwi, które ukazywały jej tę dotąd nieznaną rodzinę, połączoną więzami krwi. A to był dopiero początek. Wkrótce pojawili się inni krewni, wszyscy radośni i chętni do wsparcia. Matka nie była już sama.

Minęło siedem dni. Dwudziestego marca, kiedy to jeden z nowych krewnych – Tomek – przyciągnął do drzwi hotelu wygodny samochód. Zapakowano do niego nie tylko Złotko Tima, Magę i ich ludzi, nie tylko ich rzeczy, ale też nadzieję na nowy rozdział ich życia.

Wraz z nim pojawił się Janek, kolejny dobry duch w tej opowieści. To Jankowi zawdzięczali możliwość zamieszkania w domu jego babci. To niewielkie mieszkanie było pełne ciepła i historii, urządzone z pasją, wiedzą i miłością. To właśnie tam, pośród starych mebli i wspomnień, Złotko Tim, Maga i ich ludzie znaleźli to, czego tak bardzo potrzebowali – nowy początek. Kiedy matka kotów spojrzała przez okno, nie mogła uwierzyć własnym oczom i znowu podziękowała Rabbi Nachmanowi.

Przed oknami rosła olbrzymia forsycja. Symbol tego, że Złotko Tim, Maga i ich ludzie odnaleźli nową szansę, nową rodzinę i nowy dom z żółtymi kwiatami.

Ta bajeczna historia oparta jest na prawdziwych wydarzeniach. Zbieżności z prawdziwymi osobami nie są przypadkowe. Magiczne momenty w tej historii pozostają niewyjaśnione do dziś.

TETIANA SUCHODOLSKA – Urodziła się na wsi niedaleko Żytomierza (Ukraina), w rodzinie polskiej z krewnymi narodowości ukraińskiej i białoruskiej. Wychowywała się u babci, zgodnie z polskimi tradycjami i kulturą. Jest zainteresowana historią swojej rodziny, wsi, oraz historią i losami Polaków, którzy mieszkają w Ukrainie. Planuje założyć we wsi pochodzenia muzeum poświęcone Polakom na Ukrainie i napisać o niej książkę. Uwielbia zwierzęta. Mieszkając w Ukrainie, zawsze pomagała bezdomnym kotom i psom. Jej zwierzęta – bohaterowie bajki – również zostały znalezione na ulicy. Teraz mieszkają z nią w Warszawie. Na Ukrainie pracowała w mediach jako specjalista do spraw marketingu i PR. Od 10 lat zajmuje się organizacją wydarzeń biznesowych. Była project managerką i organizatorką dla wielu organizacji międzynarodowych. Obecnie pracuje jako koordynatorka w Ukraińskim Hubie Edukacyjnym i kontynuuje działalność na rzecz osób potrzebujących.

DARIA WASZKIEWICZ

„Bardzo proszę!”. Pamiętniki białoruskiej rodziny

Tekst oryginalnie napisany w języku rosyjskim.

Tłumaczenie: Ekaterina B.

16 czerwca 2021 roku my, Dasha i Siergiej, niosąc nasze dzieci, Dominika i Stefana, kota Pixela oraz pięć walizek, wsiedliśmy na pokład samolotu do Stambułu. Oczywiście łatwiej byłoby polecieć bezpośrednim lotem Mińsk-Warszawa, ale wtedy te rejsy były już odwołane po incydencie z samolotem Ryanair, który przymusowo wylądował na lotnisku Mińsk-2 przez białoruskie pseudo-władze*.

Poleciliśmy do Turcji, zostawiając na Białorusi naszych rodziców, nasz dom na ulicy Naukowej, śpiew ptaków w lesie za oknem i nadzieję na szybki powrót. O dziwo to Pixel najlepiej zniósł dwunastogodzinny lot: tylko cicho zwymiotował w nosidełku podczas lądowania. I to był niezły początek naszej podróży w jedną stronę.

* 23 maja 2021 roku lecący z Aten do Wilna samolot linii Ryanair został przymusowo zmuszony do lądowania w Mińsku. Na pokładzie samolotu znajdował się białoruski opozycjonista Roman Protasiewicz i jego partnerka – Sofia Sapiega, którzy zostali aresztowani przez białoruskie władze.

5.11.2021

Listopad to ponury miesiąc. Żaden inny nie jest tak uciążliwy jak listopad. Nikt za nim nie przepada. Wszyscy starają się go przepędzić. Ale listopad się nie poddaje i stara się, jak może. Po pierwsze, oferuje grzane wino i ciasteczka bez ograniczeń, dając odpust od udręk sumienia. Po drugie, pozwala zamienić się na miesiąc w kota i poczuć, jak to jest spać 17 godzin na dobę. Po trzecie, w listopadzie urodziło się wielu dobrych ludzi – więc co? Mamy ich teraz zabrać i odrzucić? Cóż, to właśnie w listopadzie ożywiłam się nieco po przeprowadzce i znów zaczęłam pisać. Do przodu zatem!

26.12.2021

Akurat w Wigilię zaczął padać śnieg, a śniegowi jestem w stanie wiele wybaczyć, nawet najbardziej pasywno-agresywny rok. Bo śnieg jest jak kosmiczny portal. Zwykle ujawnia się, gdy wszyscy w domu już smacznie śpią, nawet kot rozłożył się jak Wenus z Milo na kanapie, a lampki na choince samostannie zgasty ze zmęczenia. A ty siedzisz na ~~wypizdowie~~ odległych przedmieściach Warszawy i wyglądasz przez okno... I nagle – bum! – jesteś w małym mieszkaniu na obrzeżach Uruczczy*, mama piecze ciasteczka z mlekiem skondensowanym, a obok grzejnika rozmraża się zimowy płaszcz z dzieciństwa (lamparci, twardy jak dąb – można się w nim poruszać tylko całym ciałem). Do płaszcza przyczepione są rękawiczki na sznurkach. Sanki są schowane na balkonie. Murka siedzi pod choinką, spokojnie, ale ze smakiem je świąteczną girlandę. I nie ma aresztowanych, pobitych, uwięzionych, chorych czy samotnych – jest tylko śnieg.

Ale w końcu musimy dalej „żyć”, jak mawiał w dzieciństwie jeden z moich znajomych. Ponieważ kosmiczne portale dla naszych dzieci same się nie stworzą.

18.02.2022

Dzisiaj książki zaoszczędziły mi 10 złotych. A zabrały 70.

* Uruczcza – dzielnica Mińska położona na jego północno-wschodnich obrzeżach, już poza obwodnicą miasta.

Po sesji osteopatycznej z miseczkami wyszłam na Nowy Świat i nagle widzę znak: „Tanie książki”. Myślę sobie, że to dobre przypadkowe znalezisko. Kieruję się w stronę wejścia do księgarni, po drodze w mojej torebce przeszukuję kieszenie w poszukiwaniu maseczki. Nagle rzuciła się na mnie młoda Romka.

– Ciociu, kup jedzenie! – powiedziała ze smutkiem w oczach.

Ja, patrząc na takie bliskie i ciepłe książki, odparłam:

– Okej, okej, kupię! Tylko najpierw muszę wejść do księgarni. Radośnie skinęła głową, mówiąc: „Poczekam tutaj”.

Następnie zanurzyłam się w „Tanich książkach” i, oczywiście, utknęłam tam na dłużej, bo w środku była literatura piękna, dziecięce książki z obrazkami za 10–15 złotych (zamiast standardowych 40), a także gry planszowe...

W szklanych drzwiach księgarni co jakiś czas pojawiała się twarz zaglądalej do środka Romki. A ja, trzęsącymi się rękoma, zbierałam książki. Po około 30 minutach nie wytrzymała i weszła do środka w towarzystwie swojej koleżanki dla moralnego wsparcia. Na początku przycupnęły przy książkach w pobliżu wejścia, ale w końcu zbliżyły się do mnie w gromadce. Podobnie jak kot Simona, wyciągnęły łapy w kierunku swoich ust i zapytały:

– No więc, idziemy jeść czy co?

– Tak, tak – odpowiedziałam. – Mam tu jeszcze trochę do przejrzenia. A za resztę pieniędzy, które zostaną mi po kupnie książek, na pewno kupię wam jedzenie! – obiecałam.

Dziewczyny spojrzały na stos książek w moich rękach, wymieniły spojrzenia, westchnęły i machnęły lekceważąco rękami, odchodząc.

– Dajcie spokój, może jeszcze coś odłożę! I tam są pączki przecenione! – krzyknęłam za nimi z desperacją. Ale nie wróciły.

Nawiasem mówiąc, ta taktyka zebrania nie jest dla mnie nowa. Około dwa miesiące temu transpściowa kobieta podeszła do mnie w strefie gastronomicznej Żółtych Tarasów i również poprosiła o kupienie jej jedzenia. Znudziło jej się jednak czekanie ze mną w kolejce do stoiska z burrito i zamiast tego znalazła mężczyznę, który kupił jej pieczonego łososia. Nie

dziwię się jej – też wybrałabym mężczyznę z łososiem, czemu nie? Albo, w najgorszym razie, książki.

31.03.2022

Przyszłam dziś na wizytę do ginekologa w Luxmedzie. Będąc sumienną pacjentką, przygotowałam się wcześniej. Wpisałam wszystkie moje diagnozy, problemy i pytania w tłumaczu Google, aby móc śmiało omówić je w polskiej terminologii medycznej.

Jadąc autobusem, starannie zakryłam ekran telefonu. Nie chciałam niechcący podzielić się moją historią medyczną ze wszystkimi pasażerami linii numer 190. Nie mogłam jednak przewidzieć, że kiedy wsiądę do windy centrum medycznego z dwoma pracownikami budowlanymi i elegancko wyglądającą kobietą, tłumacz Google, wyraźnie męskim głosem, postanowi ODCZYTAĆ NA GŁOS wszystkie moje diagnozy.

Musiałam przypadkowo nacisnąć przycisk „Voice over”. Gdy gorączkowo odblokowywałam ekran i próbowałam powstrzymać męski głos Google (nie, nie przyszło mi do głowy wyciszenie dźwięku), on zdołał podzielić się ze światem najbardziej soczystymi szczegółami. Robotnicy budowlani byli nieco zaskoczeni, słuchając szczegółów na temat zespołu policystycznych jajników i innych uroczych schorzeń, ale starali się zachować pokerową twarz. Bez mrugnienia okiem wysiedli piętro przed moim celem.

Pospiesznie podążyłam za nimi, po czym zdałam sobie sprawę, że to nie moje piętro, i wróciłam do windy. Resztę podróży spędziłam w ciszy – tylko ja, kobieta i tłumacz Google – już milczący.

14.04.2022

Dziś wieczorem, gdy szykowaliśmy się do spania, Stefan zapytał, kiedy będą „te święta z króliczkami i barankami” (Wielkanoc). Odpowiedziałam, że już w ten weekend. Natychmiast wstał z łóżka i powiedział: „Co?! Nasze okna nie są umyte! Co będziemy robić?!”.

Błogosławię wychowawców Stefana i ich lekcje historii świąt i „czystego czwartku”.

18.04.2022

Dzisiaj spędziłam cały dzień, rozrzucając czekoladowe jajka na ulicy. Stefan powiedział mi rano, że zajaczek wielkanocny zostawia jajka na ulicy, a kto znajdzie ich więcej, będzie miał szczęście. (Prawdziwe szczęście polegało na tym, że w pudełku babeczek, które wczoraj podarowała nam rodzina Tkachuk, było pięć czekoladowych jajek owiniętych w kolorową folię jako dekoracja. A wielkanocny zajaczek się nie skompromitował. A mógłby, bo sklepy w Polsce są zamknięte w święta).

O zajaczkach wielkanocnych Stefan dowiedział się w przedszkolu wraz z innymi ciekawymi rzeczami, takimi jak to, że w Wielkanoc w domu musi być baranek, którego trzeba upiec. Musi być też kurczak. Krótko mówiąc, nie mogłam uniknąć kolorowania jajek. Tak więc w Wielką Sobotę wyrzeźbiliśmy baranka, zajaczkę, pisanki, a także uśmiechniętą buźkę z ciasta solnego i upiekliśmy je. Na szczęście na pobliskim jarmarku udało mi się kupić plastikowe kurczaczki (których nóżki dwie godziny później zostały przyklejone chińskim klejem) za 2 złote. Jajka zanurzyliśmy w domowej roboty barwnikach z kurkumy, hibiskusa i buraków. Stefan kazał mi też zrobić dziurkę w jednym jajku, żeby mógł je ręcznie pomalować. Na jednej stronie narysował uśmiechniętą buźkę, a na drugiej zombie (twarz zombie była uderzająco podobna do pierwszego białoruskiego prezydenta, co zauważył prawie każdy, kto widział jajko). Chciał też powiesić to jajko na sznurku (JAK UCZYLI W PRZEDSZKOLU), ale mój przedsięwziętczy entuzjazm już się wyczerpał.

W niedzielę pomalowaliśmy nasze figurki z masy solnej i przywitaliśmy gości – rodzinę Tkachuk. Dobrze się bawili – pierwszy raz w czasie Wielkiego Postu popijali u nas gin. Myślę, że ten fakt przyczynił się trochę do tego, jak bardzo Marta i Artem swobodnie podeszli do faktu, że Sara zrobiła sobie nazyjnik z gumy do żucia, którego część beznadziejnie utknęła w jej włosach. Marta, nie wzdrygając się, uśmiechnęła się i kontynuowała picie ginu. Potem graliśmy w „Wsiąść do pociągu”, było świetnie...

A wewnątrz naszego domu zmieniło się: teraz ramię w ramię z Batmanem, ninja i szkieletem dinozaura na patykach, dumnie stoi kulawy baranek, króliczek i jajko zombie.

26.05.2022

Siergiej, wyciągając się rano w łóżku, mówi:

– Dashichka, już lato! Noś spódniczki i sukienki częściej!

A ja odpowiadam:

– Sierioża, zbyt często wpadam w dość niezręczne sytuacje. I jeśli będę wówczas w spódnicy, sytuacje zamieniają się w jeszcze bardziej niezręczne!

Siergiej westchnął, a ja prowadzę Stefana do przedszkola. Cieszymy się naszym czterominutowym spacerem, słońce świeci, i nawet się nie spieszymy, bo, o dziwo! – nie spóźnimy się na śniadanie. I oto zbliżamy się do świętego ganku przedszkola, a ja zadowolona marszczę oczy, zdejmując z nosa matowe słoneczne okulary, i elegancko odrzucam z oczu nieumyte włosy... I nagle jakiś polski tatuś w kremowej przylegającej koszuli *slim fit*, wychodząc z przedszkola, postanowił zabłysnąć swoją szlachetnością i przytrzymać nam drzwi.

Już wtedy, przewidując niezręczną sytuację, myślę: „Dlaczego? Jeszcze trzydzieści metrów i dziewięć schodów!”

Ale, również chcąc odpowiedzieć uprzejmością na uprzejmość, zawołałam do Stefana: – Chodźmy szybko! – i pobiegłam w stronę podwórka, i potknęłam się na schodach.

Stefan w milczeniu przeszedł obok mnie, udając, że się nie znamy. Polski tata powiedział zaś: – Nie spiesz się, nie biegnij tak!

A ja pomyślałam: „Ale ja już dotarłam”.

Zostawiwszy Stefana w przedszkolu, zastanawiałam się nad pójściem na kawę, ale potem stwierdziłam, że ważniejsze jest umycie głowy. Dzisiaj w przedszkolu po obiedzie było święto z okazji Dnia Rodziców. W drodze powrotnej do domu spotkałam oczywiście tego samego polskiego tatę, który widział mój upadek moralny na przedszkolnych schodach. Niósł dużą paczkę, a gdy mnie spotkał, uśmiechnął się szeroko i powiedział: – Miłego dnia!

„Cholera!” – pomyślałam, a na głos powiedziałam: – I panu też!

A ty, Siergiej, mówisz – „spódniczki”...

29.05.2022

Dziś udaliśmy się na plac Defilad na Międzynarodowe Targi Książki. Zebrało się, jak zwykle, trzy tony – większość dla Stefana. Potem poszliśmy do pobliskiego parku, są tam piękne drewniane leżanki-hamaki. Jeden z nich przypadł mi do gustu i natychmiast przejęłam nad nim kontrolę, podczas gdy Sierioża ze Stefką bawili się, grając w Smoka i biegnąc dookoła. W pewnym momencie Sierioża wyobraził sobie, że jest baletnicą, i postanowił przeze mnie przeskoczyć. Nieco źle obliczywszy trajektorię lotu, zderzył się z moim prawym kolaniem całymimi swoimi 113 kilogramami (plus pędem fizycznym). W tym momencie doświadczyłam w praktyce wyrażenia „iskry z moich oczu”.

Teraz oboje utykamy: Siergiej na lewą nogę, ja na prawą. Nie tak wyobrażałam sobie rodzinną sielankę.

6.06.2022

Dziś zgubiłam elektroniczną wejściówkę do przedszkola. Kiedy przyszłam odebrać Stefana, przycupnęłam na werandzie, mając nadzieję, że któryś z rodziców będzie wchodził lub wychodził – ale w pobliżu nie było żadnego taty w przewiewnych koszulkach. Wyciągnęłam szyję i zajrzałam przez okno grupy Stefana na pierwszym piętrze. Na szczęście Stefan akurat siedział przy oknie i coś rysował.

– Stefan! – zawołałam.

Zero reakcji.

– Stef! – powtórzyłam głośniej.

Cisza.

Kiedy krzyknęłam po raz trzeci, nie tylko Stefan, ale wszystkie inne dzieci w grupie mnie usłyszały. Radośnie podbiegły do okna, aby zobaczyć, co to za dziwna dama czołga się pod ich oknami. Jedno z nich było lekko uchylone, więc powiedziałam Stefanowi, żeby poprosił nauczycielkę, żeby przyszła i otworzyła mi drzwi.

– Gdyby tylko dzisiaj była pani Ania, chociaż pani Ania! – powtarzałam pod nosem.

Drzwi otworzyła pani Dorota – z tradycyjnie malującą się na jej sześćdziesięcioletniej twarzy tęsknotą za światem.

Wyglądało na to, że zaraz przewróci oczami. Kto by pomyślał, że przyjeżdżając do Polski, po raz pierwszy w życiu spotkam radziecką wychowawczynię?

– Czy weźmiesz torebkę? – ta fraza, unosząc się w powietrzu, przywitała nas, kiedy Stefan przygotowywał się do wyjścia z grupy.

Z przedszkola pojechaliśmy na wizytę do dentysty, ponieważ przez ostatni tydzień Stefan skarżył się, że boli go górny ząb. Doktorka od razu „zdiagnozowała” dwa ubytki i podwinęła rękawy.

– Czy będzie boleć? – zaniepokoił się Stefan.

– Nie – obiecała lekarka.

W ciągu tych dziesięciu minut, kiedy wiercili Stefanowi zęba, byłam całkowicie spięta – moje pierwsze w życiu plombowanie. Ale Stefanowi nic się nie stało, po prostu leżał. Słusznie więc otrzymał od dentysty honorowy tytuł dzielnego pacjenta.

11.06.2022

Wzbudzam zaufanie Romów, bezdomnych i pijaków. Oni z kolei nie budzą we mnie specjalnego zaufania, ale nasze kontakty są pełne ciekawostek. Dziś, zabierając Stefana na poranne zajęcia malarskie, radośnie nasadziłam okulary na nos i ruszyłam w kierunku piekarni „Putka”, marząc o śniadaniu w postaci cappuccino z rogalikiem. Przy przejściu dla pieszych nagle rzucił się na mnie pan o czerwonym obliczu w kształcie „malinowego pomidora”. Było widoczne, że on także marzy o sobotnim śniadaniu – ale nie o cappuccino.

– Przepraszam bardzo! – wykrzyknął.

Wahałam się przez dosłownie dwie sekundy, ale to wystarczyło, by mnie osaczył.

– Proszę pani, czy miałyby pani może trochę drobnych, żebym mógł kupić lekarstwa dla mojej żony? Jest bardzo chora. Nazywa się Iwona Gluz. A ja nazywam się Jan Gluz. Nie jestem jakimś złodziejem! Jestem Jan GLUZ! – powtórzył mój rozmówca nieco głośniej (być może w nadziei, że uda mi się go wygooglować na miejscu).

– Nie mam gotówki – odpowiedziałam, próbując być opanowaną.

– To nic, tutaj w okolicy jest wiele banków. Będę pani towarzyszyl! – oznajmił radośnie Jan.

Nie spodziewałam się takiego obrotu sprawy.

– Chodźmy, chodźmy, niedaleko stąd! – ponaglił Jan. A ja poszłam za nim, powoli.

– Pani z Ukrainy? – zapytał.

– Nie, jestem z Białorusi.

– Pani mówi po polsku tak pięknie! Prawie bez akcentu! O, pani też lekko kuleje? Ja też kuleje, no! – Jan klepnął się w nogę. – To sprawka moich dzieci! Oni nas z żoną obrabowali i pobili. Nie daj Boże nikomu takich dzieci!

Rodzinną historią Jana Gluza stawała coraz bardziej dramatyczna, a piekarnia, w której czekało na mnie cappuccino z rogalikiem, coraz bardziej się oddalała. Jan nagle podszedł do kilku młodych chłopców i zapytał:

– Czy możecie mi powiedzieć, gdzie jest najbliższy bank?

– Po drugiej stronie ulicy! – odpowiedzieli entuzjastycznie.

Był zachwycony i nawet na chwilę przestał utykać. Po-deszliśmy do oddziału banku Santander, który niestety był zamknięty – była sobota. Jan podekscytowany naci-snął palcem na bankomat. Wtedy dostrzegłam szansę na ucieczkę.

– Janie! Nie potrzebuję bankomatu, bo nie mam karty. Muszę wymienić białoruskie pieniądze!

– No, to chodźmy dalej – tuż obok jest jeszcze jeden bank, powinien być otwarty! – powiedział Jan.

– Nie, pojedę do centrum miasta, poszukam tam kantoru.

– O, to ja pójdę z panią!

– Nie! – powiedziałam zdesperowanym tonem. – Muszę jeszcze odebrać dziecko i tak dalej. Przepraszam, Janie, że nie wyszło.

– To nic! – usiadł w ukłonie Jan. Gdyby miał kapelusz, pewnie by go zdjął. – Innym razem. Miłego dnia, pani!

– Wzajemnie, Janie!

Rozeszliśmy się w różne strony. W tym momencie szłam w niewłaściwym kierunku i długo krążyłam po okolicznych podwórzach, by przypadkiem nie natrafić ponownie na Jana. Jana Gluza.

Tak więc nie wypiliśmy cappuccino na śniadanie, ale dowiedziałam się w praktyce, czym jest asertywność – szkoda, że nie moja.

7.08.2022

Dziś w centrum Warszawy odbył się marsz poświęcony białoruskiemu Dniowi Niepodległości, który przypada na 9 sierpnia. Według mojej oceny uczestników było około pięć razy mniej niż rok wcześniej. Cóż, życie toczy się dalej, Mazury wzywają... I jakoś wywołało to we mnie smutek. Oczywiście, odpowiadam tylko za siebie, ale moje alter ego, Dasha-dyktatorka, kazałaby wszystkim lokalnym Białorusinom chodzić po całej Warszawie!

Stefan z radością deklamował „Niech żyje Białoruś!” i „Łukaszenko to koza” (coż, nieco zmodyfikował w ten sposób klasyczne „Łukaszenko w więzieniu!”) – podobało mi się to jeszcze bardziej.

Jesteśmy w Warszawie prawie czternaście miesięcy. Coraz częściej śni mi się las na Nawuce i Leskowicy.

18.08.2022

No co myślicie? Jarzębina jest już czerwona! „Back to school”, jesienny dym i upadek. Ja, jak zawsze, zaczynam narzekać w sierpniu. Ale smutek teraz jest dość ospały, bo na dworze jest powyżej trzydziestu stopni: upał, idziesz i czujesz, jak pot spływa po plecach w majtki. Ratują mnie lniane sukienki w rozkloszowanych fasonach. A jak przetrwać mają mężczyźni? – oto dopiero pytanie.

Wieczorem wzięłam serowy deser, usiadłam na balkonie i przygotowałam się, by cieszyć się ostatnimi chwilami ciepłego lata, oddając się egzystencjalnym rozważaniom o ulotności bytu... I wtedy przyszedł Pixel, zwinny jak zwykle, skoczył do doniczki, w której dwa miesiące temu posadziliśmy kwiaty, które wciąż nie wypuściły pąków, i lekkim ruchem zaczął kopać łapami w ziemi z wyraźnym zainteresowaniem, a potem zrobił kupę.

Postanowiłam nacieszyć się letnimi chwilami kiedy indziej, bo po babraniu się w ziemi zmieszanej z gównem mój

egzystencjalny entuzjazm przygasł. I wydaje mi się, że już wiem, dlaczego kwiaty w tej doniczce wciąż nie wykiełkowały.

II.10.2022

We wrześniu nagle zrobiło się chłodniej. Żegnaj „plus trzydzieści stopni”! Kiedyś cię kochałam, w przeciwieństwie do uczuć, jakimi darzą cię Siergiej i nadciśnieniowcy.

Stefan zaczął klasę zerową w szkole. Niby niewiele różni się to od przedszkola: dwie lekcje angielskiego i jedno zajęcia wychowania fizycznego tygodniowo. Wygodne jest jednak to, że wszystkie dodatkowe zajęcia odbywają się na terenie szkoły, a nauczyciele sami odbierają i odprowadzają dzieci. Stefan zażądał zapisania go na karate i szachy.

Kot, w objęciach jesiennej melancholii, skoczył z balkonu. Jak mu się to udało, nikt nie wie. Po prostu wyszedł zaczerpnąć świeżego powietrza. Tym razem wylądował nie na balkonie sąsiada, ale w naszym ogrodzie wśród winorośli i tam go znalazłam. Następnego dnia zabrałam go do weterynarza na badanie. Weterynarz zbadał go i powiedział: – Wszystko jest w porządku, ale trzeba mu usunąć kilka zębów. Czujesz jego oddech?

– Tak, czuję. Ale myślałam, że tak powinno być. Koty czyszczą się tam językami i w ogóle.

– Nie, to dlatego, że ma kilka zepsutych zębów na dole.

– A ile w przybliżeniu będzie kosztować procedura usunięcia zęba? – zapytałam zaciekawiona.

– Między 350 a 850 złotych.

Przełknęłam ciężko ślinę w milczeniu; to były najdroższe zęby w naszej rodzinie w tym sezonie.

Na podstawie badań Pixel został skierowany na operację (ze znieczuleniem ogólnym). W poniedziałek zawiozłam go do kliniki weterynaryjnej i zostawiłam tam na 4 godziny. Kiedy przyszedłam go odebrać, lekarz poszedł do innego pokoju, aby go „spakować”. Słyszałam tylko gdzieś z głębi korytarza: „Phhh, miauuu!”. Lekarz wrócił z pustymi rękami i powiedział: – Może pani go sama spakować? Chce mnie podrapać.

„Cholera, znawcy dusz zwierząt!” – pomyślałam sobie, ale na głos powiedziałam: – Nie ma sprawy!

Pixel przycisnął się do tylnej ściany klatki pooperacyjnej, syczał groźnie i zawodził. Ponieważ jednak podczas pierwszej wizyty mądrze poprosiłam innego lekarza o przycięcie pazurów, śmiało sięgnęłam do klatki i wyjęłam kota. W swojej rodzimej klatce od razu ucichł i uspokoił się. Zęby Pixela (usunięto ich pięć!) kosztowały nas 700 złotych. Plus pieniądze na badania, kilka zastrzyków antybiotykowych po zabiegu itp. Zrobiliśmy prawdziwą inwestycję w naszego kota.

Przez cztery dni musieliśmy podawać mu po połówce tabletki antybiotyku w domu. Ale kot zjadł tylko półtora, a pół tabletki sama wzięłam.

W weekend przyjechali do nas goście: Kuzmankowowie z Bułgarii, Lenka z Vitalikiem i dziećmiakami z Urotslav. Tak więc na naszych stu metrach w pewnym momencie spotkały się trzy rodziny z pięciorgiem wesoło wrzeszczących dzieci, a także Dominik i jego przyjaciel Danila, którzy mieszkali z nami przez ostatnie dwa tygodnie, kot po operacji i psy. Zmyto wiele naczyń, przygotowano wiele łóżek i ugotowano dużo grochówki w pięciolitrowym garnku...

W sobotę, po powrocie do domu z lekcji malarstwa Stefana, próbując dać kotu jego pół tabletki, przypadkowo wzięłam ją sama. Patrzyłam przez kuchenne okno na jesienny ogród i zastanawiałam się, kiedy wreszcie skończy się moja migrena.

W niedzielę wszyscy się spakowali i wyjechali. W poniedziałek Stefan w końcu poszedł do szkoły. Ale ja wciąż podejrzliwie wsłuchuję się w ciszę panującą w domu. I od czasu do czasu przypominam sobie o tych połówkach tabletek, które zanieczyszczają moje wnętrzości.

29.II.2022

Przebiłam sobie palec wykałaczką, kiedy byłam na zajęciach z ceramiki. Zaczęła mocno płynąć krew. Członkowie grupy zebrali się wokół i zapytali:

– Czym to zrobiłaś?

– Wykałaczką – mówię.

– Nie, nie. To nie może się stać od wykałaczk!

– Ha! Nie doceniasz mojej zdolności do samoookaleczania! – odpowiedziałem dumnie.

Następnego dnia rozciąłam sobie palec drugiej ręki na klamce od drzwi wejściowych. Przecięłam go. O klamkę od drzwi. I nie było się komu chwalić. Tylko Pixel patrzył sceptycznie, jak owijam ranę papierem toaletowym. Cóż, kotek generalnie uważa nas za lekkich idiotów – dla niego to nie pierwszy raz.

Ale dzisiaj nadeszła godzina rozrachunku. Ostatnio zaczął konsekwentnie robić kupę w wannie. W ciągu dnia sika do kuwety, a rano w łazience jest pachnąca kupa gówna: „Dzień dobry, ludzie!”. Wczoraj rozwiązaliśmy problem w najbardziej oczywisty sposób: nalaliśmy trochę wody do wanny, żeby kot nie mógł tam wskoczyć. Ale w nocy woda częściowo spłynęła przez luźno wepchnięty korek i Pixel zdołał zrobić swoje czarno-brązowe rzeczy na suchym łądzie.

Wczoraj własnoręcznie nalałam do wanny wody po łydki i szczelnie zakreśliłam korek. I tak, dzisiaj o wpół do siódmej rano cały dom usłyszał gniewne „Miauuu!”. Wchodząc do łazienki, zobaczyłam mokre ślady małych, podstępnych łapek na podłodze i z zadowoleniem wciągnęłam piersią powietrze (które nie śmierdziało gównem).

Kot cały dzień chodził w pobliżu łazienki, od czasu do czasu wchodził do środka i ostrożnie zaglądał do wanny. Podczas obiadu uprzejmie zrobił kupę do swojej legalnej kuwety. Wieczorem, gdy wróciłam z zajęć, wskoczył mi na ręce, ułożył się w wygodniejszej pozycji, zwinął w kłębek... I usłyszałam w jego mruczeniu coś w stylu „To jeszcze nie koniec”.

„Chyba mi się wydawało” – pomyślałam.

29.12.2022

Nie żebym wiązała szczególne nadzieje z rokiem 2023. 2020, 2021 i 2022 na początku wydawały mi się dobrymi, a potem działy się w ich trakcie wszelkiego rodzaju nieprzyjemne rzeczy. Dlatego powściągliwy realizm jest dla nas wszystkim. A nasze wyniki za ten rok są normalne, z ludzką twarzą. Stefan wkracza w rok 2023 bez kolejnego zęba. Długo leżał na dziąśle Stefana i trzymał się go swoimi niebieskimi palcami. Ale podczas kolejnego spotkania z Sarą, drogą przyjaciółką syna, ta uderzyła go w twarz – i ząb wyleciał. Stefan w ciągu kilku lekcji nauczył się pływać na plecach.

Pixel nie nauczył się pływać na plecach, ale jeśli chodzi o zęby przewyższył nas wszystkich: zostawił pięć zębów w 2022 roku. I to nie jakichś mlecznych, ale stałych. Pixel również wkracza w Nowy Rok z nową kuwetą (ponieważ stara jest pęknięta), ale ze starym nawykiem obsikiwania miękkiego dywanu w łazience.

W moje urodziny Siergiej i przyjaciółki zabrali mnie w góry – i było pięknie: śnieg, słońce – 10 stopni... i sanki! Kupiliśmy sanki dla Stefana, ale... sami rozumiecie. Za to syn uszczęśliwił mnie z głębi serca w dniu moich urodzin. Tańcząc z natchnieniem wokół mnie, śpiewał:

– Mamo, mamo! Gratulacje!!! Dziś masz 67 lat!!!

Nie byłam gotowa na taki przeskok w czasie, a Stefan, szybko odczytując wyraz mojej twarzy, natychmiast się poprawił:

– Trzydzieści w sensie! Trzydzieści siedem!

– Mam trzydzieści siedem lat, mam trzydzieści siedem lat, mam wszystko przed sobą! – mruknęłam zgodnie ze starą, dobrą tradycją.

Wkraczam w nowy rok z kilkoma nowymi drukowanymi tłumaczeniami i starym, zepsutym kolaniem.

Siergiej wkracza w nowy rok ze starą pracą – i dobrze, bo w grudniu jego firma zwolniła 15% pracowników. Dodatkowo Siergiej wkracza w rok 2023 z nowym katarem. Był chory w zeszłym tygodniu, tuż przed Bożym Narodzeniem. Dlatego gdy Stefan i ja piekliśmy i dekorowaliśmy pierniczki 24 grudnia, Siergiej leżał z gorączką, wydmuchiwał nos i jęczał. Ale był w stanie jeść. Myślę, że to go uratowało – i teraz jest już prawie w porządku.

A tymczasem, zgodnie z prognozą, 1 stycznia 14 stopni w Warszawie. Na naszym balkonie wzeszły posadzone w październiku żonkile.

27.02.2023

Ostatnio przyjechał Sasha, przyjaciel Siergieja z Mińska. Wspominaliśmy różne dobre rzeczy. Doszli do wniosku, że kiedy trzydziesto- lub czterdziestoletnia osoba mówi „to było bardzo niedawno”, to to „niedawno” oznacza co najmniej 10 lat.

Niedawno odwiedziliśmy Saszę z żoną. Właśnie wtedy, gdy byłam w ciąży ze Stefanem, czyli 8 lat temu.

Siergiej dobrze się trzyma, choć został zwolniony podczas podróży służbowej do Bukaresztu. Jest dla nich zbyt kosztownym ekspertem: same bilety lotnicze – ile kosztują? Teraz zastanawia się nad swoim prawdziwym powołaniem, które przy dobrym układzie byłoby ściśle związane z pieniędzmi. Żegnaj karto pobytu i tyle. Mogłabym napisać, że teraz żyjemy z moich 2400 złotych stypendium, ale nie. Po zwolnieniu Siergiej dostaje jeszcze trzy pensje, więc jest wystarczająco dużo czasu na egzystencjalne przemyślenia o powołaniu.

Nawiasem mówiąc, stypendium jest mi wypłacane, ponieważ pod koniec grudnia rozpoczęłam studia na kierunku „Studia dyplomatyczne” dla Białorusinów. Zgłosiłam się na nie, mimo że limit wieku w ogłoszeniu wynosił 35 lat. Ale Siergiej zachęcał i motywował: „Składaj podanie, przecież nagle nie zdobędą młodych i mądrych, a ty jesteś!”. I właśnie tak to poszło. Więc teraz do lipca znów jestem studentką. Zaczęliśmy nawet uczyć się francuskiego w ramach kursu. – Je m'appelle Daria, nice to meet you, jestem z Białorusi and I don't understand why there are fifteen letters in this word and only three syllables – tak rozmawiamy na lekcjach francuskiego. Ale powiem wam, że taktyka „W każdej niejasnej sytuacji mów mieszanką języków” działa również tutaj. Jeśli naprawdę chcę powiedzieć coś po francusku na lekcji, a nie znam odpowiednich słów (a w tej chwili znam około stu pięćdziesięciu odpowiednich słów, z czego sto to nazwy liczb), biorę angielskie słowo i stawiam akcent na ostatnią sylabę. W dwudziestu procentach przypadków to działa. Pod koniec roku będziemy zdawać egzamin na A1, więc będzie zabawa (szczególnie dla tych uczniów, którzy zaczęli uczyć się języka polskiego od zera w tym samym czasie!).

Stefan wrócił dziś do szkoły po dwutygodniowych feriach. Wrócił już jako siedmiolatek i bez kolejnych dwóch górnych zębów. Na urodziny dostał od kolegów dużo kart Pokémon – nowy trend wśród dzieci. Lego odeszło w zapomnienie i teraz tylko lampka nocna w kształcie Pikachu, pluszowy Pikachu i sweter z Pikachu rozgrzewają serce młodego wojownika...

Pixel niedawno ukradł kawałek gotowanego kurczaka, który Siergiej niedbale zostawił na stole. Znalazłam ten torturowany i nadgryziony kawałek na korytarzu. Przykucnęłam i podniosłam resztki mięsa z podłogi, narzekając pod nosem: – Nie, co to jest? Wrzuc chociaż ten kawałek do swojej miski, ty puszysta świni!

Dominik, przechodząc w tym momencie obok mnie ze swoją kanapką, powiedział:

– Nie złość się, zaraz wezmę talerz!

Tak właśnie żyjemy.

17.04.2023

A tu już wiosna: drzewa kwitną, słońce świeci, ptaki szaleją. Stefan opowiada, idąc ze szkoły:

– Mamo, nauczyciele mówią, że pączki pojawiły się już na wszystkich drzewach, ale ja nigdzie nie widziałem ani jednego. Chyba wszystko zmyślają!

„Pączki” po polsku oznaczają pąki drzew i słodkie pączki. Najwyraźniej mój syn jest bardziej obeznany w słownictwie gastronomicznym.

Poszłam dziś na kolejny wykład. Była ambasadorka Polski w Hiszpanii opowiedziała wiele anegdot o swojej pracy – w szczególności o tym, jak została zaproszona na rodzinny obiad przez ambasadora jednego ze wschodnich krajów i poczęstowana jagnięcym tłuszczem i mięsem żutym (!) przez jego żonę.

– Pamiętajcie więc – podsumowała ambasadorka – dyplomaci, jako przedstawiciele swojego kraju, często zmuszani są do robienia rzeczy, których nie lubią. Wcale nie jestem fanką przeżuwanego mięsa, ale oczywiście zjadłam je, podziękowałam gospodarzom i zapewniłam, że było bardzo smaczne. Chociaż potem przez tydzień byłam chora i nie mogłam nic jeść. Ale schudłam o kilka kilogramów. I jeszcze jedna ważna rzecz! Ambasador musi zawsze dobrze wyglądać: w czystych ubraniach, z zadbaną fryzurą – w każdej sytuacji!

Po wykładzie poszłam do kawiarni coś zjeść. Kiedy byłam mniej więcej w połowie mojej kanapki z kozim serem, dziewięcioletni chłopiec zwymiotował w przejściu przede mną – nie

zdążył dobiec do łazienki z mamą. No cóż, nie można pozwolić, aby takie wydarzenia zepsuły apetyt głodnej studentki Dashy, więc dokończyłam bułeczkę i cappuccino, obserwując, jak pracownica kawiarni myje podłogę z wymiocin... W końcu, wypełniona i zadowolona z wiosennej bryzy, poszłam się ubrać. Dopiero gdy założyłam płaszcz, zauważyłam na moich piersiach, że przyjął on na siebie część wewnętrznego ciężaru chłopca. Trochę wymiocin wylało mi się nawet do kieszeni.

Tak szłam przez słoneczną Warszawę: syta, częściowo zadowolona z życia, w wyprasowanych ubraniach, ze schludną fryzurą i śladem rzygowin na płaszczu.

29.05.2023

W Warszawie ponad 23 stopnie, niedaleko naszego domu pełną parą kwitną akacje, a Siergiej z Dominikiem zgodnie narzekają, jak ciężko żyć w TAKIM upale. Dominik, jedząc na śniadanie naleśniki Siergieja, westchnął:

– Obudziłem się dzisiaj i pomyślałem, jak bardzo jestem zmęczony tym latem... A potem zdałem sobie sprawę, że lato się nawet jeszcze nie zaczęło.

Mówiąc krótko, chciałabym mieć tylko takie problemy. Nie narzekałam, ale pomalowałam paznokcie na niebiesko i kupiłam koszyk truskawek. Jemy truskawki z bitą śmietaną, którą, aby zminimalizować straty produktu, po prostu wciskamy do ust.

Oprócz śmietany naszemu życiu w Warszawie aktywnie towarzyszą świeże bułeczki, aperol, lody i inne słodczyce. Aby jakoś zrównoważyć ten proceder, kupiłam dla mojej rodziny hula hop – kręć nim i ciesz się chwilami wolnymi od bułek! Tylko kiedy próbowałam realizować swoje fantazje z wychowania fizycznego w domu, hula hop uparcie ze mnie spadał: – Hula hop się nie kręci, nie trzyma się jakoś...

– Patrz i ucz się! – zarządził Siergiej, który obserwował moje żalosne próby wejścia w świat wielkiego sportu.

Wskoczywszy na hula hop, Sierioża zakręcił nim jak akrobata z Cirque du Soleil. Wyłam z zazdrości:

– Dlaczego tobie się udaje, a mnie nie?!

– Trzeba tylko wciągnąć brzuch, bo z okrągłego obręcz spadnie.

– Jakiego okrągłego, Sierioża? Ja nic takiego nie mam!

Ale wyprostowałam się, schowałam swój brzuch... I hula hop zaczęło się kręcić również na mnie. Teraz muszę żyć z faktem, że mam brzuch. Na którym hula hop się nie trzyma.

Tę dramatyczną historię opowiedziałam dziewczynom, z którymi spotkałam się przy rieslingu na Google Meets. Tak teraz spotykają się cztery koleżanki z klasy z Mińska, które w tym roku mieszkają w Barcelonie, Warszawie, Wrocławiu i Mińsku. A Lenka i Natasza opowiedziały o swojej ostatniej wycieczce do Budapesztu, na którą je namówiłam, ale sama na nią nie polecałam. Bo najpierw przekonałam dziewczyny na lot i kupiłam bilety na wyprzedaży Ryanaira, a potem przypomniałam sobie, że czekając na kolejne pozwolenie na pobyt, nie mam prawa opuszczać Polski. Pam-pam! Ale dziewczyny polecały i nieraz wspomniały o mnie miłym słowem – na przykład na lotnisku w Modlinie, gdzie Natasza odłożyła torbę z butelką wody i kanapką na krześle w poczekalni i poszła do toalety. A kiedy wróciła pięć minut później, zespół saperów i policja już zebrali się wokół jej torebki.

– Czy to twoja torebka?! – warknął jej w twarz policjant.

– Moja – pisnęła Natasza.

– Co jest w środku?

– Woda.

– Chodź, wystawimy ci mandat!

– Ale to tylko woda!

– Czy to naprawdę tylko woda?

– Dokładnie.

– W porządku. Ale nie zostawiaj więcej swoich rzeczy bez opieki!

I Natasziczka poszła na ugiętych nogach na pokład... Ale Budapeszt wynagrodził wszystko: były termy, gulasz, szampan nad Dunajem nocą i nagi mężczyzna w saunie.

Żeby jakoś zaspokoić ból po stracie Budapesztu, w weekend poszłam z kolegami ze studiów na sztukę, po której kontynuowaliśmy wieczór przy piwie. Okazało się, że jeden z moich kolegów nadal odczytuje mój nick @dulsineum

na naszym telegramowym czacie jako „trucicielka” i podziwiał samoświadomość osoby, która wybrała sobie taki pseudonim. Teraz myślę o oficjalnej zmianie mojej nazwy TG na „dusząca” – elegancko!

Obiecują 26 stopni w czwartek. Planuję pokręcić hula hop i się spocić.

19.07.2023

Wiśnie i morele. Maliny i jeżyny. Czereśnie i wiśnie... Chciałam wymyślić jakieś słowo, które zastąpiłoby powszechnie „pożeramy”, ale nie da się go niczym zastąpić. Pożeramy owoce – i tyle.

Od początku czerwca Warszawę spowijają upały. Dla nas 30 to nic! Bielizna schnie po praniu na balkonie dosłownie w dwie godziny. I to nie tylko schnie, ale wręcz się dezynfekuje. Bakterie nie przejdą! Okresowo nasze rzeczy spadają z suszarki na balkon sąsiada z dołu (bo jest szerszy od naszego i wystaje). Sąsiad – cyrkowiec z dołu (którego imienia wciąż – to wstyd – nie znam) – raz nawet przyszedł do nas na górę, żeby oddać mi moją uciekającą skarpetkę. A ostatnio, wieszając mokre ubrania, upuściłam swoje różowe majtki na jego balkon. Upadły na cudzą podłogę. Wychyliłam się przez barierkę i beznadziejnie powiedziałam: „Blyhat!”*. I wtedy z dołu wyłoniła się twarz cyrkowca, radośnie oznajmiającego: „Mogę rzucić, łap!”. Podrzucił moje majtki – prosto w moje ręce. Mógłby przynajmniej pożonglować nimi trochę dla atmosfery. Ale dziękuję i za to.

Stefan ukończył klasę zerową w czerwcu. We wrześniu pójdzie do pierwszej. Uroczyście przysięgłam sobie, że nie będę siedzieć z nim nad kaligrafią do nocy. Ale jak będzie naprawdę – zobaczymy. Teraz w wakacje co jakiś czas zamieniam się w matkę-dyktatorkę i zmuszam Stefana do czytania po białorusku – żeby nie zapomniał tego języka. Ku mojemu zdziwieniu Stefan nadal dobrze oddziela białoruski od polskiego, choć od czasu do czasu polskie słowa wślizgują się do białoruskiego.

* ros. kurwa.

Nadal nie mamy prawa wyjeżdżać poza Polskę, bo wciąż czekamy na decyzję w sprawie pozwolenia na pobyt. Ale Białorusini są cierpliwi – będziemy czekać tak długo, ile trzeba. Czekanie z czereśniami wcale nie jest trudne. Trudno jest tylko w te dni, kiedy śni mi się las koło domu na Naukowej.

DARIA WASZKIEWICZ – pisarka i tłumaczka urodzona w Mińsku, na Białorusi. Jest autorką ponad 12 publikacji w języku białoruskim, rosyjskim i angielskim. Dodatkowo opublikowała dwie książki dla dzieci. Publikowała również ponad 13 opublikowanych tłumaczeń literackich na język białoruski i rosyjski, w tym 8 książek. Obecnie wraz z rodziną mieszka w Warszawie.

JULIA WORONINA

Ptak jest znakiem

Tekst oryginalnie napisany w języku ukraińskim.

Tłumaczenie: Antonina Ciużeńska.

Praca nagrodzona pierwszą nagrodą przez jury „Pamiętników Uchodźczych”.

I.

Przez półtora roku wielokrotnie wracałam do tego wspomnienia.

24 lutego 2022 – rozpoczęła się wojna.

Poprawnie jest mówić: „wojna na pełną skalę”, ale to tylko formalność, kiedy chodzi o twoje życie. Wojna nie może być częściowa, hybrydowa, na małą skalę czy jakakolwiek inna. Wojna albo jest, albo jej nie ma. Tak więc do 24 lutego 2022 roku, pomimo traumatycznych i bolesnych zmian, które zaszły w mojej rodzinie, pomimo faktu, że wojna, która wówczas nazywała się ATO*, zabrała kilka lat życia moim babciom, dziadkowi i ciotce z Horliwki**, pomimo łez mojej matki, która pojechała „tam” kilka razy, głównie po to, by pochować krewnych – pomimo tego wszystkiego, żyłam spokojnie.

* Strefa konfrontacji rosyjsko-ukraińskiej w Donbasie – część terytorium Ukrainy o specjalnym reżimie prawnym ustanowionym w wyniku agresji Rosji na wschodzie Ukrainy w 2014 roku. Obejmuje ponad połowę obszaru obwodów donieckiego i ługańskiego, a także niewielką część obwodu charkowskiego. Większość obszaru Strefy została wyzwolona przez siły ukraińskie podczas letniej kontrofensywy w 2014 roku.

** Horliwka – miasto we wschodniej części Ukrainy, w obwodzie donieckim. W kwietniu 2014 roku zostało opanowane przez rosyjskich separatystów i weszło w skład samozwańczej Donieckiej Republiki Ludowej.

Chodziłam z synkiem na place zabaw, zbierałam morwy do jego wiaderka z piaskiem (czarne na brzegu rzeki, białe na sąsiednim podwórku), biegałam po parku i wzdłuż nabrzeża, niebezpiecznie zbliżając się do miejsca, w którym mieszkała sfera bezpieczeństwa psów, biegałam też po San Francisco; pakowałam się, zostawiając albumy ze zdjęciami ślubnymi i moje pluszaki – które później znalazły miejsce w Kijowie – w naszym jednopokojowym mieszkaniu z widokiem na senne, nadrzeczne bloki, i nie zdawałam sobie sprawy, że za siedem lat zbiorę kilka ciepłych ubrań, dokumenty, zeszyty mojej ciotki z wierszami i zdjęciami, nakarmię starego sumika, dla którego nigdy nie kupiliśmy towarzysza w sklepie zoologicznym, bo przez lata nie zdołaliśmy się przywiązać do rybek, rzucę ostatnie, pełne niepokoju spojrzenie przez okno na tę promenadę, na mural dziewczynki w wyszywanej koszuli, i we czwórkę opuścimy nasz dom po raz ostatni, zostawiając dziecięcy stolik na podłodze, nie ścieląc łóżek, nie wynosząc śmieci ani nie podlewając awokado, które w ciągu siedmiu lat wyrosło z pestki na półtorametrowego olbrzyma.

Jestem jedną z tych osób, o których w mediach społecznościowych pisze się lekceważąco, że wojna zaczęła się dla nich dopiero 24 lutego ubiegłego roku. Czy jest mi wstyd? Tak, jest mi wstyd. I to bardzo.

Teraz wydaje mi się, że gdybym tylko słuchała, z uwagą przyglądała się przestrzeni wokół mnie, przestrzeni, w której roztaczał się zapach strachu, dezorientacji, błaganie o pomoc, może sytuacja potoczyłaby się inaczej. Trudno mi to opisać, ale prawdopodobnie jest to coś ważnego, być może najważniejszego w życiu. Mówi się jednak, że w naturze ludzkiej jest to, że nie chcemy zrozumieć na podstawie doświadczeń i przekazu innych, co to znaczy stracić dom, być blisko śmierci, bać się o życie dziecka lub odczuwać nieopisany ból straty – dopóki sami tego nie doświadczymy lub przynajmniej nie dotkniemy i nie pocujemy kłujących drobinek rozbitego szkła, popiołu i zniszczonej przyszłości przesączającej się między palcami.

Od czternastego roku życia udawało mi się ignorować tę klepsydre – dziecko, życiowy zawód, przeprowadzka, kolejne dziecko – ale klepsydra wciąż rosła, stawiała się coraz większa,

wyciskając spokój i pewność siebie z przestrzeni, aż pękła w ciemny poranek 24 lutego. Miliard najmniejszych ostrych odłamków uderzył w moje serce, wyprowadził neurony ze znieczulenia i uruchomił reakcję łańcuchową. Teraz rozumiem. Teraz wiem, kim jestem. Jestem Ukrainką.

2.

Co? Nie, jest za wcześnie, to nie budzik... To połączenie. Przez woalkę snu i przymknięte powieki widzę imię na ekranie telefonu – Ania R. Boże, nie. Tylko nie to. Jest tylko jeden powód, dla którego moja koleżanka może teraz do mnie dzwonić. Jej matka pracuje w szpitalu wojskowym, a Ania obiecała mnie ostrzec, jeśli niepokojące prognozy zamienią się w wiarygodne informacje.

– Słucham, Aniu.

To dziwne, że mój głos brzmi tak zwyczajnie na tle walącego serca.

– Julia, Kijów jest pod ostrzałem. Wyjedź z miasta!

Ania próbuje zapanować nad drżeniem głosu, trzymając się niektórych samogłosek.

– Uciekaj. Bierz dzieci i jedź do Lwowa, słyszysz? Uciekaj!

Chcę się sprzeciwić, powiedzieć coś w stylu: „Co to znaczy, że Kijów? Mówiłaś, że dasz mi znać, jak się zacznie na wschodzie”. Chcę krzyknąć: „Aniu, co mamy robić?”

Ale po prostu jej dziękuję, coraz wyraźniej słysząc łomot serca na tle mojego słabnącego głosu.

Włączam światło w pokoju i próbuję wyjaśnić rozmowę zapanemu mężowi. Język mi drętwieje i jest mi zimno. Roma wygląda przez okno, głośno drapiąc się po obu nogach. Moje zmysły pracują na zmianę. Ciepłe skarpetki. Dwie pary spodni powinny wystarczyć. Dlaczego jest tak zimno? Co to za dźwięk? Ciii... Zadzwoń do Liskowych. Dzwonię, ale nie odbierają.

Zaciskam szczęki najmocniej, jak potrafię, bo inaczej moje zęby zgrzytają nieznośnie.

– Mam obudzić dzieci?

– Poczekaaj, aż wszystko spakuję i wtedy to zrobię. Pieprzone siatki po zakupach, odłóż je, proszę!

Ale Roma nie słyszy, cały czas przegląda telefon. Znowy wygląda przez okno.

– Nazar na pewno nas przyjmie?

– Tak, właśnie do niego napisałem.

Szczoteczki do zębów, ręczniki, lekarstwa. Nie, to później.

– Sasza, obudź się, kochanie, Denisko, kotku, wstawaj. Ty się obudź, a ja cię ubiorę. Czy musimy pilnie jechać? Cóż... Na wybieżkę. Tak, na wakacje. Nie powiedzieliśmy ci... Nie wiedzieliśmy, kochanie, porozmawiamy później, dobrze? Pozwól, że cię ubiorę.

Dwie walizki, dwa plecaki, torba Denisa – listonoszka z Batmanem pełna samochodów.

W samochodzie jest zimno, ale ruch się trochę uspokoił. Wyjeżdżamy z podwórka, po prostu wyjeżdżamy z podwórka – tak jak robiliśmy to setki, tysiące razy w ciągu ostatnich ponad sześciu lat. Dojeżdżamy do promenady i skręcamy w prawo. Minęliśmy liceum wojskowe, sklep ekologiczny i biuro Romy i Nazara, w którym pracowałam przez kilka tygodni zeszłego lata. Roztaczał się stamtąd piękny widok na Matkę-Ojczyznę*. Niebo nad pomnikiem jest zawsze dramatyczno-epickie, niezależnie od pogody. A teraz patrzę przez okno po lewej – co kryją te spiętrzone szare chmury, które rzeźba, zdaje się, chciałaby rozpruć czubkiem miecza jak brzuch potwora? Któż nie bał się jej surowego i dumnego wyrazu twarzy i silnych rąk trzymających tarczę i miecz? Na ulicy Bojczuka jest zaskakująco pusto. I właśnie dlatego pojawiła się myśl – tak bardzo pożądana – że to wszystko jest straszną pomyłką, kolejnym medialnym *fake newsem*, który wkrótce zostanie sprostowany we wszystkich *mass mediach*. A my zawrócimy samochód, rzucimy kilka przekleństw z Romą – nawet nie po angielsku, na który się przełączamy, kiedy chcemy porozmawiać o czymś, czego dzieci nie powinny zrozumieć – pośmiejemy się, uspokojmy dzieci, obiecamy im McDonalda – tak, z deserem, i tak, nie muszą dziś iść do szkoły ani przedszkola, sami nigdzie nie pójdziemy. Kupimy słodycze i cały dzień będziemy oglądać kreskówki, od czasu do czasu ściskając się za ręce. I zapiszemy się na kolejną sesję terapii dla par.

* Matka-Ojczyzna – monumentalny pomnik stojący w Kijowie.

Jednak w okolicach kompleksu Centrum Wystawienniczego ta nadzieja zostaje rozwiana przez sznur samochodów, który ciągnie się – nie, rozciąga się – hen, hen poza linię horyzontu. Słyszę ryk i widzę we wstecznym lusterku ogromny helikopter, który wygląda jak szalony wieloryb pędzący, by staranować Łódź. Mąż i ja patrzymy na siebie i zamiast krzyczeć na całe gardło czy rzucić się sobie w ramiona, po prostu zaciskamy usta. Nawigacja historycznie podpowiada szacowany czas stania w korku: trzydzieści minut, sto minut, jedna godzina i czterdzieści pięć minut.

W trakcie jazdy nieświadomie wciskam prawą stopę w dywanik, jakby miało to pomóc Romie szybciej ruszyć na światła lub kogoś wyprzedzić.

Walizki. Plastikowe, poliuretanowe, dwukołowe i cztero-kołowe, skórzane lub z drogiego poliestru. Paczki, worki, torby, siatki i kufry. Buty w starannie ułożonych pudełkach, stosy pogniecionych ubrań, koce i poduszki, pluszaki z nagle nieszczęśliwymi oczami, naklejki „dziecko na pokładzie”, psy siedzące cicho bez najmniejszego szczeknięcia. Dzieci spokojne i wyciszone, gotowe w każdej chwili przypomnieć psom, że muszą poczekać, rodzice zajęci. Telefony. Telefony. Telefony. Opakowania makaronu i kaszy gryczanej wypadające z bagażnika po otwarciu, razem z podartymi trampkami i torebką Louis Vuitton. Jakiś mężczyzna wysiadł z samochodu i przeciągnął się. Jego twarz była zrelaksowana i wesoła, jakbyśmy wszyscy stali w typowym kijowskim korku przed Wielkanocą lub innym świętem. Natychmiast zanurzyłam się z powrotem w telefonie. Dlaczego ten człowiek się nie denerwuje? Może to już koniec? Czy jest jakieś oświadczenie rządu? Może ten człowiek jest w drodze na obiecane grilla u Zeleńskiego?

To przeciąganie się w środku korka utworzonego przez uchodźców musi zostać jak najszybciej uzasadnione. W przeciwnym razie postradam zmysły.

Eksplzje w Mikołajowie*. Eksplzje w Odessie. Eksplzje

* Miasto położone w południowej części Ukrainy, nad rzeką Boh, przy jej ujściu do Morza Czarnego.

w Irpieniu*. Dokąd jechać? – Nie panikujmy – mówi Roma. – Piszą, że atakują tylko cele wojskowe.

Na chwilę naprawdę puszczają mi mięśnie szczęki. A potem przypominam sobie szkliste, blisko osadzone oczy tyrana, który mówi, że cywile nie mają się czego obawiać, i zdaję sobie sprawę, że może to oznaczać tylko jedno – przybyli tu, by zabijać, niszczyć i równać z ziemią. Moja szczeka zaciska się z nową siłą, a ja nadal wciskam w podłogę niewidzialny pedał gazu.

Powinnam była nalegać, powinnam była namówić go do wyjazdu za granicę przynajmniej kilka tygodni temu, kiedy ambasady zaczęły odwoływać swoich obywateli. Zazdrość gorzko ściska mi gardło – Amerykanie, Brytyjczycy, a nawet najbliżsi nam Polacy i Rumuni z niepokojem oglądają wiadomości, niektórzy pewnie płaczą i biorą środki uspokajające. Ale są w szlafrokach, kapciach, dresach lub strojach do biegania. Wyślą link w komunikatorach, dokończą kawę i pójdą na spacer lub pobiegać, a potem do pracy. Wcześniej podrzucą swoje dzieci do szkół i przedszkoli i przytulą je mocniej niż zwykle. Dlaczego to się dzieje u nas? Mówią, że Polska otworzyła granice dla Ukraińców. Musimy jechać na zachód. A co z rodzicami? Nic nie mogę zrobić.

Mój syn przerywa te rozmyślenia.

– Mamo, o czym wy mówicie? O jakich obiektach wojskowych?

Rozumiem, że moje dzieci właśnie w tej chwili dorastają, a historia o wakacjach jest już dla nich niewiarygodna.

– Synu, Rosja rozpoczęła wojnę przeciwko Ukrainie. Wyjeżdżamy z Kijowa, bo strzelają do naszego miasta.

– A dlaczego zaczęli wojnę, mamo?

– Trudno to wyjaśnić, kotku. Teraz tata i ja musimy zabrać cię w bezpieczne miejsce. Później porozmawiamy, dobrze?

* Miasto położone w obwodzie kijowskim, na północny zachód od Kijowa. W lutym i marcu 2022 roku o Irpień toczyły się zaciekle walki między wojskami ukraińskimi a rosyjskimi. Ostatecznie miasto zostało wyzwolone przez siły ukraińskie 28 marca 2022. Podczas okupacji miasta rosyjscy żołnierze dopuścili się licznych zbrodni wojennych na miejscowej ludności cywilnej.

- Gdzie jest to bezpieczne miejsce?
- Jedziemy do obwodu lwowskiego, do Nazara, Niki i Ustymka. Pamiętasz Ustymka? Był kiedyś na urodzinach Saszy. Nie? W porządku, poznać się jeszcze raz, wszystko będzie dobrze. Nie, nie wiem, kiedy tam będziemy kochanie, są korki. Proszę, uzbrój się w cierpliwość.
- Mamo, chce mi się pić.
- Tak, masz tam wodę.
- Mamo, ach...
- Poczekaj, proszę! Proszę, bądź cicho, muszę przeczytać wiadomości.
- Tato... Czy oni nas zabiją?
- Cisza. Cisza. Cisza.
- Nie, kochanie. Naprawdę bardzo się staramy dotrzeć w bezpieczne miejsce.
- Przesunęliśmy się o kilka metrów. „Odessa 457” – mówi znak. Jak to nie możemy jechać do Mikołajowa? Co to znaczy, że tam też strzelają? Czy ludzie nie wracają do domu, kiedy są kłopoty i muszą się ukryć? Czy nie do ciepłej kuchni rodziców, w której od progu wita nas zapach czegoś pysznego, a dzieci mogą robić wszystko? Pamiętają pudełko z lakierami do paznokci i bibelotami, którymi bawią się bardziej chętnie niż prawdziwymi zabawkami? Co się dzieje? Jak oni się tu dostali tak po prostu, w czwartek?
- Mamo, czy „Rosja” pisze się przez dwa „s”?
- Odwracam głowę i widzę napis „Nienawidzę Rosji” na zaparowanej szybie.
- Tak, synu, zgadza się. Ale możesz pisać przez jedno. Oni nie zasługują na to, żebyśmy pisali to poprawnie. I chłopaki, przejdźmy na ukraiński.

3. Dzieci mówią. W drodze do Lwowa

LUKA: Ale od razu widać, że to psychoterrorysta. Kto normalny dałby sobie zrobić taką fryzurę? Ma włosy przy uszach, ale jego głowa jest łysa.

SASZKO: Mamo, jak ma na imię putin*?

JA: Wołodymyr.

SASZKO: Tak jak Zeleński? Chociaż nie, Wołodymyr Zeleński brzmi dobrze. A putin... Cóż, po prostu putin.

LUKA: Powinniśmy wysłać go w kosmos, bez skafandra. On potrzebuje terytorium, więc niech leci na Marsa.

DENISKO: Mamo, chcę spać w twoim brzuszku.

4.

Zazwyczaj pakowanie się na wakacje zajmuje mi dzień lub dwa, wliczając zakupy i pilne pranie ulubionej koszulki, na której podstępnie ukryła się plama po lodach. Ale przeprowadzka za granicę to zupełnie inna sprawa.

Od pięciu miesięcy mieszkamy z przyjaciółmi: galicyjska rodzina wspaniałomyślnie nas przyjęła – dwie rodziny z dziećmi, siedem osób, które przyjechały starym Fordem Fusion, uszkodzonym po wypadku – w przytulnej wiosce Rukawyczka na skraju lasu niedaleko Lwowa. Nie było tu syren i chociaż nie oznacza to, że nie było niepokoju, łatwiej było żyć bez tego wycia. Tutaj nauczyliśmy się gotować dla osiemnastu osób, bawiliśmy się z dziećmi, które stały się naszą rodziną. Tutaj siedzieliśmy wpatrzeni w kominek, odtwarzając w pamięci dłoń z czerwonymi paznokciami na drodze, opłakując śmierć ojca siedmiomiesięcznej Marii, który zginął na wojnie i którego miała poznać tylko z opowieści. Był to czas śpiewu: budziliśmy się przy śpiewie ptaków, nuciliśmy „Oj u łuzi”** pod prysznicem, słuchaliśmy „Braci Gadiukinych” w wykonaniu Nazara i Niki.

W małym pokoju z oknami wychodzącymi na las rozpadło się moje małżeństwo – pewnej pięknej środy, a może to był piątek. Spowodowana zdradą przepaść, która (ponownie) otworzyła się między nami w styczniu, na chwilę straciła na

* Zachowaliśmy pisownię oryginalną tekstu małą literą.

** „Tam na łące czerwona kalina” – ukraiński marsz patriotyczny napisany w 1911 roku, finałowy utwór spektaklu „Słońce ruin”, zaadaptowany jako hymn przez Legion Ukraińskich Strzelców Siczowych walczący w latach 1914–1919 o wyzwolenie Ukrainy spod panowania rosyjskiego.

znaczeniu – uciekając przed ostrzałem, mogliśmy się do siebie przytulić – ale gdy tylko nie musieliśmy już uciekać, urwisko znów urosło. Byłam gotowa do skoku, ale on nie. Pewnego cichego wiosennego poranka moje zranione serce zaczęło krzyzczeć: biegnij, biegnij, biegnij. Nie przestawaj biec.

Życie pisze najlepsze scenariusze, a ja już miałam dokąd uciekać – moja firma otworzyła biuro, proponując wspólne lokum dla pracowników w Poznaniu. Przystępna cena zakwaterowania i możliwość przebywania z rodziną sprawiły, że wyjazd z dziećmi za granicę stał się całkiem realny.

Roma pojechał do Kijowa, przetransportował nasze rzeczy do magazynu i przekazał klucze do mieszkania właścicielowi. Wrócił z kilkoma pudłami, a ja zaczęłam pakować walizki. Każdego dnia, jak naukowiec w laboratorium, ważyłam, mierzyłam, analizowałam, dedukowałam i sprawdzałam, próbując znaleźć formułę na „trzy życia w dwóch walizkach”. I chociaż byliśmy uchodźcami od pięciu miesięcy i mieszkaliśmy jako goście – co oznacza, że tak naprawdę się nie rozpakowaliśmy – proces wydawał się nie mieć końca. Budziłam się, zastanawiając się, czy wziąć spodnie narciarskie, czy wrócimy przed zimą, a gdy tylko zamykałam powieki dzinsy, koszulki, zabawki i kosmetyki rozpoczynały szalony taniec przed moimi oczami. „Wybierz mnie!” – prosiła każda rzecz, szepcząc podstępnie: „Pamiętasz, kiedy byłam na tobie...”.

Nosiłam tę sukienkę podczas spaceru na promenadzie w Kemer, robiąc zdjęcia tymczasowych tatuaży na moich całym niezłych łydkach. Sukienka w kropki – jesteśmy w parku na huśtawce. Dżinsowe szorty ze Stanów – ja i Katrusia na rockandrollowym koncercie. Dzisiejszy wybór – dwie sukienki, koszula (jego koszula), dwie pary dżinsów – anulował wczorajsze wybory, bo walizki były bezwzględne. Targowanie się z nimi („Pozwolisz, że to zwinę w wałek, a tę parę butów włożę w te zagłębienia?”) było bezsensowne. Groźby („Wejdz, kurwa!”) nie miały sensu. Dwie rozwarte paszcze śmiały się cicho, kpiąc z moich żalonych prób podjęcia decyzji, które z bezcennych wspomnień jest ważniejsze. „To tylko rzeczy” – przypomniałam sobie. Przełożyłam koszulkę, która właśnie przyjechała z Kijowa i wciąż pachniała moją szafą, do torby

„do oddania”. Ale następnego dnia znów próbowałam znaleźć dla niej miejsce w walizce.

Myślę, że zaczynam rozumieć, co się dzieje. Tak, jak misja kosmiczna przenosi próbki ziemskiej cywilizacji na Marsa, tak ja zabieram kawałki mojego życia z dziećmi, kawałki wszystkich naszych gustów, przywiązań i nawyków, i składam je w moją własną misję, która ma nie mniej kosmiczną skalę. Oto próbka o nazwie „ulubiona gra”: małe plastikowe pudełko, do którego osobiście zapakowałam Lego, bo zadanie polegało na umieszczeniu w nim całego domu. Ściany, schody, garaż z samochodem, basen i właściciele, którzy patrzyli na mnie z udawanym uśmiechem na twarzy, a z tyłu głowy ukrywali zdziwione lub wściekłe grymasy – zabierzemy ten dom ze sobą, musimy go zabrać.

Mała gra „Taco-kot-koza-ser-pizza”, pluszaki Steve i Creeper, „Goły”, Monopol bez pudełka, flamastry, kilka książek. W istocie mogłoby być tego jeszcze mniej, bo mogłam kupić e-booki, a jedyna zabawka, którą byłam zainteresowana, to różowy Satisfyer, który dotarł w pudełku bez ładowarki, więc nie było sensu zabierać go ze sobą. Warto było zatrzymać się z tą myślą na dłuższą chwilę, uświadamiając sobie, co dawało mi kiedyś satysfakcję. W końcu to, co było ekscytującą grą, używane w przestrzeni maksymalnej otwartości między dwojgiem ludzi, teraz byłoby tylko wulgarnym artefaktem, wspomnieniem, że zamiast chwil intymności i relaksu od całego horroru, który wirował wokół mnie, pozostała mi tylko ta zabawka. Rodzaj nagrody pocieszenia dla pokonanych.

Zamiast rzeczy, walizki zawierały nieograniczone wątpliwości i pytania. Co, jeśli mi się nie uda? Co, jeśli dzieci będą za bardzo tęsknić za ojcem? Co, jeśli mama zachoruje? Albo co, jeśli pocisk trafi w nasz autobus kilka kilometrów od granicy?

Dzieci nie wiedziały, czy chcą jechać do Polski. Ale na pewno nie chciały opuszczać domu Lewczenków. Opowiedziana przeze mnie legenda była następująca: pojedziemy do Polski na miesiąc, bo tam jest bezpiecznie, spróbujemy tam żyć, a potem zobaczymy, co robić. W zasadzie nie kłamałam. Planowanie czegoś na dłużej niż na miesiąc było poza moim zasięgiem, więc taki plan miałam w głowie. Jedyną rzeczą, której nie powiedziałam moim dzieciom, było to, że uciekałam nie tylko przed wojną, ale

także przed ich ojcem. Od bólu, od tej części mnie, która błagała go, aby nie odchodził – ten, który mnie zdradził i porzucił.

Chciałam wzbić się do nieba, tam, gdzie latają samoloty pasażerskie i gdzie stwierdzenie, że nie słyhać ostrzeżeń o nalołach, oznacza, że ich najzwyczajniej nie ma. Chciałam usunąć przynajmniej jedną niewiadomą z równania, zerwać przynajmniej jedną stalową linię, która, chwytając za trzewia, wciągała mnie w otchłań wiecznego gniewu, dezorientacji i smutku.

Wystarczyłoby jedno słowo mojego męża i zostałabym. Nie wiem, czy zdecydowalibyśmy się wrócić do Kijowa, czy wynająć mieszkanie we Lwowie, ale wiem na pewno, że skupiłabym się na terapii rodzinnej. Wojna jest straszna, ale rozpad naszego małżeństwa zagłuszył nawet jej szaleńcze zawrodozenia swoimi rzewnymi szeptami. Moja rodzina, choć daleka od ideału, była jedyną wyspą na oceanie strachu i niepokoju. Więc kiedy ziemia osuwała mi się spod nóg, chwyciłam się jej desperacko.

A jednak, oto jestem w wodzie, moja wyspa cała przesypuje się jak piasek przez palce, a mnie wciąga prąd. Delikatnie pcham – a często ciągnę – łódź z moimi dwoma słomianowymi chłopcami, moją matką i naszymi trzema walizkami dla czterech osób. Przed nami znak z napisem „Witamy” i nowa niewiadoma.

5. Akademik

Boże, co się ze mną stało? Czuję w środku palącą, cierpką irytację. Budzę się z kwaśnym smakiem na języku. Miauczenie kota, trzask drzwi, piskliwy głos zaspanego dziecka. Zapach czyjegoś śniadania: stary olej na moich zjęczających rozdrażnieniem receptorach. Nie mam dokąd pójść. Nie mogę dłużej mieszkać w akademiku. Tak, warunki tutaj są bardzo dobre, tysiące ludzi mieszka w ciasnych pokojach, zamiatając ulice dyplomami prawa i księgowości. Jestem bezpieczna, mam dobrą pracę i niedużą, ale jednak poduszkę finansową. Jak śmiem być niezadowolona?

Denerwują mnie moje dzieci i moja matka. Nienawidzę wszystkich dookoła. Te zapachy kiełbasy krakowskiej na

dusznej plaży zasłanej ciałami, jak porzuconymi skórkami arbuza, momentalnie wabiącymi roje os. Ale siebie nienawidzę bardziej niż kogokolwiek innego.

Mój dzień to supermarket, praca, jedzenie, dzieci, sen. Błąkam się między półkami sklepu spożywczego jak turysta w Luwrze i czuję się tak, jakby reflektor był skierowany na mnie – wszyscy wiedzą o mnie wszystko. Pół dnia spędzam skulona i zwinęta.

Czułam dziś ból w żołądku, miałam mdłości od bezliku retorycznych pytań, które przeciskają się przez moje gardło, drapiąc podniebienie. „Nie mogłaś...? Jak myślisz, jak zareaguje...? Czy to normalne...?”. Wiedziałam, że nie byłam sobą.

Konsultacja u psychiatry za tydzień. Postanowiłam poprosić o pomoc.

6.

Droga Przyjaciółko,
wciąż tak o Tobie myślę, mimo że nasza relacja została zredukowana do serduszek na Instagramie i życzeń urodzinowych wysyłanych smsem. I do listów, które mają pozostać w folderze „Wersje robocze” lub, jak w przypadku tego, w pamiętniku.

Gorzki uśmiech wykrzywia kąciki moich ust, gdy przypominam sobie, jak w trakcie pijackich rozmów na zjazdach klasowych obiecywałyśmy sobie dzwonić częściej, a nie rozmawiałyśmy już ponad sześć miesięcy. I nawet nie byłyśmy pijane.

Często odtwarzam w myślach naszą korespondencję i późniejszą rozmowę telefoniczną. Moim pierwszym dzwonkiem ostrzegawczym były Twoje słowa, kiedy pisałyśmy na czacie. Rozmawiałyśmy o naszym życiu w Polsce i Waszym w Kijowie. Napisałaś, że czekasz na nasz powrót i że poradzę sobie ze wszystkimi trudnościami w domu w Ukrainie. Napisałaś też, że być może nie mam poczucia przynależności albo je straciłam, a Ty chciałybyś, żebym je odnalazła i dała przykład moim dzieciom, „jak kochać swoją ziemię”. Wiadomość kończyła się niebieskimi i żółtymi serduszkami zamiast kropki. Podziękowałam i rozmawiałyśmy jeszcze chwilę. I wiesz, niby nic się

nie stało, ale ta rozmowa pozostawiła we mnie jakiś świdrujący ból. Jak siniak, który pewnego dnia po prostu pojawia się na twoim ciele i daje o sobie znać przez długi czas, a ty nie pamiętasz, gdzie mogłaś się tak poturbować.

Chodziłam z tym „siniakiem” przez dwa tygodnie. W końcu zdecydowałam się do Ciebie napisać. Podzieliłam się z Tobą spostrzeżeniem, że coś pojawiło się między nami, jakieś subtelne pęknięcie, które trzeba było przeskoczyć, aby zadać pytanie „Jak się masz?”.

Twoja odpowiedź była ciosem, którego się nie spodziewałam: „Jest tak od dawna”. Czat zamienił się w dwugodzinną nocną rozmowę – płakałam, a Ty nie mogłaś się rozgrzać. Jej fragmenty nadal często nie pozwalają mi zasnąć.

„Pytanie do wszystkich, którzy wyjechali i jeszcze nie wrócili...” „Porzucić przyjaciela w biedzie i nawet nie obiecać, że wrócisz...” „Kijów był miastem duchów...” „Musisz kupować jedzenie, ubrania, pić kawę tutaj, a nie tam...” „O jakim zapuszczaniu korzeni mówisz, nie minął nawet rok, odkąd tam jesteś...” „Siedzicie na ławce rezerwowej, kiedy my jemy gówna...” „Akceptuję Twój wybór...”.

Siniak stopniowo blednie, zmieniając kolor z oliwkowego na żółtawy. Wygląda jednak na to, że zostałam zraniona bardziej, niż myślałam, ponieważ nadal boli.

Rozumiem, że nasze doświadczenie stało się przepaścią, której nie da się wypełnić najszczerzym współczuciem. Nigdy nie dowiem się, jak to jest być w Kijowie w marcu 2022 roku, jak to jest mieć prąd przez dwie godziny dziennie przez dwa dni. Ty jednak nigdy nie zrozumiesz, jak to jest wyjechać i zostać zarazem; jak to jest obudzić się w mokrych od potu ubraniach, sięgając po ciepłe łydki męża pod kołdrą i zdać sobie sprawę, że jest w innym łóżku, ogrzewając stopy innej kobiety, a rano odjeżdża twój autobus w nieznane. Ale wiesz, do tej pory ta otchłań nie przerażała mnie w najmniejszym stopniu, bo zbudowaliśmy nad nią most akceptacji i wsparcia. Przynajmniej tak mi się wydawało.

Wiem, że cierpisz. To naturalne, że jesteś zła. To typowe, że dzieli się ludzi na tych, którzy odeszli, i tych, którzy zostali lub wrócili, że gardzi się jednymi, a szanuje innych, że czuje

się zasadność własnego wyboru, by zostać – to wszystko również jest normalne. Jednak niezmiernie bolesna jest świadomość, że w Twoich oczach należę do jakiejś grupy osób, które chcą polecieć w podróż balonem po Europie i otrzymywać zasiłek socjalny, wynajmując jednocześnie mieszkania we Lwowie. Jednak to jest wojna i każdy walczy z nią o własne życie najlepiej, jak potrafi. Dlatego naturalnym jest, że się wyjeżdża i nie wraca. Ocalić siebie, aby móc pracować, opiekować się dziećmi i być użytecznym dla swojego kraju – to nie jest pozostawienie przyjaciela w potrzebie, a wręcz przeciwnie. Naprawdę osiadamy tutaj, ale dzieje się to samoistnie, tylko dlatego, że tu mieszkamy: Denis chodzi do przedszkola, Sasza uczy się polskiego, powiesiliśmy ubrania w szafach, a nawet – dojdzie do tego zajęło mi kilka miesięcy i sesji psychoterapeutycznych – kupiliśmy do wynajmowanego mieszkania poduszki i koce, żeby było nam wygodniej. Chcę wrócić, ale nie mogę Ci tego obiecać, bo dla mnie obiecywanie czegoś, na co nie ma się wpływu, nie jest przyjaźnią.

Powiedziałas, że akceptujesz mój wybór, ale, moja Przyjaciółko, wydaje się to iluzją. Nasz ciepły drewniany most, przerzucony przez tak różne doświadczenia, już nas nie łączy: wiadomości na Telegramie nie przechodzą na inny poziom niż pytanie-odpowiedź-odpowiedź-reakcja, Instagram staje się jedynym źródłem informacji o życiu drugiej osoby.

Mam nadzieję, że pewnego dnia znów się spotkamy – będzie to inny most, zupełnie inny od poprzedniego, ale znajdzie się na nim miejsce na spacer, długie rozmowy i ciepłe uściski.

Na swoim brzegu zostawię mój filar pod most i wyślę Ci ten list.

7.

Po ataku terrorystycznym w Winnicy*

Ciężko mi na sercu, ale jedyny rower na stacji czeka na mnie, a żółta mirabelka pachnie tak zachęcająco, że nie mogę się

* 14 lipca 2022 roku Rosjanie przypuścili atak rakietowy na Winnicę (miasto w środkowej części Ukrainy), w wyniku którego zginęło 12 osób.

powstrzymać przed zerwaniem i zjedzeniem jednej; wkładam kilka garści do koszyka. Słodkavo-drzewny aromat jest teraz wszędzie: na moich ubraniach, opuszkach palców, we włosach. Nawet stary Nextbike wydaje się być nim przesiąknięty.

Przypadkowo naciśnęłam dzwonek i zaskoczyłam samą siebie. Przechodzień przyłapał mnie na zdezorientowanym uśmiechu, który wymknął się i odleciał jak letni dmuchawiec. I jak ten dmuchawiec w powietrzu krąży pytanie: „Czy naprawdę wyszłam z domu dwudziestego piątego lutego rano po raz ostatni?”. Odpowiedź już tu jest, taka ostra i zgorzkniała: „tak, tak”. „Tak”.

Cholera, nie aż tak bardzo nienawidziłam tego skrzypiącego parkietu.

Dziewczyny robią sobie zdjęcia przy fontannie, wystawiając nogi. To wszystko jest takie znajome, codzienne. Gdyby nie dwudziesty piąty kadr z ludzką kończyną i wózkiem inwalidzkim. Gdyby nie echo alarmu przeciwlotniczego, w tle szumu maszyny do polewania zza rogu.

Zaciskam szczęki, moje mięśnie wprawiają w ruch metal. Obrót za obrotem, koła roweru niosą mnie tuż obok pięknych domów, szczęśliwych rodzin, beztroskich wieczorów.

Czasami jest to tak przerażające, że wydaje mi się, że jestem w środku koła – prawie bezdomna, prawie rozwiedziona, prawie... nie ja. Zbędna, skazana na porażkę.

Jest jednak na odwrót – koła i ja poruszamy się razem, ale to moje stopy generują ten ruch. Mój lęku, czy to słyszysz? Tak, wygląda na to, że twoje towarzystwo jest nieuniknione, a ty jesteś szalenie mocny. Ale nie jesteś najistotniejszy. Więc przejdźmy dalej. Ty czytasz wiadomości, a ja przekazuję darowizny. Farbujesz włosy na siwo, a ja zapewniam ludzi, że to naprawdę moje dzieci, a nie młodszy bracia. Pachniesz starym parkietem, pościelę wypraną we Froschu, ramionami, które kiedyś mnie obejmowały. Pachniesz wszystkim, co znałam i straciłam, wszystkim, czego boję się już nigdy nie odnaleźć. Ale postanawiam delektować się zapachem mirabelki – rozgrzanej słońcem, radosnej – i pedałować dalej. Następnym.

8.

Przed Bożym Narodzeniem

Wszystko jest takie znajome: dzieci zjeżdżają na sankach z górki; zamawiamy jedzenie na dowóz; świąteczna iluminacja rozświetla skupione twarze przechodniów (przygotowania do świąt są takie męczące); długo siedzę przed ekranem z pulsującym kursorem, gryząc zgięcie na kciuku.

Te zdjęcia są bardzo podobne do innych. Tak jak podobne są niepoprawnie złożone puzzle do obrazka na pudełku.

Uśmiecham się, patrząc, jak dzieci zjeżdżają z górki. I w tym samym momencie obraz rozmywają łzy ukrywające się w moich powiekach – ogród botaniczny musi być teraz zatłoczony. „Zróbmy to jak w Kijowie – hamburgery w sobotę i pizza w niedzielę?”. Zróbmy to. Ale to nie jest jak w Kijowie. Nie jest jak w Kijowie. Zupełnie nie jak w Kijowie.

To smutne i bolesne, ale tak musi być.

Niekończące się świąteczne światła robią wrażenie. Ale z zupełnie innych powodów. Świadomość bezsensu tych świecidełek, poczucie obrzydzenia cynizmem, który oślepią światłami jarmarków, rezonują we mnie jednocześnie z chęcią wtopienia się w ten tłum i poczucia jeszcze raz, jak to jest, kiedy największym utrapieniem są obowiązki świąteczne.

Tak więc stoję z tym pudełkiem z ośmioma gwiazdami o barwie ciepło-białej, zasilanymi dwiema bateriami, aż zauważam, że jeden z łańcuchów w środku świeci mocniej niż pozostałe. Wczoraj odłożyłam lampki z powrotem na półkę. Dziś kupuję.

To trudne i wyczerpujące, ale prawdziwe.

W zeszłym roku napisałam dziesięć tysięcy słów utworu, który miał być przyszłą książką. Pewnego dnia w tamtym nieskończeniu długim lutym uznałam, że wszystkie stały się obce, puste. A teraz obserwuję linię na białym ekranie odliczającą sekundy moich myśli, które są zupełnie inne. Czasami słowa wypływają na powierzchnię, jak teraz, ale przeważnie są pochłaniane przez ciekłą czarną linię, gdy tylko się pojawią.

To przeraża i unieruchamia. Tak jest.

I ja jestem.

Nawet w najciemniejszym tunelu – kiedy się boję, kiedy jestem zraniona i zdesperowana – jestem tam. W tym tunelu nie mogę zrobić nic poza poruszaniem się. Nawet jeśli ten ruch oznacza teraz tylko oddychanie. Być, żyć i zmierzać w kierunku światła, oddech po oddechu, krok po kroku.

9.

Gdańsk. Spokojne morze

A potem pójdziemy na spacer wzdłuż brzegu do latarni morskiej.

Patrząc, jak morze zmywa nasze śmieszne ślady.

To dzień nadawania ptakom zabawnych imion.

Szukania znieruchomiałych łez słońca nad samą wodą.

Mówi się, że tam, gdzie jest ciemny kamień, jest krzyk bólu i kałuża goryczy.

A kiedy słońce się śmiało, pomarańczowy kryształ lśnił.

„Dlaczego nasze łzy są bezbarwne?” – można zapytać.

„To chemia soli i światła, Synu, przeplatające się odcienie radości i smutku.

Czasami smutek wyniszcza promienie pieśni z głębi klatki piersiowej.

A szczęśliwe spotkanie zatopi najczarniejszy smutek w słonej wodzie.

W końcu, Synu, często zdarza się, że łzy są dla ludzi.

I stały się dla gwiazd”.

10.

Gdańsk. Wzburzone morze

Uwielbiam sztorm. Morze, które wczoraj delikatnie pieściło moje stopy jak wierny szczeniak, przynosząc mi bursztyny, teraz łączywie połknęło jedną trzecią plaży. Pieni się, ryczy, nie pozwala się zbliżyć.

Morze, morze, wiesz wszystko. Że przyniosłam ci zranione serce owinięte w blade, pochylone ciało. I może trochę

tworzywa sztucznego w postaci tkaniny z mojego płaszcza *oversize*.

Będę go nosić dla ciebie jeszcze przez jakiś czas. Będę płakać, zaciskać szczęki, spacerować nieprzyzwoicie długo, pa-trzeć pod nogi, chodzić do tyłu, spoglądać za horyzont. Czasem zaśpiewam głośno albo wybełkoczę jakieś bzdury pod nosem, a potem podskoczę przerażona myślą, że zwariowałam. Usiądę na piasku i pomyślę, że jestem śmieciem: ludzie tam walczą, również za mnie, a ja cierpię tutaj. Cóż, rozłączyliśmy się, owszem, ale wszyscy żyją? Tak, żyjemy. To dobrze, weź się w garść.

Będę spacerowała wzdłuż brzegu i szukała jasnożółtych kamieni, jednocześnie szperając wewnętrznym okiem w książkach i rzeczach w magazynie. Tak, mój dom jest teraz zapakowany w dziesiątkach kartonów w Kijowie i Lwowie. Opuściłam go dwudziestego piątego lutego, zabierając lekarstwa, zabawki dla dzieci i biżuterię. On wtedy powiedział: – Jeszcze wrócimy.

Nie, nigdy więcej.

Morze, morze, po co te wszystkie bzdury? Śmiałyśmy się razem. Zerkaliśmy na siebie podczas oglądania seriali telewizyjnych. Cesał mi włosy. Prasowałam mu koszulę i czekałam, aż wróci z pracy. Kochaliśmy się namiętnie, czule, kiedy samo czekanie na czas intymności sprawiało, że słodkie zmęczenie przenikało moje ciało aż po czubki palców. Trzymał mnie za rękę, gdy urodziłam syna. I drugiego też.

Dla kogo teraz to wszystko, morze? Zabieraj, jeśli chcesz! I weź też zdjęcia: wszystkie te wspomnienia „rok temu”, „ten dzień”, „rodzina przez lata”. Każdy kadr to bolesne ukłucie prosto w serce. Morze, nie ma tam już żywego miejsca, tak jak nie było go na polach bitwy po bataliach II wojny światowej.

Wiesz, morze, to jest mój następny etap gniewu. W moich próbach zrozumienia, uporządkowania, przegapiłam ten etap całkowicie. Przeskoczyłam do długich i bolesnych, wyczerpujących negocjacji. Ale teraz zamierzam krzyczeć. Połączę mój głos z twoim rykiem, morze, tak będzie mi łatwiej.

Rrrrrrrrrrr-aaaaaaa-rrrrr!!!

II.

Tak to się robi w naszym kraju

Zanim zwrócisz się o pomoc medyczną, przygotuj „scenariusz” – upewnij się, że masz przed sobą tłumacza i pamiętasz, jak wymawiać cyfry.

Prawdopodobnie nie uda się umówić wizyty u lekarza na dzisiaj, więc przygotuj się na zabranie dziecka na SOR.

Spróbuj zapomnieć o wszystkich przerażających historiach wyczytanych na Facebooku o osobach umierających w kolejce na SOR-ze.

I tak, lepiej od razu wziąć dzień wolnego.

Temperatura ciała 39,5°C, trudna do zbicia. Ale karetki w tej sytuacji wezwać nie można.

Dziecko skarży się na ból brzucha. Czy boli tutaj (po lewej stronie)? Nie. A w ten sposób (po prawej)? Och, mamo, nie dotykaj! Daj mu się napić. Sama napij się wody. Zadzwoń po karetkę. Jeśli podejrzenie zapalenia wyrostka robaczkowego nie jest wystarczająco poważnym powodem, to co nim jest?

Nie, nie można zabrać drugiego dziecka na pogotowie. Nie, nie można zostawić dziesięcioletniego dziecka samego w domu w Polsce. Czy jest pani pewna, że zdąży na czas znaleźć kogoś do opieki nad drugim dzieckiem?

„Witaj, Haniu, pomóż mi. Tak? Dziękuję, dziękuję bardzo”.

Dzwonek do domofonu. Wciąż nie mogę się przyzwyczaić do tak głośnego dźwięku. Wesoły męski śmiech na dole – czekają na windę.

– Dzień dobry. Co się stało?

– Dziecko ma wysoką gorączkę i ból brzucha po prawej stronie.

– Co powiedział lekarz?

– To znaczy... Przecież zadzwoniłam do was.

– Dlaczego pani nie poszła do lekarza?

– Ale przecież zadzwoniłam...

– Nie można wzywać karetki z takimi symptomami.

– Ale tu jest napisane po polsku, że jak się ma takie objawy...

– Musi pani sama jechać do szpitala. Jeśli boli, to trzeba iść do lekarza, no nie?

I dlaczego ludzie myślą, że mówienie głośniej sprawia, że język obcy jest bardziej zrozumiały?

Daj mu się napić. Sama napij się wody. Weź się w garść. Do diabła z myślami o tym, jak to było w Kijowie.

Dziecięcy SOR świeci pustkami. Wyrostek robaczkowy nie jest widoczny w badaniu USG. Nie ma stanu zapalnego. Znowu mówią głośno, ale tym razem przyjaźnie. Nie było kolejki, zapachu wymiocin, napadów złości i kaszlu. Cuda się zdarzają.

„Haniu, wracamy do domu. Tak, mieliśmy szczęście, wyobrażasz sobie? Wszystko jest w porządku, to tylko wirus. Nie, nie, pozwól, że sama go odbiorę, to znaczy razem z Deni-sem. Naprawdę? Co ja bym bez ciebie zrobiła, dziękuję, dziękuję ci!”

Młody je swoją ulubioną zupę z makaronem, a gdy jego policzki stają się różowe, pas, który ścisnął mnie w środku, rozluźnia się i czuję, jak bardzo jestem wyczerpana. Ale to nie ma znaczenia.

Wypij trochę wody. Wypij jeszcze trochę. Daj dzieciom pić. Oddychaj. Oddychaj.

Tak to się robi w waszym kraju. Teraz już wiem.

12.

Po ataku terrorystycznym w Humaniu*

Zanim przeczytałam wiadomości, zdążyłam pójść na jogę. Przy wejściu leżał martwy ptak, drozd śpiewak. Krucha, z nakrapianą pierśią (z jakiegoś powodu ani przez chwilę nie wątpiłam, że to samica), wyglądała jak kawałek płótna z holenderskiego Złotego Wieku, kiedy martwą naturę nazywano „cichym życiem”, a nie „martwą naturą”. Ptak nie wzbudzał we mnie obrzydzenia, takiego jak widok okaleczonych przez samochody zwłok zwierząt czy bezgłowych gołębi, które często widywałam na chodnikach w Kijowie. Wtedy zawsze zamykałam oczy i przypominał mi się naiwny zwyczaj z dzieciństwa:

* 28 kwietnia 2023 roku Rosjanie przypuścili atak rakietowy na Humani (miasto w środkowej części Ukrainy), w wyniku którego zginęły 23 osoby, w tym czworo dzieci.

trzykrotne przemycie twarzy powietrzem i splunięcie przez lewe ramię. Nie pamiętam, jakie słowa powinno się wtedy wypowiadać – prawdopodobnie była to ta nieistotna sprawa, którą jeśli odkryjesz w zagrożonych komórkach życia, to będzie to odkrycie zupełnie przypadkowe, takie, którego się nie spodziewasz.

Zamiast tego martwy ptak w pobliżu sali do jogi przyciągał wzrok jak mistrzowska rzeźba: symetryczna krzywizna nóg znieruchomiła dokładnie pośrodku między chwilą a wiecznością – jeszcze nie sztuczne kamienne linie, ale już bez żywej plastyczności; jasnobrązowe trójkąty na piersi były jasne, a jednocześnie pełne szlachetnej miękkości naturalnych odcieni. Ale, co najważniejsze, oczy miał zamknięte, a dziób lekko otwarty – ptak, co śpiewa niezapomnianie. Tak, samice drozdów, wbrew swojej nazwie, nie śpiewają, a nawet gdyby, raczej nie z zamkniętymi oczami. Jednak rzeźbiarz ma swobodę interpretacji swojego dzieła. Ten zrobił to tak.

„...Przejdźmy do pozycji drzewa...”, gładki, pozbawiony emocji głos trenerki przeszywa moje myśli niczym przezroczysta nić. Musiała umrzeć całkiem niedawno, bo jeszcze nie zleciały się muchy. Czy drozd samiec jej szuka? A może pisklęta czują, że ich matka odeszła, że jej więcej nie zobaczą?

„...Pies z głową w dół...”. Kiedy byłam dzieckiem, bardzo marawiłam się, gdy moja mama późno wracała z pracy. Mieszkaliśmy na obrzeżach małego miasteczka, w domu nie było telefonu, a jedyną latarnią uliczną była latarenka na rogu dwóch ulic. Wiosną widziałam wracającą mamę przez ogródki – jej postać pojawiała się na skraju ulicy, w długiej kraciatej spódnicy, jaskrawo zielonym żakiecie przepasanym w talii – sąsiadki rzuciły jej bezwstydnie długie spojrzenia, nie sposób było pomylić jej z kimkolwiek innym.

Ale jesienią, kiedy wcześniej robiło się ciemno, godziny ciągnęły się nieznośnie długo, a poskręcane gałęzie drzew za oknem malowały przerażające sceny: mama szła sama przez wąwóz, a tam były te wściekłe gęsi, późno zaganiane do zagród; albo mama wybierała dłuższą asfaltową drogę, a tam w trzcinach nad stawem ukrywał się ekshibicjonista, którym straszyla nasza wychowawczyni na lekcjach techniki, czytając

notatki z gazet, podczas gdy my haftowaliśmy kwiaty ściąganiem atłasowym.

Wysłuchiwałam się uważnie w kakofonię odgłosów szczenia: dźwięk dochodził z ulicy, więc to mogła być ona, z drugiej strony – pies sąsiadów, wiodący prym w psich nalotach na rowerzystów, wydawał ogłuszający, chrząkający dźwięk, a nasz Dick, przejmując pałeczkę, piszczał i wył – „Hau, mama w domu!”

„...Trzymamy deskę...”. Dlaczego w ogóle tam zajrzałam? To nie jest dobry znak. A moi rodzice wracają do domu. Nie dam rady, martwiąc się również o nich. „...Trzymaj się, nie obniżaj miednicy...!”. Nie da rady, biedactwo. Myślisz, że jesteś jedyną osobą, która z trudem coś dźwiga, pogodzona z faktem, że ścieżki wydeptane przez własne stopy są teraz sposobem na życie? To też zły znak... Więc teraz, twoim zdaniem, los postanowił cię przed czymś ostrzec? Tak, oczywiście. A tak w ogóle, to dlaczego uznałaś, że to ma coś wspólnego z tobą?

„...Zrelaksujcie się, savasana. Pozycja trupa...”. Pozycja martwego ptaka śpiewającego w niezapomniany sposób.

Wróć, moja matka będzie płakać, kiedy wróci do domu, mój ojciec będzie się powstrzymywał. Powiem im zdecydowanym głosem, żeby zeszli do schronu podczas alarmu. A rano odetchnę z ulgą, gdy zobaczę zielone kółko w komunikatorze. Przeczytam wiadomości, które sprawią, że zimna, śliska kula przetoczy się przez moje ciało, szukając wyjścia. Gdzieś kolejny ostrzał. Znowu w budynki mieszkalne. Dzieci nie doczekają się na swoje matki, rodzicom zabitych dzieci serce zostanie wyrwane żywcem, zamieniając się w skorupę do pompowania krwi. Tak, ptak był złym omenem, zapamiętam. A potem pójdę zrobić śniadanie, sprawdzę setki przychodzących maili i w roztargnieniu obiecuję, że oddzwonię do matki za godzinę, ale zrobię to dopiero wieczorem.

Przedłużam drogę do domu: poranne słońce dodaje lekkości miastu, wypychając ciemne spaliny samochodów, wraz z szarymi myślami ich właścicieli, gdzieś wysoko. Chcę być wypełniona po brzegi tym światłem, zapamiętać wszystkie ważne kroki, wpuścić liny do głębin, do których próbuję dotrzeć. Podniosę je ponownie, to już się zdarzało. Będą dobre

wieści, najlepsze nowiny na świecie. Komora serca znów wypełni się miłością. Niewidzialne, ale nie mniej prawdziwe matki będą całować czoła swoich ukochanych na dobranoc.

Tak, ptak jest znakiem.

Przyspieszam na rowerze, aż mrowią mnie uda. Na światłach mój wzrok przykuwa samica drozda w jasnozielonych liściach jarzębiny. Śpiewa.

I3.

„Kur-r-rwa jebana mać!” – usłyszałam ostatnio w autobusie nagły, niewytłumaczalny okrzyk pewnego pana i pomyślałam: rzeczywiście.

I4.

Wiosną ponownie zainstalowałam widżet zdjęć na moim telefonie. Obrazy z życia, które jeszcze kilka miesięcy temu były nie do zniesienia, znów zaczęły wywoływać uśmiech na twarzy. Jak zwichnięte stawy, które w końcu znalazły się na swoim miejscu. Oto złote światło w ruinach starożytnego tureckiego miasta. Roma z Denisem w wózku i Saszą u jego boku, cała trójka pięknie wystylizowana, byliśmy w Wiedniu. I oto jesteście, nasza czwórka na łóżku w kropki, leżącym teraz w ciemności magazynu – płócienna karta pamięci z rodzinnymi kronikami.

Te wspomnienia już nie parzą, może jeszcze trochę, tak jak wtedy, gdy trzymasz zmarznięte dłonie nad ogniskiem, a kiedy robi się gorąco, odwracasz je na drugą stronę. To wszystko jest moje, to wszystko ja.

I5.

Śniłam o kobiecie, która sprzedawała owoce na targu w pobliżu domu moich rodziców w Mikołajowie. Zimą owijała się

węlnianym szalikiem i nosiła czapkę z norek (moda lat 90. – jakie czasy, taki blask), przez co nazwałam ją Uchodźczynią. Przydomek ten przyjął się w całej rodzinie. Skąd masz te śliwki? Kupiłam u Uchodźczyni.

We śnie kobieta patrzyła na mnie zza lady. Zapytała, która z nas jest teraz uchodźczynią.

Obudziłam się we łzach.

16.

Wczoraj nauczycielka młodszego syna poprosiła mnie, żebym przyniosła mu na religię „zeszyt w kropkę”. Wydałam dyspozycję dziadkom, pojechali do dwóch dużych marketów, szukali bardzo dokładnie („Tato, załóż okulary”), ale nie znaleźli. I właśnie kiedy o tym rozmawialiśmy, postanowiłam to wygooglować. „Zeszyt w kratkę” – delikatnie poprawiła mnie wyszukiwarka. Czyli zwykła krateszka. Rzeczywiście, i jak tu się nie zorientować, że łączenie kropek dotyczyło innego przedmiotu.

17.

Urodziny

Naprawdę chcę tańczyć. Siedzę nad brzegiem Wisły, a w środku jestem wolna, oświetlona dziesiątkami stroboskopów i lamp ultrafioletowych – wolna.

Zamykam oczy i wyobrażam sobie, że moje życzenie się spełnia. Wszystko jest teraz w porządku. Moja rodzina żyje i jest szczęśliwa. Pola zazieleniły się nowym życiem. Przy każdej okazji pamiętamy o cenie, jaką musieliśmy zapłacić. Przy każdym uścisku.

Nie wiem, ile mam lat. Wiem tylko, ile mam w sobie muzyki, soli i miłości. Dokładnie tyle, ile jest we mnie komórek.

Nie wiem, jak pozbyć się poczucia winy. Za to, że wyjechałam, że jestem uchodźczynią, a nie dzielną Ukrainką żyjącą pod ostrzałem. Więc mieszkam z tym poczuciem, ale nie

pozwalam mu dyrygować. Tak, nie jestem najodważniejszą osobą, ale bycie uchodźczynią daje mi siłę, by być osobą użyteczną: dla moich dzieci, moich rodziców, dla mojego kraju.

To, co wiem – i Boże, jak mocne i odurzające jest to uczucie – to to, że jestem Ukrainką. Moje dzieci dorastają jako Ukraińcy. A moi rodzice, rosyjskojęzyczni mieszkańcy Doniecka*, obudzili w sobie Ukraińców. I to, że naprawdę chcę tańczyć.

JULIA WORONINA – ma 36 lat, jest Ukrainką, mamą dwóch wspaniałych chłopców, kobietą na drodze do odnalezienia siebie po rozwodzie. Mieszka w Polsce. Pisze książkę, pomaga zbliżyć Zwycięstwo narodu Ukraińskiego nad zbrodniczym agresorem, kroczy naprzód z miłością w sercu.

* Miasto położone we wschodniej części Ukrainy, nad rzeką Kalmius. Główny ośrodek przemysłowy w Donieckim Zagłębiu Węglowym. Od 2014 roku okupowane przez prorosyjskich separatystów, a w 2022 roku nielegalnie anektowane w skład Rosji.

EMILIA WOJCIECHOWSKA

Słowa, które niosą mnie przez. Dziesięć kroków w uchodźstwie

*Tekst oryginalnie napisany w języku polskim.
Praca nadesłana pod pseudonimem.*

Podróż, która zaczęła się na ulicach Białorusi, przeniosła mnie w nieznane, pokazała mi, co znaczy być uchodźcą, nauczyła nowego języka, zmusiła do odkrywania nowych części siebie i zmieniła sposób postrzegania świata. Była to podróż, która przyjęła język za swojego najważniejszego towarzysza i przewodnika.

Ten język, który początkowo był dla mnie obcym, skomplikowanym kodem, stopniowo stał się lustrzanym odbiciem mojej duszy, historii, doświadczenia. Każde nowe słowo, którego się uczyłam, stawało się drogowskazem w nowym życiu, wskazywało drogę do zrozumienia nowego świata, nowych ludzi, nowego ja.

Z Białorusi, kraju, który zostawiłam za sobą, do Polski, która stała się moją przystanią i nadzieją – ten język był moim mostem. Ta nieznana ziemia, która mnie przyjęła, zmusiła mnie do nauczenia się jej języka, który stał się moim nowym głosem, moją nową tożsamością.

I tak nowe słowa stały się drogowskazami na drodze do odkrywania siebie, zrozumienia ludzkości i tego, co to znaczy być uchodźcą. Każde nowe słowo to nowe doświadczenie, nowa lekcja, nowe zrozumienie.

Moje nowe słowa są jak nasiona, które zasiewam na tej nowej ziemi, która teraz jest moim domem. Kiełkują, rosną i kwitną, przynosząc owoce, które karmią moją duszę i dają mi nadzieję na przyszłość. Te słowa, choć nowe i nieznane, stały się częścią mnie.

Ale czy nie jest tak z każdym słowem, którego się uczymy, z każdym nowym doświadczeniem, które przeżywamy? Czy nie są drogowskazami, które prowadzą nas do głębszego zrozumienia siebie, innych i świata, który nas otacza?

„Szanowna Pani”

Pierwsze słowa, które zapadły mi w pamięć, jak echo odbijające się od betonowych ścian punktu kontrolnego. Dwa słowa – formalne i oficjalne – niosły w sobie ciężar nieznanego. Czy zwracali się do mnie? Czy mówiąc „Szanowny Panie”, mówili do mojego męża?

Rzeczywistość zdawała się zwalniać, gdy Straż Graniczna z wielką powagą analizowała nasze dokumenty. W ich słowach była nie tylko formalność – ale i groźba. Bezpośredniość, z jaką nas ostrzegali, powodowała poczucie, że stoję na krawędzi przepaści.

Jedna walizka. Trzy osoby. Nasz syn, zaledwie trzyletni, niewinny i nieświadomy grozy sytuacji, w której się znaleźliśmy. Cała nasza przyszłość zależała od decyzji strażników. Każde ich słowo wywoływało napięcie i niepewność. Czy pozwolą nam przejść? Czy zostaniemy zmuszeni do powrotu?

Nadchodząca noc była pełna niepokoju. Ciemność otaczała nas jak mgła, zaciemniając wszystko, co znałam. Strach o siebie i syna – to odczuwałam najmocniej. Groza niewiadomego, groza utraty nadziei, której tak desperacko się trzymałam.

Wszystko to ukryte za dwoma słowami: „Szanowna Pani”. Jakby były próbą, testem. Czy zdołam się przez nie przebić? Czy zdołam zrozumieć ich pełne znaczenie, znaleźć w nich siłę, aby iść dalej?

„Obóz dla uchodźców”

Te trzy słowa przemieniły moje życie. Dziś niosą za sobą skomplikowany wachlarz emocji. Kiedy pierwszy raz je usłyszałam, poczułam ulgę, lekką i niespokojną, jak pierwszy dech nowo narodzonego dziecka. Wpuszczona do Polski – ale co dalej? Czy mój syn będzie bezpieczny? Czy ja, jako matka, będę w stanie ochronić go w tym nowym, nieznanym świecie?

Pierwsze spotkanie z obozem odcisnęło piętno na moim sercu. Drut kolczasty, deszcz bijący o twarz, pospieszna kontrola dokumentów. Wszystko to przeplatało się z myślami o domu, o zmarłej matce. „Mamo, co ja zrobiłam? Dlaczego chciałam wolności? Dlaczego pozbawiłam syna domu i zabawek?” – pytałam siebie, zatopiona w smutku.

Ale z czasem obóz zaczął odświeżać inne oblicze. Przyjazny strażnik, paczki z jedzeniem – akurat przyjechaliśmy w niedzielę. Uśmiechnięci uchodźcy, gotowi do pomocy. Te słowa stały się symbolem spokoju i solidarności, budząc w nas trochę nadziei.

Mimo to zawsze towarzyszyła nam tęsknota. Za domem, normalnością, przeszłością. I choć obóz stał się naszym azylem, zawsze był też symbolem straty. W tym wszystkim filozofia stała się moim schronieniem, pozwalając mi zrozumieć i przetworzyć nowe doświadczenia.

„Impreza”

Trzecie słowo stało się zarówno wybawieniem, jak i źródłem niepokoju. Przez lęki i obawy, którymi nasiąkły nasze serca w obliczu nieznanego, to słowo zaczęło oznaczać coś więcej – nowe otwarcie, nowy początek, oświetlony przez promienie wdzięczności.

Przenosiny z bezpiecznego schronienia w obozie dla uchodźców do domu dobrego lekarza były skokiem w nieznaną. To było jak powrót do cywilizacji, ale takiej z obcymi zwyczajami, obcymi słowami, obcymi rytuałami. Lęk przed niewiadomym mieszał się z nadzieją, generując

silne emocje, a nasz strach stopniowo przekształcił się we wdzięczność.

Strach przed przyszłością i wdzięczność za teraźniejszość stały się dwoma stronami tej samej monety. Strach, jak dziki, niewidzialny drapieżnik, ciągle nas gonił, zmuszał do biegu, podczas gdy wdzięczność była jak balsam, łagodzący nasze zranienia, karmiący naszą nadzieję, umacniający wewnętrzną siłę.

Dom, który stał się naszym azylem, przynosił nam komfort, ale równocześnie przypominał o domu utraconym, o utraconych marzeniach. Ale wdzięczność za ten dom i za tego dobrego człowieka zawsze przeważała. To było jak małe światełko, które rozwijało się w sercu ciemności, przecinając mgłę lęku i niepewności.

Wreszcie strach i wdzięczność połączyły się, wyzwalając nieoczekiwane piękno w obliczu cierpienia. To była filozofia naszego bycia – ciche przetrwanie, szeptane pod nosem, zrozumiałe tylko dla nas. Było to jak tajemniczy język, rozumiały tylko dla tych, którzy przeszli przez to, co my. Mimo wszystko zawsze znajdowało się miejsce na imprezę – symbol naszego niezłomnego ducha, naszej niepowstrzymanej radości życia, naszej niekończącej się wdzięczności.

„Morze”

Czwarte słowo. Panorama Bałtyku zimą wywołuje echa w moim sercu, otwiera wyobraźnię. Dla mnie, uchodźczyni z dzieckiem, cieszącej się schronieniem, które nazywamy teraz domem, i otoczonej serdecznością tych, którzy nas kochają, wyjazdy nad morze stają się podróżą w głąb siebie.

Bałtyk zimą jest surowy i bezkompromisowy, jego fale z mocą uderzają o brzeg, niewzruszone mrozem. Przywodzą na myśl naszą sytuację – bezustannie popychani przez fale losu szukamy stabilności i bezpieczeństwa. Ta metafora jest nieodłącznym elementem naszych wizyt na brzegu morza, przypomnieniem, że pomimo trudności życie toczy się dalej.

Choć otoczenie jest surowe, w wizytach nad morzem jest pewne ciepło. Ciepło, które nie pochodzi od słabego zimowego

słońca, ale od miłości, której doświadczamy w nowym domu. Jesteśmy uchodźcami, ale znaleźliśmy miejsce, w którym jesteśmy kochani, miejsce, które daje nam siłę do walki o przetrwanie.

Podróż nad morze jest więc zarówno refleksją nad naszym życiem, jak i ucieczką od codziennych trosk. Surowa piękność Bałtyku, niepewność związana z przyszłością, ale także ciągłość – to wszystko jest obecne podczas naszych zimowych wizyt nad morzem.

„Miłość”

Piątym słowem, które niespodziewanie przecięło moje życie, była „miłość”. Przybyła niespodziewanie, nieproszona i w nieodpowiednim czasie. Byłam mężatką, uchodźczynią z dzieckiem – nie było ani miejsca, ani czasu na miłość. Ale miłość nie pytała o miejsce ani czas – przyszła i zniszczyła wszystko, co znałam, wszystko, co planowałam, wszystko, czego oczekiwałam.

Zrujnowała moje życie, pokruszyła marzenia, zniszczyła przyszłość, którą tak starannie zaplanowałam dla siebie i mojego dziecka. Walczyłam z nią, próbowałam ją odrzucić, ale była silniejsza, pchała mnie w otchłań uczuć, których nie potrafiłam zrozumieć ani kontrolować.

Była jak susza, wypalająca wszystko wokół, pozostawiająca tylko pustkę i zniszczenie. To była miłość bez nadziei, miłość, która przyniosła więcej bólu niż cokolwiek innego do tej pory. To była miłość, której nie mogłam zatrzymać, nie mogłam kontrolować, a także nie mogłam zignorować.

Ta nieoczekiwana, przypadkowa miłość była jak niekończąca się burza w sercu niszcząca wszystko na swojej drodze i nie pozostawiająca miejsca na nic innego. Zmusiła mnie do walki z samą sobą, ciągle pchała mnie ku przepaści. Bez nadziei, bez przyszłości, tylko z bólem, który był większy niż wszystko. Ta miłość, choć przynosiła tyle bólu, była miłością, której nie mogłam zaprzeczyć.

„Strach”

Szóste słowo to „strach”. Strach, wywoływany przez mężczyznę, którego niespodziewanie pokochałam. Nie rozumiał mnie, nie rozumiał mojego bólu, moich lęków, mojej samotności. Zranił mnie, nie z rozmysłem, ale przez niewiedzę i niezrozumienie.

Była też obecność mojego męża, który pozostawał obojętny na moje cierpienie i moje potrzeby. Jego obojętność przeszywała mnie głęboko, pogłębiając strach i poczucie bezradności. Bez względu na to, jak usilnie próbowałam do niego dotrzeć, jak bardzo starałam się przekazać mu swoje emocje, byłam ignorowana. Uczucie, że jestem nieistotna i nieznająca, tylko wzmacniało osamotnienie i rozpacz.

Byłam sama, otoczona strachem i bezsilnością. Czułam się opuszczona, nie wiedząc, gdzie znaleźć wsparcie. Moje serce tonęło w odmętach beznadziei, a myśli ogarniały mnie przerażeniem. Byłam w pułapce własnych emocji, zakłęta w klatce strachu i rozpacz.

Była to nieopisana samotność, w której otaczający mnie świat stał się obcy i nieprzyjazny. Przemierzałam życie z utraconą wiarą, pytając siebie, czy jestem w stanie wyjść z ciemności. Moje serce krzychało o zbawienie, o odzyskanie siły, ale czułam się osaczona przez mury własnych obaw.

Tak, to był nie tylko strach, ale też bezsilność i odcięcie od otaczającego świata. Byłam uwięziona w labiryncie własnych myśli, szukając wyjścia, które wydawało się coraz bardziej nieosiągalne. Jak mogłam odnaleźć nadzieję, gdy wszystko, co znałam, było zburzone? Jak mogłam znaleźć drogę do przodu, kiedy czułam się tak bezsilna i osamotniona?

Tak, strach był tylko jednym z wielu uczuć, które towarzyszyły mojej codzienności. Było też odzyskiwanie wiary w siebie, walka z przeciwnościami losu i poszukiwanie sensu w chaosie. Byłam zraniona, ale wciąż płonęła we mnie iskra nadziei. Być może to właśnie odwaga przekraczania strachu prowadziła mnie dalej w poszukiwaniu nowego światu.

„Zagłada”

Siódme słowo zawładnęło moją duszą, odbierając jej wszelką nadzieję na jasność. Zagłada – tego doświadczyłam, gdy moje małżeństwo, moje życie, moje serce – wszystko zostało unicestwione.

Mąż dowiedział się o zdradzie i to zniszczyło wszystko, co było między nami. Próbowaliśmy żyć dalej, ale nie byliśmy już w stanie naprawić tego, co zniszczone. Nasz związek był jak most, którego filary zaczęły pękać już w Białorusi, a potem rozpadły się całkowicie w Polsce. Zniszczone zostało wszystko, co znamy, wszystko, co mieliśmy.

W jednej chwili poprosiłam go, aby odszedł, a w następnej sama odeszłam. Ta decyzja była jak ostry nóż w sercu. Ból i strach nawarstwiały się, aż stały się nie do zniesienia. Oboje byliśmy na krawędzi samobójstwa, w obcym kraju, w którym ci, których uważaliśmy za przyjaciół, odwrócili się od nas.

Przez szesnaście lat byliśmy razem. Kochałam go. Ale moja zdrada była tylko jednym z elementów zniszczenia. Dowiedziałam się, że przez cały nasz związek mnie okłamywał. Każdego dnia tworzył nową bajkę, ale niczego nie budował.

Prawda o jego kłamstwach była jak jad, który powoli wniknął w moje serce. Strach przed zrozumieniem, że nasz wspólny świat już nie istnieje – i być może nigdy nie istniał – był niewyobrażalny. Ta bolesna świadomość, że mimo starań nic nam nie wychodziło, przynosiła ciągły ból i rozczarowanie.

Czułam się jak skazana, uwięziona w niespełnionych marzeniach i złamana obietnicami, które miały być naszą siłą. To był ból, który przeszywał moje ciało i duszę, gdy starałam się naprawić to, co było już nie do naprawienia.

„Przebaczenie”

To słowo, które muszę nauczyć się rozumieć i akceptować. Przebaczenie nie innym, ale sobie.

Nie odeszłam do tego, którego kochałam – nie dlatego, że nie chciałam, ale dlatego, że moje serce było zniszczone

i wypalone. Zostałam z niewypowiedzianym bólem, który stłumił wszystko inne. Każdego dnia, miesiąc po miesiącu, uczyłam się żyć dalej, wychowywać syna, uśmiechać się, choć w środku była tylko pustka.

Budziłam się każdego dnia w łzach i strachu, z bólem, który był tak intensywny, że mnie dusił. Modliłam się, aby tylko dożyć do następnego dnia, ponieważ ból był tak ogromny, że przeszkadzał mi oddychać.

Ale teraz muszę nauczyć się przebaczać. Przebaczyć sobie za ból, który sobie zadałam. Przebaczyć sobie za to, co straciłam. Przebaczyć sobie za zdradę, za kłamstwa, za zniszczenie.

Przebaczenie jest tym, co jest mi teraz potrzebne. Potrzebuję go, aby przeżyć, aby iść dalej, aby nauczyć się żyć bez nieznosnego bólu, który tak długo mnie trapi.

„Przebaczenie” – to słowo, które teraz muszę zrozumieć i przyjąć. To słowo, które muszę nauczyć się wyrażać, aby mogło zagościć w moim zniszczonym, spalonym sercu.

„Praca”

Dziewiąte słowo: „praca”. Pomogła mi stanąć na nogi. Wolontariat i pomoc innym uchodźcom stały się moim lekarstwem na ból.

Wolontariat, praca z innymi, którzy także doświadczyli traumy ucieczki, nakreślił mi cel. Uświadomił, że mimo wszystkiego, co straciłam, mimo bólu, który noszę w sercu, mogę nadal przynosić wartość innym. Pomoc innym uchodźcom, którzy znaleźli się w podobnej sytuacji, pozwoliła mi spojrzeć na siebie z innej perspektywy.

Praca z innymi, którzy również cierpieli, otworzyła mi oczy na to, że nie jestem sama. Spełnienie, które daje pomoc innym, było jak balsam na moje ranne serce. Dawało mi siłę, aby każdego dnia wstać – mimo strachu, bólu, poczucia straty.

Ta praca, wolontariat, stała się moją terapią. Dała sens, pokazała, że nadal mogę coś zmienić. Wiedza, że moje doświadczenia mogą pomóc innym, była kuracją.

Praca pomogła mi odbudować siebie. Nauczyła mnie, że mimo straty, mimo zniszczenia, mimo bólu, jestem nadal zdolna do czynienia dobra. To słowo nauczyło mnie, że nawet w najgorszych chwilach mogę znaleźć sens i cel.

„Nadzieja”

Dziesiąte słowo – „nadzieja”. Nadzieja, że sobie poradzę, że zrealizuję marzenia, że zdołam zbudować rodzinę, urodzić jeszcze jedno dziecko. Wszystko to niesie ze sobą ton nadziei, ale też niepewności.

Nadzieja jest jak światło na horyzoncie, migotliwe i niepewne, ale zawsze obecne. Jak delikatny wiatr, który niesie obietnicę zmiany. Ale nadzieja jest również pełna obaw i wątpliwości. Czy jestem gotowa na zmiany? Czy mogę znów otworzyć swoje serce na miłość, na możliwość stworzenia nowego życia? Czy mogę zaryzykować kolejny raz, otworzyć się na ból, na stratę?

Ból przeszłości jest jak cień, ciągle nade mną, ciągle obecny. Nawet gdy staram się patrzeć w przyszłość, cień przeszłości jest zawsze obecny. Każda myśl o przyszłości, o możliwości stworzenia nowego życia, przynosi ze sobą również strach, strach przed kolejnym bólem, strach przed kolejną stratą.

I choć jestem pełna nadziei, jestem też pełna niepokoju. Jestem niewyraźna, niepewna. Ale mimo to, mimo strachu, nadzieja jest zawsze obecna. Jest jak słońce, które zawsze wschodzi, bez względu na to, jak ciemna jest noc.

Dziesiąte słowo jest jak most, który łączy przeszłość z przyszłością. Jak światło, które prowadzi przez ciemność, mimo strachu i niepewności. Jest obietnicą, że pomimo wszystkiego, co przeszłam i co straciłam, jest coś, co na mnie czeka.

Gdy spojrzałam wstecz na moje doświadczenia, te dziesięć słów, które wybrałam jako reprezentatywne dla mojego życia jako uchodźczyni, stanowiło mapę mojej podróży. Od początkowego

strachu i niepewności, poprzez miłość i zdradę, aż po ból, walkę – i w końcu nadzieję.

Wszystko, co wydawało się niezrozumiałe i przerażające, zaczęło nabierać sensu, kiedy spojrzałam na to przez pryzmat tych dziesięciu słów. Były jak kamienie milowe na mojej drodze, które pokazały mi, jak daleko zaszłam, i przypominały mi, że niezależnie od tego, jak trudna jest droga, zawsze jestem w stanie iść dalej.

Wiem, że jeszcze wiele wyzwań stoi przede mną. Ale kiedy patrzę na te dziesięć słów, widzę w nich nie tylko przeszłość, ale również przyszłość. Dają nadzieję i inspirują do dalszego marszu.

Te dziesięć słów to moja filozofia, moja mantra, moje światło w ciemności. I choć każde z nich niesie ze sobą cień przeszłości, wszystkie rzucają także światło na przyszłość.

Bo nadzieja jest tym, co prowadzi mnie naprzód. Nadzieja jest tym, co daje mi siłę do walki, nawet kiedy droga jest trudna. Nadzieja jest tym, co pomaga mi przetrwać. I tak długo, jak mam nadzieję, wiem, że mogę przetrwać wszystko.

Czyż nie jest to kwintesencja naszego istnienia – wytrwać, pomimo wszelkich trudności, zawsze prowadzona blaskiem nadziei?

Biogramy członków komisji

PIOTR CIACEK – członek Prezydium Zarządu Klubu Inteligencji Katolickiej w Warszawie, wydawcy Magazynu Kontakt, właściciel i partner zarządzający firmy Stibitz, doświadczony mentor, superwizor i trener. Jest autorem i współautorem kilku podręczników z zakresu kompetencji miękkich oraz zarządzania. Współpracuje m.in. z Instytutem Wolności oraz Fundacją Liderów Biznesu.

DR PIOTR M. A. CYWIŃSKI – historyk i działacz społeczny, założyciel i prezes Fundacji Auschwitz-Birkenau oraz Auschwitz Pledge Foundation, członek Komitetu Obywatelskiego Solidarności z Ukrainą. Od września 2006 roku kieruje Państwowym Muzeum Auschwitz-Birkenau w Oświęcimiu. Były prezes, a obecnie członek Zarządu Klubu Inteligencji Katolickiej w Warszawie, wydawcy Magazynu Kontakt. Autor wielu książek. Odniesiony licznymi orderami polskimi i zagranicznymi, m.in. w Austrii, Francji, Grecji, Belgii, Monako, Niemczech i Watykanie.

IGNACY DUDKIEWICZ – redaktor naczelny Magazynu Kontakt, publicysta, reporter, dziennikarz, autor książek i działacz

społeczny, nominowany do nagrody Grand Press, wyróżniany w konkursach dziennikarskich. Od lat współpracuje z wieloma organizacjami pozarządowymi i inicjatywami, specjalizuje się m.in. w tematyce wykluczenia społecznego. Jeden z pomysłodawców wydania „Pamiętników Uchodźczych”. Sekretarz Komisji.

DR KAMILA FIAŁKOWSKA – adiunktka w Ośrodku Badań nad Migracjami UW. Jej badania koncentrują się na migracji z Polski, nierównościach, płci, religii oraz tożsamości narodowej i etnicznej. Od początku kryzysu humanitarnego na granicy polsko-białoruskiej jest zaangażowana w prace kolektywu badawczego Badaczki i Badacze na Granicy.

JULIA FIEDORCZUK – pisarka, poetka, tłumaczka, wykładowczyni w Instytucie Anglistyki oraz współzałożycielka Centrum Humanistyki Środowiskowej na UW. Autorka zbiorów opowiadań oraz powieści, m.in. „Nieważkość” (2015), „Pod słońcem” (2020) i „Dom Oriona” (2023). Opublikowała także sześć tomów wierszy oraz eseje. Opracowała program Szkoły Ekopoetyki w Instytucie Reportażu. Felietonistka „Przekroju” i „Polityki”. Jej utwory przetłumaczono na ponad 20 języków. Laureatka Nagrody im. Wisławy Szymborskiej, nominowana do Literackiej Nagrody Nike, Nagrody Literackiej m.st. Warszawy i Nagrody Tuwima.

AGNIESZKA HOLLAND – reżyserka, nagradzana na najważniejszych światowych festiwalach, m.in. w Cannes i Wenecji, laureatka ośmiu Złotych Lwów, nominowana do Oscara i nagrody BAFTA. Od wielu lat aktywnie zaangażowana w pomoc uchodźcom w Polsce. Od 2020 roku przewodnicząca Europejskiej Akademii Filmowej. Autorka wielu filmów, takich jak: „Gorączka”, „Kobieta samotna”, „W ciemności”, „Obywatel Jones”, „Pokot”, „Europa, Europa” oraz – w 2023 roku – „Zielona granica” o sytuacji uchodźców i uchodźczyń na granicy polsko-białoruskiej.

DR ARTUR JÓŹWIK – dyrektor Biura Kultury m.st. Warszawy od 2019 roku, członek Rady Muzeum Literatury, Rady Centrum

Archiwistyki Społecznej, Warszawskiej Rady Pożytku Publicznego. Inicjator działań na rzecz dokumentacji niematerialnego dziedzictwa Warszawy, zaangażowany w prace miejskich zespołów pomników, historycznych rocznic oraz edukacji kulturalnej. W latach 2006–2019 dyrektor i członek Zarządu Ośrodka KARTA. Doktor nauk politycznych.

MYROSLAVA KERYK – historyczka, socjolożka, specjalistka w zakresie migracji Ukraińców do Polski. Prezeska Zarządu fundacji Ukraiński Dom. W swojej pracy łączy projektowanie i realizację działań integracyjnych skierowanych do migrantów i uchodźców z projektami badawczymi z zakresu studiów migracyjnych. Autorka artykułów i raportów dotyczących sytuacji migrantów ukraińskich w Polsce. Otrzymała m.in. nagrodę „Złote Wachlarze” przyznawaną przez IOM Polska oraz Odznakę Honorową Zasłużonej dla Warszawy.

PROF. WITOLD KLAUS – profesor w Instytucie Nauk Prawnych Polskiej Akademii Nauk oraz współpracownik Ośrodka Badań nad Migracjami UW, współprzewodniczący Konsorcjum Migracyjnego, wcześniej wieloletni prezes Stowarzyszenia Interwencji Prawnej. W pracy naukowej zajmuje się problematyką kryminologii, praw człowieka, badań nad migracjami.

AGNIESZKA KOSOWICZ – założycielka i prezeska Fundacji Polskie Forum Migracyjne od blisko 20 lat wspierającej cudzoziemców w Polsce. Jest inicjatorką różnych działań na rzecz uchodźców i migrantów w Polsce, autorką i współautorką publikacji na temat uchodźców, migrantów i integracji. Współprzewodnicząca Konsorcjum Migracyjnego.

JANINA OCHOJSKA – działaczka społeczna, założycielka i prezeska Polskiej Akcji Humanitarnej, działaczka opozycji w PRL, europosłanka. Laureatka wielu prestiżowych nagród i odznaczeń, m.in. tytułu „Kobiety Europy” Komisji Wspólnot Europejskich (1994), nagrody Pax Christi International Peace Award (1995), Orderu Kawalera Legii Honorowej (2003), nagrody im. ks. Józefa Tischnera (2006), Nagrody Lecha Wałęsy

(2010) oraz Krzyża Komandorskiego Orderu Odrodzenia Polski.

MAŁGORZATA WASZCZUK – socjolożka i edukatorka, kierowniczka Sekcji Programów Międzykulturowych i Liderkich w Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN. Od 2007 roku pracuje w obszarze edukacji obywatelskiej, międzykulturowej i antydyskryminacyjnej. W ramach wolontariatu była zaangażowana w projekty w ośrodkach dla uchodźców w Szwajcarii, Belgii i Finlandii. W Muzeum POLIN zajmuje się m.in. działaniami włączającymi osoby z doświadczeniem migracyjnym i uchodźczym.

KRZYSZTOF A. ZAKRZEWSKI – partner Zarządzający i jeden z założycieli kancelarii Domański Zakrzewski Palinka. Wspiera innowacyjne projekty biznesowe, dzieląc się wiedzą i doświadczeniem z młodymi przedsiębiorcami. Wyróżniony tytułem „Prawnik xxx-lecia” dziennika Rzeczpospolita. Zaangażowany w działania wielu organizacji branżowych oraz społecznych, w tym m.in. Polskiej Rady Biznesu, Stowarzyszenia im. Zbigniewa Hołdy, Fundacji Edukacyjnej Jana Karskiego i Stowarzyszenia Przyjaciół Muzeum Narodowego w Warszawie.

kontakt

*Tworzymy idee, które
inspirują praktykę.*

*Podajemy
działania, które
wpływają na debatę
publiczną.*

*Budujemy wspólnotę
ludzi, którzy wierzą,
że lepsza przyszłość
jest możliwa.*

*Stajemy po stronie
krzywdzonych i w obronie
sprawiedliwości.*

*Jesteśmy jedynym
środowiskiem lewicy
chrześcijańskiej w Polsce.*

**Wierzymy, że tworzenie
Magazynu Kontakt
to wkład w budowę lepszej
Polski, świata i Kościoła.**

Od ponad piętnastu lat pokazujemy, że myśl chrześcijańska i wrażliwość lewicowa nie są przeciwstawne, lecz mogą się twórczo inspirować. Poszukujemy emancypacyjnego potencjału chrześcijaństwa oraz duchowej głębi lewicy. Budujemy środowisko otwarte na dialog ponad podziałami religijnymi, politycznymi i ideologicznymi. Poruszamy ważne tematy, takie jak: katastrofa klimatyczna, nierówności ekonomiczne, prawa osób LGBT+, bezdomność, edukacja czy relacje pomiędzy

Globalną Północą i Południem. Oddajemy głos grupom wykluczonym w państwie, społeczeństwie i Kościele. Przekazujemy obiektywne i rzetelne informacje, tworzymy wyrazistą i odważną publicystykę, rozwijamy wartościowe dziennikarstwo. Stajemy po stronie słabszych i zmieniamy świat wokół nas na lepsze.

Wydajemy pismo papierowe oraz magazyn internetowy, organizujemy debaty i spotkania. Przygotowujemy wpływające na rzeczywistość akcje społeczne. Wśród nich „Pamiętniki Uchodźcze”, które trzymasz w ręce.

DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ NA: magazynkontakt.pl

ZAPRENUMERUJ NA: sklep.magazynkontakt.pl

WSPIERAJ NA: magazynkontakt.pl/wesprzyj-nas

NAPISZ DO NAS: redakcja@kik.waw.pl

WYDAWCA: Klub Inteligencji Katolickiej w Warszawie

Klub jest zarówno wydawcą Magazynu Kontakt, jak i zapleczem środowiskowym redakcji Kontakt. Powstał w październiku 1956 roku na bazie politycznej odwilży po latach stalinizmu. Skupia inteligencję pragnącą w sposób świadomy przeżywać swe powołanie jako świeckich katolików. Jest niezależny zarówno od władz państwowych, jak i hierarchii kościelnej.

Do najważniejszych aktywności Klubu należą: wychowanie młodzieży, działalność charytatywna, pomoc humanitarna i rozwojowa, formacja religijna, intelektualna i obywatelska oraz wspieranie demokratycznych przemian w Białorusi i Ukrainie.

Klub intensywnie działa również na rzecz uchodźców i uchodźczyń. Gdy nastąpił kryzys na granicy polsko-białoruskiej, Klub uruchomił Punkt Interwencji Kryzysowej, w którym kilkudziesięciu wolontariuszy udziela pomocy humanitarnej uchodźcom przetrzucanym przez reżim Łukaszenki przez granicę. Od rozpoczęcia wojny w Ukrainie Klub m.in. otworzył w Warszawie „SzkouA” (wraz z Fundacją

Ukraiński Dom): szkołę dla uczniów z Ukrainy, w której dzieci uchodźców mogą uczyć się w ojczystym języku według ukraińskiego systemu edukacyjnego, wysłał do Ukrainy ponad 200 ton żywności, ubrań i sprzętu medycznego, ewakuował blisko 750 osób z terytorium Ukrainy, z których ponad połowa to dzieci i młodzież ze sprzężonymi niepełnosprawnościami, czy otworzył hostel dla uchodźców i uchodźczyń z Ukrainy innej niż ukraińska narodowości.

DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ NA: kik.waw.pl

Spis treści

- 5 PIOTR M. A. CYWIŃSKI
Kto nie wyruszył, ten nie wie
- 7 AGNIESZKA KOSOWICZ
Przygrywka do spotkania
- 9 IGNACY DUDKIEWICZ, MAGAZYN KONTAKT
Wybierać naczynia, nie myśląc o czołgu

Pamiętniki

- 15 EUGENIA BALAKIREVA
Bzdury, bzdury i żadnej nadziei na przyszłość
- 25 BASMA BAMIA
Ślimak
- 29 MARIIA BILOSTOTSKA
Uchodźcy nie z własnej woli
- 33 HUSEYIN CELIK
Niezrozumiany obcy

- 43** ANUSHE
„Białoruska kolej żeliwna”
- 47** OLGA GEMBIK
I nie będzie już strachu. Dzień w oknie
- 57** VICTORIA HALIMON
Jak Marijka stała się Maritą
- 61** SANJAR HOSHIMI
Dom, Rodzina, Polska, Nadzieja
- 73** MARINA HULIA
Wiadra
- 77** MARHARYTA ISHCHUK
Wierszowany dziennik
- 95** KRYSTSINA KAHRAMANIAN
Listy do matki
- 105** FRISHTA KARGAR
Historia imigrantki
- 119** GORDANA KRUTII
Dom jest tam, gdzie psy słodko śpią
- 125** MARYSIA WOŁCHYHOR
Mlecz, skorupa, jagoda
- 139** OLENA MYTROKHINA
Po „następnym dniu”
- 145** PRACA ANONIMOWA
„Obudź się, trwa wojna...”
- 147** TETIANA PROSKURINA
Przełknęłam poczucie winy, że przeżyłam
- 151** MARIIA ROUZ
From Russia with „love”...
- 167** VALERIJA SHAKHUNOVA
Widzisz, biegnę!

- 177** OLJA TAJTRA
Pamiętnik wolontariuszki
- 193** PRACA ANONIMOWA
Powrót do siebie
- 209** TETIANA SUCHODOLSKA
„Przygoda Złotka Tima, Magi i ich ludzi:
droga do nowego domu z żółtymi
kwiatami” – bajka o ucieczce od wojny
- 221** DARIA WASZKIEWICZ
„Bardzo proszę!”. Pamiętniki białoruskiej rodziny
- 241** JULIA WORONINA
Ptak jest znakiem
- 267** EMILIA WOJCIECHOWSKA
Słowa, które niosą mnie przez.
Dziesięć kroków w uchodźstwie
- 277** Biogramy członków komisji
- 281** Kontakt
- 283** Klub Inteligencji Katolickiej

DRUK I OPRAWA

Drukarnia Standruk

Książka wydrukowana na papierze

Munken Print White 90 g vol. 1.5

MAGAZYN KONTAKT

Magazynkontakt.pl

redakcja@kik.waw.pl

WYDAWCA

Klub Inteligencji Katolickiej w Warszawie

Freta 20/24 A, 00-227 Warszawa

Książka dostępna także

jako ebook i audiobook.

Najlepiej służy spotkanie. Najwięcej daje uważność dla drugiej osoby, czas poświęcony na rozmowę, słuchanie, bycie razem. Odsunięcie na bok własnych stereotypów, własnych wyobrażeń o tym, jaki ten drugi lub ta druga jest. Wtedy się rodzi zrozumienie i świadomość, że jesteśmy sobie bliscy, że żyjemy razem w świecie, który współdzielimy.

Oby niniejszy zbiór do tego właśnie zachęcił – do spotkania jednych z drugimi, usłyszenia się w zgłębku, który towarzyszy dziś publicznemu dyskursowi o migracjach.

ISBN 978-83-943103-1-8



PARTNERZY



PARTNER MEDIALNY



WYDAWCA



projekt współfinansuje
miasto stołeczne
Warszawa



Inicjatywę wspiera



Fundusz Obywatelski
im. Henryka Wujca